

Głuszek:
UJK – nie czujemy się prowincją

Kieraciński:
Raport OPI - wnioski KEN

Nowak:
Uniwersytet fabryką wiedzy

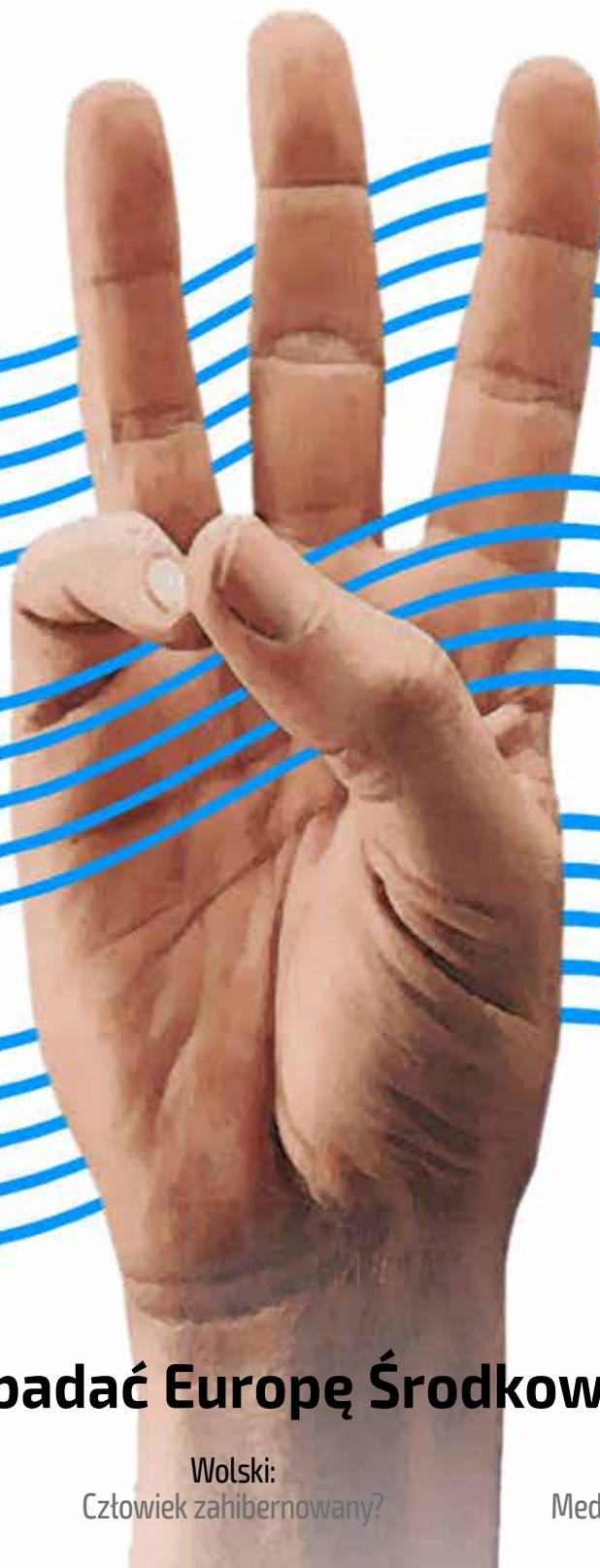
FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Jak badać Europę Środkową

Wolański:
Studenckie czerwone kartki

Wolski:
Człowiek zahibernowany?

Nowak-Teter:
Mediatyzacja opinii publicznej

15 lutego **SPRAWY NAUKI** Minister Dariusz Wierczok (MNI/SW)

15 lutego **ZYCIE AKADEMICKIE** Studenci o uniwersytecie

15 lutego **ZYCIE AKADEMICKIE** Będą większe stawki za pracę w RGNiSW, KEN, RDNI, PKA?

15 lutego **ZYCIE AKADEMICKIE** Promotor sprawdzi, czy student korzystał z technologii ChatGPT

15 lutego **ZYCIE AKADEMICKIE** ZAGŁĘBIOWSKI MARATON Od lutego do kwietnia Zagłębiowski Maraton Nauki

15 lutego **BADCANA**

15 lutego **ZYCIE AKADEMICKIE**

14 lutego **KOMKURSY**

FORUM AKADEMICKIE FA 1/2024

www.forumakademickie.pl

FORUM AKADEMICKIE

Forum Akademickie

Prezentacja

Forum Akademickie

 @ForumAkad

Forum Akademickie @ForumAkad · 15 sty

Forum Akademickie @ForumAkad · 15 sty

Forum Akademickie @ForumAkad · 11 sty

Forum Akademickie @ForumAkad · 8 sty

NCBR WIZYJNY EUROPA

SZEROKI HORYZONT Dzień informacyjny 2024

29-30 stycznia 2024 Warszawa Marriott Hotel Al. Żeromskiego 65/79 Warszawa

 @ForumAkademickie

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
OPI – „Nauka w Polsce 2023”	6
Żebracze instytuty – Adrian Jusupović	10
Uniwersytet po 55 latach	11
Trajektorja wznosząca – Piotr Kieraciński	12
Błysk w oku – Piotr Kieraciński	13
Ewolucja a nie rewolucja – Andrzej W. Nowak	14
Scopus kontra Wikipedia – Marek Kosmowski	16
Decyzja należy do człowieka – Jarosław Protasiewicz	17
Rankingi i naukowe podniety – Wit Grzesik	18

ROZMOWA FORUM

Uniwersytet i medycyna – rozmowa z prof. dr. hab. n. med. Stanisławem Głuszkim, rektorem UJK	20
--	----

EUROPA ŚRODKOWA JAKO PRZEDMIOT BADAŃ

Europa Środkowa – Radosław Zenderowski	24
Czym jest Europa Środkowa? – Agnieszka Orzelska-Stączek	28
Granice i znaczenie regionu – Konrad Świder	32
Inicjatywa Trójmorza – Łukasz Lewkowicz	36

ŻYCIE NAUKOWE

Liderzy i maruderzy w nauce – Zbigniew Drozdowicz	40
--	----

Uczony i jego środowisko

Dla kogo naukowiec pracuje? – Paweł Kawalerski	43
---	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (206)

Plagiatowy doktorat nie dał się poprawić – Marek Wroński	46
Nierzetelny doktorat na UE w Poznaniu – Marek Wroński	50

ŻYCIE AKADEMICKIE

Przemysłana ankietyzacja ma sens – Łukasz Wolański	51
---	----

Siła gestu – rozmowa z prof. Sławomirem Kuszczakiem, kierownikiem Pracowni Rysunku Anatomicznego na UA w Poznaniu	55
---	----

Publikuj lub giń

Ghost in the machine – Marek Misiak	60
--	----

Z LABORATORIÓW

Coraz bliżej do hibernacji człowieka – Artur Wolski	63
Opinia publiczna online – Ewa Nowak-Teter	66
Po prostu Automatyka! – Paweł Domański	68

W STRONĘ HISTORII

Etnografka – Marcelina Smużewska	72
-------------------------------------	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Na gruzach wieży Babel – Marek Misiak	77
W kierunku zagłady – Justyna Jakubczyk	77
W oczach ucznia – Bogdan Bernat	78
Z cenzorskiego czyścica – Jacek Hnidiuk	78
Malarstwo na poważnie – Juliusz Gałkowski	79
Kaszubszczyzna literacka – Zbigniew Chojnowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Kilka uwag o myślach i metamyślach u badaczy – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Mitteleuropa – Leszek Szaruga	80
----------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXI Nr 3 (352) Marzec 2024

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytutu 250 zł. Prenumerata roczna indywidualna 180 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

Trwa wyborczy maraton

POLSKA Już w ponad 30 uczelniach wybrano rektorów na kadencję 2024–2028. Po czteroletniej przerwie gronostaje ponownie założyciel prof. Andrzej Tretyn (UMK, na fot.). Debiut w fotelu rektorskim zaliczą: prof. Jacek Zieliński (AWF Poznań), dr hab. Tadeusz Stefaniak (AWF Wrocław), prof. Zbigniew Krasieński (UMP). Drugi raz w tegorocznej kampanii zdarzyło się, że startujący rektor nie uzyskał reelekcji – na UPWr prof. Krzysztof Kubiak pokonał prof. Jarosława Bosego. Na stanowisku pozostają m.in. prof. Krzysztof Wilde (PG), dr hab. Piotr Wachowiak (SGH), prof. Krystian Kiełb (AMuz we Wrocławiu), prof. Andrzej Klimek (AWF Kraków), prof. Bartosz Klimek (AWF Warszawa), prof. Marek Adamski (PBS), prof. Tomasz



Fot. Andrzej Romanowski

Szczepański (SUM), dr Robert Musiałkiewicz (PANS we Włocławku). Kampanię na bieżąco relacjonujemy w naszym serwisie internetowym. Tam także sylwetki wszystkich rektorów.

Nowy dyrektor w NCBR

WARSZAWA Prof. Jerzy Małachowski, obecny dziekan Wydziału Inżynierii Mechanicznej Wojskowej Akademii Technicznej, został nowym dyrektorem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Specjalizuje się w takich dziedzinach, jak: metody komputerowe mechaniki, inżynieria biomedyczna, inżynieria obliczeniowa. Jest autorem lub współautorem około 600 publikacji. Ma na koncie liczne wdrożenia wyników badań o charakterze przemysłowym oraz zgłoszenia patentowe. W życie weszła ustawa przywracająca Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego nadzór i kontrolę nad Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Od sierpnia 2022 roku było to zadanie ministra właściwego do spraw rozwoju regionalnego.



Fot. NCBR

NCBR zostało powołane w 2007 r. jako jednostka realizująca zadania z zakresu polityki naukowej, naukowo-technicznej i innowacyjnej państwa. Obecnie to największy ośrodek finansujący rozwój prac badawczo-rozwojowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Od początku działalności instytucja przeznaczała na badania ponad 50 mld zł.

Zmiana prezesa w Łukasiewiczu

WARSZAWA Dr Hubert Cichocki, adiunkt ze Szkoły Głównej Handlowej, został powołany na nowego prezesa Sieci Badawczej Łukasiewicz. Zastąpił dr. Andrzeja Dybczyńskiego, który złożył rezygnację z pełnionej funkcji. Nowy prezes ukończył studia ekonomiczne w SGH. Jest zaangażowany w działalność naukowo-



Fot. SGH

dydaktyczną w Kolegium Zarządzania i Finansów SGH. Jego zainteresowania naukowe skupiają się głównie na ekonomice organizacji oraz zarządzaniu publicznym. Pracował w Najwyższej Izbie Kontroli, gdzie pełnił funkcję doradcy, kierownika wydziału i wicedyrektora biura. Łukasiewicz to jedna z największych sieci badawczych w Europie. Liczy obecnie 22 instytuty naukowe, w których pracuje ponad 7 tys. osób

i działa 440 laboratoriów z blisko 4 tys. urządzeń kluczowej aparatury badawczej. Jednostki zlokalizowane są w 12 polskich miastach.

Polka przewodzi krytykom sztuki

PARYŻ/KRAKÓW Dr Małgorzata Kaźmierczak z Instytutu Sztuki i Designu Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej została wybrana na stanowisko prezesa Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki. W ostatniej kadencji była wice-

prezesem tej organizacji. To druga w historii Polka, która stoi na czele AICA, po Władysławie Jaworskiej, która pełniła tę funkcję w latach 1975–1978. Dr Kaźmierczak jest niezależnym kuratorem wydarzeń artystycznych w Polsce i USA, zwłaszcza festiwali performatywnych. Zajmuje się także teorią i dokumentacją sztuki performance. Association internationale des critiques d'art to założona w 1950 roku pozarządowa organizacja afiliowana przy UNESCO, której zasadniczym celem działalności jest udzielanie poparcia i wspieranie krytyki artystycznej. Skupia około 5 tys. członków z 95 krajów, zrzeszonych w 63 sekcjach krajowych. Sekcja Polska zrzesza ponad 150 osób związanych z krytyką sztuki.



Fot. UKEN

NCN bogatsze o 200 mln zł

WARSZAWA O 200 mln zł wzrosło w tym roku budżet Narodowego Centrum Nauki. Oznacza to, że na badania podstawowe trafi w sumie 1,6 mld zł. To największy wzrost środków na ten cel od dekady. Przez ostatnie dwa lata budżet NCN pozostawał na niezmiennym poziomie. W 2022 i 2023 roku dotacja



Fot. MNiSW

celowa wynosiła 1,392 mld zł. To jeden z powodów spadającego współczynnika sukcesu w konkursach grantowych. Obecny budżet (sprzed zwiększenia) w ostatnim konkursie flagowego programu OPUS pozwolił na sfinansowanie zaledwie 176 wniosków na 2184 złożonych (8%). Dodatkowa kwota pozwoli na sfinansowanie części projektów, które w poprzednich konkursach trafiły na listy rezerwowe. Minister Dariusz Wierczok zapowiedział, że będzie namawiał rząd, by co roku wysokość dotacji dla NCN ulegała zwiększeniu.

Doktorat h.c. – prof. Jerzy Gajewski

TORUŃ Wybitny urolog z Dalhousie University w kanadyjskim Halifaxie odebrał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Wyróżnienie przyznano w dowód uznania jego zasług dla rozwoju polskiej urologii. W 1982 r. wyemigrował z rodziną do Kanady i od tego czasu związany jest z Kliniką Urologiczną Uniwersytetu Dalhousie w Halifax. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół neurogennych i czynnościowych zaburzeń dolnego odcinka układu moczowego, nietrzymania moczu, urodynamiki, zespołu bolesnego pęcherza i zaburzeń erekcji. Opublikował 150 prac naukowych i rozdziałów w książkach naukowych. Od 1979 r. należy do Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Jest współautorem wytycz-



Fot. Mikołaj Kuras

nych dla stymulacji nerwów krzyżowych w leczeniu w Polsce dysfunkcji mikcyjnych.

Zrelaksują się na Ochocie

WARSZAWA Nawiazanie do otaczającej przestrzeni, optymalny układ pomieszczeń, oszczędne środki wyrazu – tymi cechami charakteryzuje się zwycięski projekt budynku Centrum Sportu i Rekreacji Uniwersytetu Warszawskiego, który powstanie na Ochocie. Nowy obiekt zapewni komfortowe warunki do uprawiania sportu oraz organizacji wydarzeń o charakterze kulturalnym. Znajdować się będą w nim m.in. nowoczesna pływalnia z widownią oraz wielofunkcyjna sala sportowa umożliwiająca organizację zawodów na szczeblu akademickim. Planowana jest również budowa pełnowymiarowej ścianki wspinaczkowej oraz sali do sportów walki. Powierzchnia całkowita obiektu szacowana jest na około 12,6 tys. m². Rozpoczęcie prac budowlanych przewidziano na przyszły rok. Inwestycja realizowana jest w ramach Programu Wieloletniego „Uniwersytet Warszawski 2016–2027”.

Innowacyjni przodownicy

WARSZAWA Urząd Patentowy RP udostępnił nam najnowsze dane dotyczące innowacyjnej działalności polskich uczelni. Z zestawienia wynika, że w ub.r. 79 szkół wyższych zgłosiło w sumie 1611 nowatorskich rozwiązań. To o ponad 230 więcej niż rok wcześniej. Prym wiodą trzy politechniki: Lubelska (175), Śląska (141) i Warszawska (101). W pierwszej dziesiątce jest tylko jedna uczelnia nietechniczna – Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu na 8 miejscu (66). Również jeśli chodzi o uzyskane patenty PL okazała się bezkonkurencyjna. Jej inżynierowie, jako jedyni, otrzymali prawa do aż trzycyfrowej liczby wynalazków (126). Już trzeci rok z rzędu znaleźli się na czele zestawienia. Lublinianie daleko w tyle zostawili – tak jak poprzednim razem – Politechnikę Śląską (87) i awansującą na podium aż z 10 miejsca Politechnikę Poznańską (71). Kolejną najwyżej sklasyfikowaną uczelnią nietechniczną jest otwierający drugą dziesiątkę Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu (37). Z kolei wśród uczelni tzw. bezprzemysłowych najlepiej wypadł Uniwersytet Śląski – na 15 miejscu (29).

Pierwszy Polak z Medalem Hirschfelda

WARSZAWA Prof. Zbigniew Izdebski, seksuolog, pedagog, doradca rodzinny i specjalista w zakresie zdrowia publicznego, otrzymał Medal Magnusa Hirschfelda przyznawany przez Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Naukowych Badań nad Seksualnością. Po raz pierwszy wyróżnienie to trafiło do Polaka. Laureat kieruje Katedrą Biomedycznych Podstaw Rozwoju i Seksuologii Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Od października ub.r. pełni funkcję koordynatora Wydziału Medycznego UW. Prowadzi również Katedrę Humanizacji Medycyny i Seksuologii Instytutu Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Zielonogórskiego. Od 2010 roku jest stałym współpracownikiem naukowym Instytutu ds. Badań nad Seksem, Płciowością i Prokreacją



Fot. UW

im. Kinseya w Uniwersytecie Indiana (USA). Współpracuje ze Światową Organizacją Zdrowia (WHO). Medal Magnusa Hirschfelda przyznawany jest za szczególne zasługi w dziedzinie badań nad seksualnością człowieka i edukację seksualną.

Nowy dyrektor od dróg i mostów

KRAKÓW Dr hab. inż. Janusz Bohatkiewicz z Politechniki Krakowskiej został powołany przez ministra infrastruktury na stanowisko dyrektora Instytutu Badawczego Dróg i Mostów w Warszawie. Zastąpił dr. inż. Mariusza Urbańskiego, który kierował placówką od 2021 roku. Nowy dyrektor jest inżynierem budownictwa drogowego, ekspertem w obszarze projektowania dróg i inżynierii ruchu, oddziaływał na środowisko oraz ekoinfrastruktury. Ma na koncie ponad 100 prac naukowych, wytycznych i poradników w zakresie dróg i mostów. W latach 2016–2021 kierował Katedrą Dróg



Fot. Ministerstwo Infrastruktury

i Mostów Politechniki Lubelskiej. IBDiM został utworzony w 1955 roku. To wiodąca w kraju placówka naukowo-badawcza zajmująca się problematyką infrastruktury komunikacyjnej. Prowadzone badania dotyczą budowy i utrzymania obiektów komunikacyjnych, a zwłaszcza dróg i drogowych obiektów mostowych, kolejowych obiektów inżynierskich oraz budowli podziemnych.

Apel o program magazynowania energii

WARSZAWA O zainicjowanie rządowego programu finansującego budowę przemysłu magazynowania energii opartego na technologii elektrochemicznych ogniw jonowych apelują do rządu władze Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej, Politechniki Warszawskiej oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Zarówno Ministerstwo Klimatu i Środowiska, jak i środowisko naukowe są zgodne co do tego, że efektywne korzystanie z energii odnawialnej wymaga jej magazynowania w ogniwach litowo-jonowych lub sodowo-jonowych. Sytuacja geopolityczna na rynku surowców energetycznych i krytycznych komponentów wymaga zbudowania polskiego przemysłu magazynowania energii w systemach jonowych, opartych na zabezpieczonym łańcuchu dostaw od krajowych dostawców, przy udziale polskiej nauki. Polskie uczelnie dysponują zabezpieczonymi patentowo technologiami dla wszystkich komponentów ogniwa. Stąd apel do rządu, w którym podkreślono, że polską racją stanu jest stworzenie programu finansującego budowę przemysłu magazynowania energii opartej na technologii ogniw jonowych.

OZE w laboratorium

OPOLE Nowoczesne laboratorium odnawialnych źródeł energii otwarto na Politechnice Opolskiej. Warta ponad pół miliona złotych pracownia umożliwi studentom i naukowcom prowadzenie eksperymentów i badań w zakresie technologii OZE. W jej skład wchodzi m.in. stanowisko do konfiguracji i badania układu grzewczego z pompą ciepła powietrze-woda, a także stanowisko do badania wentylacji mechanicznej z systemem rekuperacji, które demonstruje rozwiązania w zakresie efektywności energetycznej i jakości powietrza w pomieszczeniach. Ponadto do dyspozycji jest stanowisko do badań nad turbinami wiatrowymi oraz stanowisko z instalacją fotowoltaiczną, które umożliwi praktyczne ćwiczenia z zakresu pracy z wyspowymi instalacjami fotowoltaicznymi, kluczowymi dla rozwoju zdecentralizowanych źródeł energii. W pracowni znajduje się także stanowisko do eksperymentów z turbinami wodnymi, a także z kolektorem słonecznym.

215 mln zł na MAB-y

WARSZAWA Fundacja na rzecz Nauki Polskiej rozstrzygnęła dwa pierwsze nabory programu Międzynarodowych Agend Badawczych. Środki w wysokości 215 mln zł rozdysponowano między liderów siedmiu projektów: prof. **Martę Miączyńską** (Platforma RNA i biologii komórki dla badań i innowacji w medycynie), prof. **Wojciecha Knapa** (Centrum Badań i Zastosowań Terahercowych CENTERA2), prof. **Macieja Wojtkowskiego** (Międzynarodowe Centrum Badań Oka), prof. **Marka Żukowskiego** (Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych 2.0), prof. **Konrada Banaszka** (Optyczne Technologie Kwantowe), prof. **Tomasza Dietla** (Międzynarodowe Centrum Sprzężenia Magnety-

zmu i Nadprzewodnictwa z Materiał Topologiczną), prof. **Natalii Marek-Trzankowskiej** (Nauka dla dobra społecznego, innowacji i skutecznych terapii). Kolejne nabory zaplanowano w sierpniu. Pięciu spośród obecnych laureatów realizowało już program MAB w wyniku zwycięstwa w konkursach z lat 2016–2018. To profesorowie: K. Banaszek, T. Dietl, W. Knap, M. Wojtkowski i M. Zukowski.

Otwarto Centrum Offshore

GDYNIA Uniwersytet Morski w Gdyni otworzył Centrum Offshore. Inwestycja, która pochłonęła 64 mln zł, wpisuje się w strategiczne cele uczelni. UMG od lat jest liderem na polskim rynku offshore w zakresie badań środowiskowych i wykonywania dokumentacji środowiskowej, geofizycznej, geolo-



Fot. UMG

gicznej i geotechnicznej dla inwestycji morskich, szczególnie w odniesieniu do energetyki wiatrowej. Centrum umożliwi prowadzenie kompleksowych, specjalistycznych prac badawczych i rozwojowych na potrzeby innowacyjnego przemysłu morskiego. Obecnie, poza UMG, żadna z jednostek badawczo-rozwojowych w kraju nie wykonuje takich prac. Kluczowym atutem jest bezpośredni dostęp do Nabrzeża Wisłoujście, które umożliwi postój i obsługę statków badawczych, szkoleniowych oraz serwisowych. W Centrum mieścić się będą certyfikowane laboratoria Instytutu Morskiego UMG, m.in. Laboratorium Geotechniczne Zakładu Geotechniki Morskiej, Laboratorium Zakładu Ochrony Środowiska (analizy chemiczne) oraz Laboratorium Elektroniki Morskiej (monitoring zagrożeń środowiskowych).

Humanisci pod nowym adresem

BIAŁYSTOK W przyszłym roku humaniści z Uniwersytetu w Białymstoku zyskają nową siedzibę. Rozpoczęta właśnie inwestycja pochłonie ponad 84 mln zł. To kolejny etap rozbudowy kampusu przy ul. Ciołkowskiego. Trzykondygnacyjny gmach o powierzchni prawie 9,5 tys. m² stanie obok Planetarium i Obserwatorium Uniwersytetu w Białymstoku. Znajdzie się w nim m.in. modułowa aula na 300 miejsc (z możliwością wydzielenia mniejszych sal – na 100 lub 200 osób). Na poziomie I piętra obiekt będzie połączony nadziemną zabudowaną kładką z położoną obok Biblioteką Uniwersytecką. Do nowego obiektu przeprowadzą się: Wydział Filologiczny, Wydział Historii, Wydział Filozofii, Wydział Studiów Kulturowych a także Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych. W jednostkach tych zatrudnionych

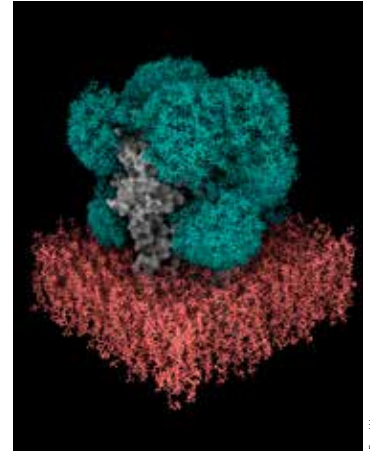


Fot. UWB

jest ponad 200 pracowników. Na wydziałach humanistycznych kształcą się niemal 1400 studentów, jest też prawie 60 doktorantów.

Algorytm do szybkiej wizualizacji

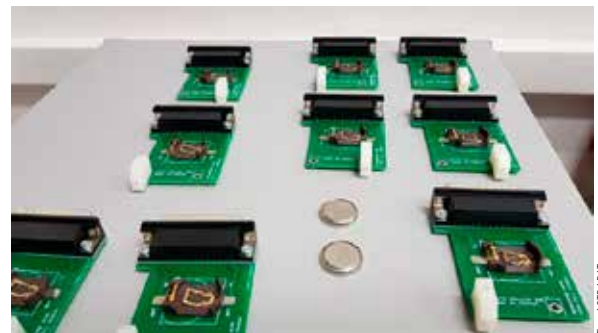
KRAKÓW Dr Mateusz Sikora z Uniwersytetu Jagiellońskiego opracował rewolucyjne podejście do szybkiej wizualizacji białek i cukrów. To efekt algorytmu GlycoSHIELD powstałego w ramach działającego od ubiegłego roku Centrum Dioscuri. Symulacje komputerowe, które pozwalają zobrazować, jak glikany pokrywają powierzchnie białek, wymagają setek tysięcy godzin na przeznaczonych do tego superkomputerach, co nie pozwala na ich rutynowe użycie np. w procesie tworzenia nowych leków. Nowy, bardzo wydajny algorytm potrzebuje do tego czasu liczonego w minutach. GlycoSHIELD jest nie tylko szybszy, ale też bardziej ekologiczny. Za jego pomocą każdy może na swoim komputerze osobistym lub też używając aplikacji online zwizualizować rozkład i dynamikę zachowań cząsteczek cukru na białkach. Stworzone oprogramowanie może być pomocne przy opracowywaniu nowych szczepionek, leków i zaawansowanych terapii, np. immunoterapii nowotworowej.



Fot. UI

Nowa europejska bateria

WARSZAWA Nową baterię, bezpieczniejszą i o większej stabilności termicznej, stworzyło międzynarodowe konsorcjum ASTRABAT z udziałem Politechniki Warszawskiej. Bateria składa się z trzech podstawowych elementów: dwóch elektrod (katody i anody) oraz łączącego je elektrolitu. To w materiałach, z któ-



Fot. ASTRABAT

rych powstają te komponenty, szuka się poprawy właściwości całej baterii. Zamiast płynnego elektrolitu zastosowano najnowocześniejsze elektrolity polimerowe i wytrzymały wypełniacz ceramiczny. Naukowcy z PW odpowiadali za zaprojektowanie i syntezę soli litowej oraz plastyfikatora z cieczy jonowej, a następnie powiększenie skali ich produkcji. Testowali także kluczowy składnik – stały elektrolit, który różni tę baterię od istniejących rozwiązań. Realny termin wdrożenia nowej technologii na większą skalę to przełom tej i następnej dekady. W projekcie uczestniczyło 14 partnerów z 8 państw europejskich.

Na zdrowie!

KRAKÓW Uniwersytet Rolniczy w Krakowie uruchomił Centrum Innowacji oraz Badań Prozdrowotnej i Bezpiecznej Żywności. To jednostka badawcza, której celem jest przede wszystkim prototypowanie produktów żywnościowych trafiających do odbiorców z określonymi prozdrowotnymi potrzebami. Budynek, który stanął przy ul. Balickiej, ma powierzchnię ponad 3,1 tys. m². Zlokalizowano w nim pracownie nutrygenomiki, proteomiki, histologiczną i komórek pierwotnych. Inwestycja kosztowała ponad 70 mln zł. Technolodzy żywności, specjaliści ds.



Fot. URK

żywienia, inżynierowie mechanicy i inżynierowie procesowi oraz chemicy, biochemicy, biotechnolodzy i analitycy, specjaliści z zakresu rolnictwa, ogrodnictwa, zootechniki, weterynarii, ochrony środowiska, automatyki, analizy danych zajmą się poprawą jakości produktów spożywczych. Badania dostarczą innowacyjnych, nowatorskich i udoskonalonych produktów spożywczych zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami konsumentów.

Skoczkowie i narciarze pod lupą

KRAKÓW Politechnika Krakowska i Polski Związek Narciarski rozpoczynają współpracę naukowo-techniczną. Jednym z zagadnień, które skupią uwagę naukowców i specjalistów ze sztabów trenerskich jest wiatr i związane z nim wyzwania. W zasobach Laboratorium Aerodynamiki Środowiskowej znajdują się m.in.



Fot. Jan Żych

tunele aerodynamiczne o zróżnicowanych przesłoniach pomiarowych i możliwościach badawczych, pracownie laboratoryjne materiałów i procesów fizycznych oraz pracownie rozwiązań prototypowych. Planowane

jest m.in. poddawanie sportowców obciążeniu wynikającym z napływającego powietrza w różnym zakresie prędkości, analizowanie warunków opływu powietrza wokół sylwetek narciarzy i skoczków, testowanie i dobór geometrii odzieży oraz elementów sprzętu: nart, butów, kombinizonów, kasków, gogli. W pierwszym wspólnym projekcie stworzone zostanie stanowisko do badania wybicia z pręgu skoczni oraz do badań oporu aerodynamicznego pozycji sportowca.

Doktorat h.c. – prof. Franciszek Marek

OPOLE Pierwszy demokratycznie wybrany rektor Uniwersytetu Opolskiego został uhonorowany tytułem doktora honoris causa tej uczelni. Uroczystość uświetniła obchody jubileuszu 30-lecia UO. Prof. Marek kierował uniwersytetem w latach 1995–1996. Wcześniej prowadził Katedrę Historii Oświaty i Wychowania, był prodziekanem i dziekanem Wydziału Filologiczno-Historycznego. Od 1992 do 1994 roku był sędzią Trybunału Stanu. Jako badacz najwięcej uwagi poświęcał zagadnieniom historii oświaty i wychowania, problematyce relacji polsko-niemieckich analizowanych z perspektywy śląskiego pogranicza i postrzeganych w kontek-



Fot. UO

ście nietatwych meandrów polsko-niemieckiego sąsiedztwa. Od 1994 r. Uniwersytet Opolski nadał najwyższą godność akademicką już 48 osobom.

Przełomowy eksperyment

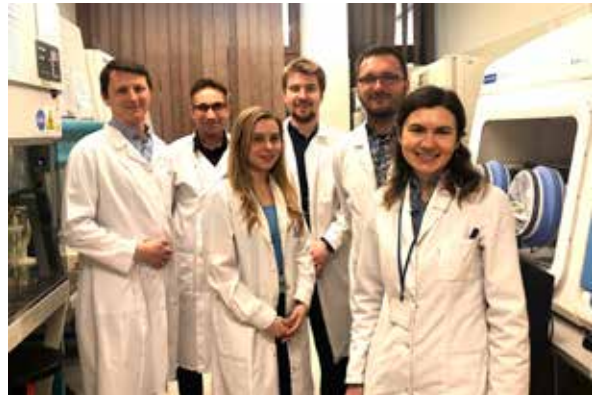
GENEWA W CERN przeprowadzono przełomowy eksperyment, w którym wzięli udział naukowcy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Instytutu Fizyki Polskiej Akademii Nauk oraz Politechniki Warszawskiej. Pionierskie badanie polegało na schłodzeniu pozytonu za pomocą światła laserowego. Naukowcom udało się obniżyć temperaturę próbki ponad dwukrotnie: z 380 do 170 K. Wykorzystali do tego laser szerokopasmowy, co więcej, przeprowadzili eksperyment bez stosowania zewnętrznego pola elektrycznego lub magnetycznego, upraszczając konfigurację eksperymentalną i wydłużając czas życia pozytonium. Osiągnięcie to toruje drogę dla zupełnie nowego zestawu badań antymaterii, w tym produkcji układu materia-antymateria, który emituje światło gamma podobne do laserowego.



Fot. CERN

Nowatorska terapia zwłóknień?

KRAKÓW Zwłóknienia narządów będzie można w przyszłości leczyć z wykorzystaniem sił natury. Mają w tym pomóc pęcherzyki zewnątrzkomórkowe, czyli nanostruktury wydzielane przez komórki różnych organizmów. Zespół dr n. med. Sylwii Bobis-Wozowicz z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego odkrył, że biomolekuły mikro RNA zawarte w pęcherzykach wykazują silne właściwości przeciwzwłóknieniowe. W eksperymentach in vitro oraz



Fot. UJ

in vivo zaobserwowano, że po podaniu pęcherzyków zewnątrzkomórkowych następowała znacząca lub całkowita redukcja białek odpowiedzialnych za postępujące usztywnienie tkanek. Co ważne, odkryte zjawisko ma charakter uniwersalny. Zidentyfikowane mikro RNA działa tak samo skutecznie w przypadku leczenia zwłóknień różnych narządów: serca, płuc, trzustki czy wątroby. W opinii badaczy z UJ, pęcherzyki zewnątrzkomórkowe mogą być wkrótce brane pod uwagę przez sektor farmaceutyczny jako podstawa do opracowania nowej terapii zwłóknień narządowych.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Katarzyna Dziedzic, Anna Kułynycz, Izabella Majewska, Daiwa Maksimowicz, Kamil Sikora, Małgorzata Syrada-Sliwa, Zuzanna Szvedek-Kwiecińska, Krzysztof Szymański, Dominika Wajtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku  
i na platformie X 

OPI – raport „Nauka w Polsce 2023”

Nie tylko dobre wieści

Każdorazowo raport Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego pt. *Nauka w Polsce* (tutaj odpowiedni rok) przynosi szereg interesujących, a czasami także intrygujących informacji dotyczących polskiej sfery badawczo-rozwojowej, w tym nauki i szkolnictwa wyższego oraz jej relacji do świata. Tak jest także w raporcie za rok 2023, choć w praktyce rzadko dotyczy on tytułowego roku, najczęściej raportowane dane kończą się na roku 2021 lub 2022. Niemniej są to ostatnie pewne dane dotyczące prezentowanych sektorów aktywności państwa w zakresie B+R. Trzeba z tego raportu, wiedzy w nim zawartej wyciągnąć wnioski i zastosować je już w najbliższej ewaluacji, np. w kwestii punktowania czasopism/artykułów.

B+R wciąż za Europą, ale z nadzieją

Dobrze, że OPI odróżnia sferę B+R od nauki, bowiem choć naukę ona w dużej mierze zawiera, to przecież dotyczy w ogromnej części spraw, które z nauką wiele wspólnego nie mają, czyli rozwoju w bardzo szerokim ujęciu. Także większość podmiotów ją rozwijających to przedsiębiorstwa. Działalność B+R w 2021 roku prowadziło w Polsce 7370 podmiotów, z czego aż 92% stanowiły firmy, a tylko 4% podmioty szkolnictwa wyższego. Na rzecz badań i rozwoju pracowało w kraju ponad 305 tys. osób, ale w przeliczeniu na czas pracy było to tylko 185 tys., co w praktyce oznacza, że znaczna ich część nie poświęcała całego czasu pracy na rzecz B+R. Inaczej niż w przypadku liczebności podmiotów, wygląda kwestia zatrudnienia. Sektor przedsiębiorstw zatrudnia „tylko” 57% ogółu (105,1 tys.), a sektor szkolnictwa wyższego 40% (73,9 tys.). Kobiety stanowią nieco ponad 1/3 pracujących na rzecz B+R, ale w firmach stanowią one 26%, zaś w szkolnictwie wyższym 49% pracowników. Wśród zatrudnionych w sferze B+R było 135 650 badaczy. Stanowili oni 73% pracowników tego sektora. W 2011 roku było ich tylko 64 133, zatem w ciągu dziesięciu lat nastąpił ponad dwukrotny wzrost ich liczby. Pod względem liczby badaczy Polska znajduje się teraz na piątym miejscu w Europie za Niemcami (460 tys.), Francją (340 tys.), Włochami (173 tys.) i Hiszpanią (154 tys.). Rok do roku nasz kraj odnotował czwarte w krajach UE tempo wzrostu liczby badaczy – o 8,9%. Wyprzedzały nas tylko Belgia (19%), Litwa (11%) i Włochy (10%). Nieco inaczej kształtuje się udział badaczy w ogóle zatrudnionych – jest ich 0,84%. To poniżej średniej unijnej, która wynosi 1,04%.

Europejscy liderzy to Szwecja – 2,67% zatrudnionych to badacze, Finlandia – 1,76%, Dania – 1,62% i Belgia – 1,59%. Kolejny parametr to nakłady na B+R w przeliczeniu na jednego zatrudnionego. Wynoszą one w Polsce 203 tys. zł, a w przeliczeniu na badacza – 278 tys. zł. W kontekście unijnym w Polsce było to 61 tys. euro, co sytuuje nas w okolicach Portugalii (64 tys. euro) i Rumunii (60 tys. euro), Grecji (58 tys. euro) i Węgier (58 tys. euro), lecz zostajemy daleko w tyle za europejskimi liderami: Niemcami (244 tys. euro) i Austrią (235 tys. euro), państwami znacznie od Polski bogatszymi.

Kilkanaście lat temu Polska podjęła zobowiązanie, że w 2020 roku finansowanie sfery B+R w naszym kraju osiągnie poziom 1,7% PKB. Tak się nie stało do tej pory. Swojego zobowiązania w tym zakresie nie zrealizowała też Unia Europejska jako całość, jednak o ile unijna średnia nakładów na B+R wynosi 2,26% PKB, to w Polsce na ten cel przeznaczamy tylko 1,44% PKB. Warto jednak zauważyć, że w UE nakłady na B+R wzrosły od 2011 r. z 2,02% PKB do wspomnianych 2,26%, natomiast w Polsce z 0,75% PKB do 1,44%, a zatem niemal dwukrotnie. Podobne do naszego kraju relacje nakładów na B+R do PKB mają Hiszpania (1,43%), Grecja (1,45%) i Włochy (1,48%). Najwyższe wartości zanotowano w Szwecji (3,35%), Belgii (3,22%), Austrii (3,19%) i Niemczech (3,13%). W 2021 roku nakłady na B+R wyniosły w Polsce 37 637 mln zł i były aż 3,2 razy wyższe niż 10 lat wcześniej (11 687 mln zł w 2011 r.). Wśród 27 państw unijnych zajmujemy pod tym względem 10 miejsce z nakładami na poziomie 8,25 mld euro. W 2021 r. Polska zwiększyła środki na B+R w stosunku do roku poprzedniego o 13%, co sytuuje nas na 4. miejscu w UE (wraz z Cyprem, a za Estonią, Węgrami i Chorwacją). W 2021 roku nakłady firm na B+R wyniosły w Polsce 5,2 mld euro, co stanowi 0,91% PKB. Uplasowało to nasze państwo pod tym względem w pobliżu Portugalii (1,00%), Włoch (0,91%) i Hiszpanii (0,80%). Najwyższe wskaźniki w UE miały: Belgia (2,42%), Szwecja (2,41%), Austria (2,22%), Niemcy (2,09%) i Finlandia (2,06%). Średnia wszystkich państw UE wyniosła zaś 1,49%. Także nakłady budżetowe, które wyniosły 2,6 mld euro, czyli 1,04% PKB, są w Polsce znacznie niższe od średniej unijnej, gdzie ten wskaźnik wynosi 1,48%. Niemcy, które są w tym względzie europejskim liderem, wydają z budżetu na B+R ponad 2% PKB. Znacznie lepiej wypadamy pod względem dynamiki wzrostu nakładów rok do roku. Wynosi on 15% i lokuje nas na pierwszym miejscu wraz z Bułgarią, Estonią, Luksemburgiem i Szwecją.

Liczebność badaczy (w EPC), ich udział w łącznej liczbie personelu B+R oraz zmiana procentowa w latach 2011–2021



* zmiana metodologiczna w 2016 roku, patrz Metodologia.

Źródło: opracowanie OPI PIB na podstawie danych GUS, stan na 31 grudnia określonego roku [dostęp 15 lutego 2023 roku].

Jak wynika z tych zestawień, Polska w stosunku do swojego potencjału odstaje od europejskiej czołówki pod względem wydatków na badania i rozwój. Jednak dynamika wzrostu jest spora i plasuje nas w europejskiej czołówce. To daje pewną nadzieję na przyszłość, gdyż badania i rozwój to niezmiernie ważny czynnik rozwoju kraju, co pokazał raport Konferencji Rektorów Uniwersytetów Ekonomicznych.

Nauka w Polsce – kapitał ludzki

Sferę nauki tworzą w Polsce 364 instytucje: 132 uczelnie akademickie, w tym 103 uczelnie publiczne i 29 niepublicznych, 77 instytutów Polskiej Akademii Nauk, 69 instytutów badawczych, 26 instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicza oraz 60 innych instytucji (m.in. Polska Akademia Umiejętności, centra badawcze, instytucje kultury, fundacje, szpitale). W 2022 roku wszystkie one zatrudniały 72 556 badaczy (liczonych w pełnych ekwiwalentach czasu pracy). Większość z nich – 81% – pracowała na uczelniach publicznych, instytuty PAN zatrudniały 7,1%, a instytuty badawcze 5%. Badacze stanowili 68% pracowników polskich instytucji nauki i szkolnictwa wyższego, przy czym w placówkach PAN stanowili 72% wszystkich pracowników, a w uczelniach publicznych 71%. Najmniejszy odsetek badaczy w łącznej liczbie pracowników miały instytuty Łukasiewicza (46%) oraz instytuty badawcze (47%).

W przeliczeniu na ekwiwalenty pełnego czasu pracy najwięcej badaczy reprezentowało nauki: inżynieryjno-techniczne i społeczne (po 22%), ścisłe i przyrodnicze (17%) oraz medyczne i o zdrowiu (16%). Na uczelniach niepublicznych ponad połowa badaczy uprawiała nauki społeczne (56%), natomiast w instytutach Sieci Badawczej Łukasiewicza zdecydowaną większość stanowili przedstawiciele nauk inżynieryjno-technicznych (83%), a w instytutach PAN nauk ścisłych i przyrodniczych (52%).

Wśród badaczy najwięcej jest doktorów – 47%, a w placówkach PAN nawet 50%. Profesorowie stanowią 13%, a doktorzy habilitowani 29% badaczy. W instytutach Łukasiewicza oraz pozostałych podmiotach najwięcej było pracowników z tytułem zawodowym magistra lub równorzędnym. Niemal co trzeci badacz zatrudniony w instytucjach naukowych to tzw. młody naukowiec, czyli pracownik nauki bez stopnia naukowego albo do 7 lat po doktoracie.

Wśród wszystkich badaczy w instytucjach naukowych kobiety stanowiły 46%. Największy odsetek kobiet pracował w dziedzinie nauk medycznych i o zdrowiu (58%) oraz rolniczych (57%). Kobiety stanowiły też nieco ponad 50% badaczy w naukach społecznych i humanistycznych. Najmniej kobiet – tylko 29% – prowadzi badania w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych. Liczba kobiet wśród badaczy maleje wraz ze stopniem awansu akademickiego. W grupie magistrów jest ich 49%, wśród doktorów 52%, w grupie doktorów habilitowanych udział kobiet wynosi 43%, a w grupie profesorów tylko 29% to kobiety.

Nauka i pieniądze

W 2021 roku instytucje naukowe przeznaczyły ponad 17,5 mld zł na działalność badawczo-rozwojową. Spośród nich największą pulę środków na B+R – 10,7 mld zł – przeznaczyły publiczne szkoły wyższe, natomiast najmniejszą uczelnie niepubliczne – 364 mln zł. Przeważającą część nakładów wewnętrznych na działalność B+R stanowiły wydatki bieżące (86%). Nakłady na inwestycje w środki trwałe oscyływały od 7% w uczelniach niepublicznych do 15% w uczelniach publicznych i instytutach naukowych. Wartość brutto aparatury w instytucjach naukowych na koniec 2021 roku wyniosła 16,5 mld zł. Urządzenia zgromadzone

na uczelniach publicznych miały największą jej część (65%), a najmniejszą na uczelniach niepublicznych (0,5%). Największy stopień zużycia aparatury odnotowano na uczelniach niepublicznych (93%), a najmniejszy w pozostałych instytucjach (56%).

W 2022 roku podmioty naukowe nadzorowane przez MEiN otrzymały 16,5 mld zł subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego. Subwencja bazowa stanowiła 92% tej kwoty i była większa o ok. 8% w stosunku do poprzedniego roku. 82% subwencji trafiło do publicznych uczelni akademickich, po 5% do uczelni publicznych zawodowych i instytutów PAN, oraz po 2% do instytutów badawczych, instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicza oraz do uczelni niepublicznych.

Uczelnie akademickie otrzymywały ponadto finansowanie w ramach programu „Regionalna Inicjatywa Doskonałości”. W latach 2019-2022 łączna kwota dofinansowania wyniosła 326 mln zł. Największymi beneficjentami w układzie geograficznym były województwa: lubelskie (36 mln zł), śląskie (31 mln zł) i mazowieckie (29 mln zł). Jedna trzecia wszystkich środków RID wsparła nauki inżynieryjno-techniczne (135 mln). Warto zauważyć, że RID kosztował polskiego podatnika wielokrotnie mniej niż realizacja programu IDUB. Zapewne m.in. wskutek tego miał relatywnie niski wpływ na wyrównanie szans uczelni regionalnych w konkurencji z metropolitalnymi szkołami wyższymi. Ostatni konkurs RID być może nieco zmienia sytuację. Jego wpływ zobaczymy po zakończeniu realizacji.

Najwięcej instytucji naukowych w Polsce funkcjonowało w województwie mazowieckim, w 2022 roku swoją siedzibę miało tam 151 podmiotów, co stanowiło 41% wszystkich instytucji naukowych. Skupione na tym obszarze były przede wszystkim instytuty badawcze (48 na 69 w całym kraju), instytuty PAN (42 na 77) i instytuty Sieci Badawczej Łukasiewicza (12 na 26). Drugie pod względem liczby instytucji naukowych było województwo małopolskie (38 podmiotów, w tym po 11 uczelni publicznych akademickich i instytutów PAN). Znaczącym potencjałem naukowym charakteryzowało się również województwo śląskie (35 instytucji) oraz wielkopolskie (31 instytucji). Najmniej instytucji naukowych funkcjonowało na terenach województw lubuskiego (1), opolskiego (3) i świętokrzyskiego (3). Na terenach województw kujawsko-pomorskiego, lubuskiego, opolskiego, podkarpackiego, świętokrzyskiego i zachodniopomorskiego nie funkcjonował żaden instytut badawczy ani instytut PAN. Także w sensie osiągnięć te tereny stanowią naukowe pustynie. To wyzwanie dla animatorów polityki naukowej państwa.

Ta sytuacja pokazuje nierówny rozkład potencjału naukowego w Polsce, co ma swoje konsekwencje. Przy takiej koncentracji potencjału badawczego nie dziwi pozycja Warszawy i Krakowa w grantach Narodowego Centrum Nauki. Na 11 095 grantów przyznanych w latach 2018-2022 aż 3454 (31,1%, czyli mniej niż odsetek instytucji

Odsetek badaczy (w EPC) w 2022 roku według płci oraz stopni i tytułów



* magister i równorzędne tytuły zawodowe

Uwaga: pominięto pracowników o pozostałych tytułach zawodowych oraz tych, dla których brakowało informacji o rodzaju osiągnięcia.

Źródło: opracowanie GPI PIB na podstawie danych z systemu POL-on, stan na 31 grudnia 2022 roku [dostęp 29 sierpnia 2023 roku].

naukowych w tym województwie) trafiło do podmiotów z woj. mazowieckiego, a 2053 – małopolskiego. Oznacza to, że do obu tych regionów trafiło aż 49,6% grantów NCN. Także w konkursach Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oba te regiony zdobyły najwięcej grantów: mazowieckie – 964, a małopolskie 440; tuż za nim z niewielką stratą śląskie – 356. W sumie dwa pierwsze województwa uzyskały 40,7% grantów NCBR, a wraz ze śląskim 51%. Znowu obserwujemy koncentrację środków grantowych w niewielkiej grupie regionów.

Nieco inny był rozkład laureatów konkursów Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, przeprowadzonych w latach 2018–2021. Na sfinansowanie 250 projektów przeznaczono 160,7 mln zł. Uczelnie publiczne realizowały 136 projektów, reszta zaś trafiła do instytutów PAN i pozostałych podmiotów. Wśród liderów tego programu, oprócz tradycyjnych województw mazowieckiego (70 grantów) i małopolskiego (23 granty – wszystkie UJ), znalazło się woj. lubelskie (20 grantów, w tym KUL – 11 i UMCS – 9).

Ważnym i coraz ważniejszym źródłem finansowania współpracy międzynarodowej staje się Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej. W latach 2018–2022 w 7 programach NAWA sfinansowano 4230 projektów o wartości 887,5 mln zł.

Ciekawe informacje przynosi raport na temat programów europejskich, tak ramowych: Horyzont 2020 i Horyzont Europa, jak i grantów European Research Council. Uczestnictwa zespołów z Polski w programach ramowych w latach 2014–23 stanowiły 2,4% w finansowanych projektach zespołów z państw UE, a taki odsetek dało nam 3180 uczestnictw. Udział otrzymanego dofinansowania wyniósł 1,6%, czyli 776,9 mln euro. Warto zauważyć, że polskie instytucje uzyskały 19,3% uczestnictw w stosunku do tego, ile uzyskały instytucje niemieckie (16 437), które są europejskim liderem tego porównania. Kwotowo wygląda to jeszcze gorzej, bowiem 776,9 mln euro to tylko 9,3% tego, co zdobyły Niemcy – 8 377,6 mln euro. Na dodatek 1,6% uzyskanych środków to niewiele ponad połowa naszego wkładu do programów ramowych UE. Polska była jednak liderem wśród krajów, które przystąpiły do Unii po 2004 roku. W grupie UE13 polskie uczestnictwa stanowiły 17,8% liczby projektów, a zdobyliśmy 19,5% dofinansowania

netto wśród krajów UE13. Zaliczono nas do grona sześciu tzw. wschodzących innowatorów, czyli najsłabszych państw w UE pod względem innowacyjności.

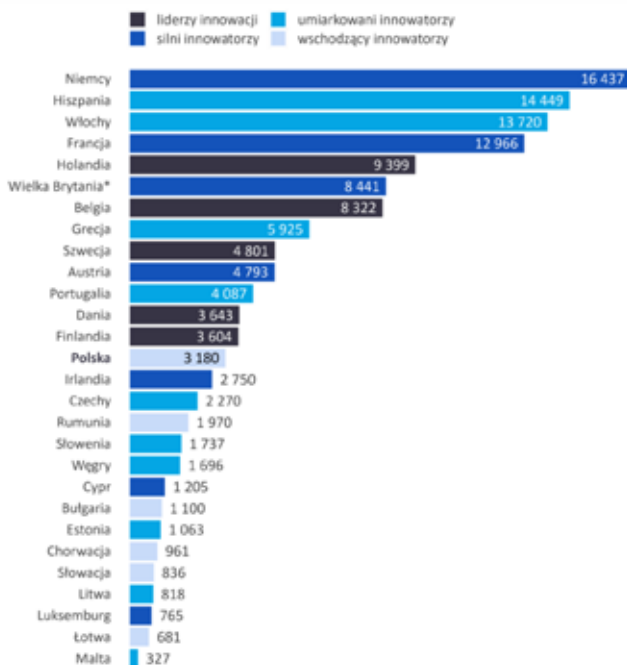
Także w konkursach ERC nasi badacze nie dokonali cudów. Wg raportu, w latach 2014–23 zdobyli 65 grantów, głównie tzw. Starting Grants dla młodych naukowców (36 grantów). Nasze granty stanowiły 0,58% finansowanych przez ERC projektów, realizowanych w instytucjach z UE, a udział otrzymanego dofinansowania wyniósł 0,63% (97,5 mln euro). I znów było to tylko 3% grantów, które zdobyli Niemcy, lider tego zestawienia; kwotowo – 2,9%. Polskie instytucje ustępowały nie tylko unijnym potęgom naukowym, ale także instytucjom z Danii, Portugalii czy Czech, państw znacznie mniejszych od Polski. Trzeba jednak przyznać, że powoli uczymy się zdobywać granty ERC, a dotyczy to zwłaszcza młodych badaczy. Informacje o kolejnych polskich laureatach konkursów ERC pojawiają się coraz częściej.

Efekty działalności naukowej

W raporcie *Nauka w Polsce 2023* najbardziej intrygujące są dane dotyczące efektów działalności naukowej.

W latach 2018–2022 polscy naukowcy opublikowali ok. 536,9 tys. prac naukowych, z czego 69% to artykuły, 27% rozdziały w monografiach, a 4% monografie. Tyle zaraportowano w Wirtualnej Bibliotece Nauki. Tylko 3% artykułów zostało opublikowanych w czasopismach 200-punktowych, 16% w periodykach „wycenionych” na 140 punktów, a 19% na 100 punktów. Wbrew powszechnemu mniemaniu, w kolejnych latach następował nie wzrost, ale spadek liczby publikacji: w 2021 roku polscy naukowcy opublikowali ponad 106 tys. prac mniej (o 23% mniej) niż w 2018 roku. Największy spadek dotyczył rozdziałów w monografiach (o 38%). Liczba artykułów zmalała o 17%, a monografie o 15%. Równocześnie rośnie liczba publikacji najwyższej punktowanych: w czasopismach za 200 punktów wzrosła o 46%, a za 140 punktów o 141%. Artykuły publikowane w czasopismach mieszczących się w trzech niższych progach stanowiły mniej niż połowę wszystkich, zaś między rokiem 2020 a 2021 nastąpił spadek liczby takich tekstów o 24%. Prace anglojęzyczne stanowiły 55% publikacji naukowych, w tym 69% artykułów. Z kolei więk-

Liczba uczestnictw w finansowanych projektach zespołów państw UE w roli uczestników projektów w programie Horyzont 2020 i Horyzont Europa w latach 2014–2023



* Wielka Brytania została włączona do statystyk w okresie objętym unijnym członkostwem.

Źródło: opracowanie OPI PIB na podstawie danych KPK, stan na 8 września 2023 roku.

szość monografii i rozdziałów monografii opublikowano po polsku (odpowiednio 84% i 70%). Autorami większości publikacji byli pracownicy uczelni publicznych: 82% artykułów i monografii naukowych oraz 87% rozdziałów w monografiach. Za to naukowcy z PAN, którzy odpowiadają jedynie za 8% „produkcji naukowej”, opublikowali najwięcej artykułów w przeliczeniu na jednego badacza (11), mieli też najwyższy udział w pracach najwyższej punktowanych (59% za 100 i więcej punktów). Największy udział w najwyższej punktowanych pracach – 200 i 140 punktów – mieli przedstawiciele nauk ścisłych i przyrodniczych (odpowiednio 41% i 35%) oraz inżynierijno-technicznych (25% i 27%). Za to za najwyższy odsetek publikacji w ogóle odpowiadają reprezentanci nauk społecznych, są autorami 29% wszystkich polskich publikacji, przy czym w przypadku monografii jest to aż 48%, a rozdziałów w monografiach 40%. Im wyższy status naukowy, tym więcej prac i tym więcej prac wysoko punktowanych. I tak na profesora przypadło po 13 artykułów, doktora habilitowanego 11, doktora 7, a magistra 4. Na 10 profesorów przypadły 4 prace za 200 punktów i 19 za 140, na 10 dok-

Żebracze instytuty

Jak skutecznie obniżyć potencjał naukowy PAN

Prof. Adrian Jusupović, kierownik Zakładu Badań Źródłoznawczych i Edytorstwa Instytutu Historii im. T. Manteuffla Polskiej Akademii Nauk, członek Akademii Młodych Uczonych PAN, w poszukiwaniu przyczyn finansowych kłopotów instytutów humanistycznych PAN zagląda na karty narodowej epepei.

Zmiana ustrojowa spowodowała, że przez długie lata nauka w Polsce była słabo finansowana. Poprawiło się najpierw na uczelniach, zaś instytuty Polskiej Akademii Nauk czekały na swoją kolej. Szczególnie zła sytuacja panowała w dziedzinie nauk humanistycznych. Jeszcze w drugiej dekadzie XXI wieku były instytuty, w których pensja tzw. profesora belwederskiego wynosiła nieco ponad 3000 zł na rękę. Należy również podkreślić, że pracownicy instytutów PAN nie dostają tzw. trzynastej pensji, premie są uzależnione od sytuacji finansowej jednostki, w której pracują (w praktyce oznacza to ich brak), na ogół pracują na komputerach prywatnych kupionych za własne pieniądze, a miejscem pracy najczęściej jest mieszkanie prywatne. Nie wyobrażam sobie urzędnika w ministerstwie, który musiałby z własnej pensji zakupić niezbędny sprzęt i oprogramowanie do pracy.

Odczuwalna zmiana wysokości finansowania w niektórych instytutach PAN nastąpiła w latach 2014–2015 i trwała do 2017 r. I tak np. w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN w 2015 r. dotacja bazowa wynosiła 10 335 870 zł, zaś w 2017 r. wzrosła do 16 490 297 zł i pokrywała większą część budżetu instytutu. Niestety, w 2018 r. kwota subwencji zmalała do 9 565 660 zł, zaś w 2019 r., kiedy to przepisy wynikające z wysokości minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego dla profesora uczelni publicznej objęły również instytuty PAN (rok po wprowadzeniu ich na uczelniach), została zwiększona do 10 079 900 (dokładnie ta sama kwota została przewidziana na 2020 r.).

Z roku na rok sytuacja finansowa Instytutu Historii była coraz gorsza. Pracownicy byli zachęceni do zdobywania grantów, aby dzięki środkom zewnętrznym załatać dziurę w budżecie placówki. Pomimo nieznacznie zwiększonej subwencji w roku 2021, do kwoty 10 769 600 zł, IH PAN, podobnie jak niektóre inne instytuty humanistyczne, nie był w stanie uchronić się przed dziurą budżetową, ale pod koniec roku udało się wynegocjować dodatkowe środki w wysokości 589 000 zł na pokrycie grożącej placówce straty. Szalejąca inflacja spowodowała, że w roku 2022 pomimo kolejnego zwiększenia kwoty subwencji – do 10 985 000 zł – znowu pojawił się deficyt. Instytut otrzymał zastrzyk dodatkowych środków w wysokości 2,5 mln. zł. W kolejnym roku, pomimo świadomości ministerstwa o kłopotach finansowych instytutu, dotację bazową zmniejszono do 10 307 000, aby następnie zwiększyć ją do 11 534 300 i dwukrotnie powiększyć ją odpowiednio o 401 300 oraz 419 500 zł. Nawet te dodatkowe środki nie pozwoliły na zbilansowanie rocznego budżetu i jednostka zakończyła rok 2023 na minusie.

Decyzja z początku tego roku o przyznaniu instytutom Akademii dodatkowych 180 mln zł była prawdziwą ewangelią (dobrą nowiną) dla tych placówek. W żebracze instytuty humanistyczne tchnięto nadzieję, że będą miały środki, aby zasypać dziurę budżetową z roku 2023 r. Euforia nie trwała długo. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego szybko wylało kubeł zimnej wody na głowy dyrektorów tych placówek – w uzasadnieniu do Komunikatu ministra nauki z dnia 23 lutego 2024 r. (o zwiększeniach wysokości subwencji ze środków finansowych na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego przyznanych na rok 2024 (podwyżki 2024) przeczytali, że dodatkowe środki przeznaczone są wyłącznie na podwyżki.

Powód złej sytuacji żebraczych instytutów wynika z jednej strony z niedopracowanych algorytmów finansowania, szczególnie niekorzystnych dla dokumentalistów i laborantów, którzy często są magistrami. Praca tej

kategorii badaczy nie doczekała się ani uznania, ani nawet rzetelnej dyskusji nad opracowaniem odpowiedniej dla nich ścieżki kariery. Nie każdy laborant/dokumentalista musi robić stopnie naukowe, które są brane pod uwagę przy przeliczaniu wysokości subwencji. W przypadku żebraczych instytutów PAN, które w przeciwieństwie do uczelni realizują duże zespołowe projekty, niekorzystne algorytmy finansowania powodują, że subwencja nie wystarczy na pokrycie wszystkich płac. Zapewne sytuacja ta jest pochodną polityki zmierzającej do reformy PAN, a tymczasowo skutkującej ograniczeniem finansowania instytutów. Wyraźnie brakuje dużych grantów dla humanistyki, które wspierałyby ważne dla kultury polskiej (tudzież europejskiej) zespołowe projekty badawcze. W naukach ścisłych tę rolę pełni NCBR. W humanistyce podobne zadania miał realizować Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, który pierwotnie finansować miał duże zespołowe projekty jak np. „Polski Słownik Biograficzny”, czy też „Słownik Łaciny Średniowiecznej”. Jedno zadanie mogło otrzymać nawet 16 mln zł (i więcej), co było dużym obciążeniem dla jednostki i pozwalało odpowiednio wynagradzać dokumentalistów. Gdy ministrem był Jarosław Gowin, program ten został tak zmieniony, że maksymalna kwota dofinansowania projektu w NPRH została ustalona na poziomie 1,8 mln zł.

Chcąc uzyskać właściwy obraz finansów instytutów PAN, trzeba uwzględnić inflację. Budżet Instytutu Historii w roku 2018 zmniejszył się o prawie 7 mln zł w stosunku do roku 2017, a dane inflacyjne podawane przez GUS wyglądały następująco: 2018 – 1,6%, 2019 – 2,3%, 2020 – 3,4%, 2021 – 5,1%, 2022 – 14,4%, 2023 – 11,4%. Uwzględniając dotację z 2017 r. oraz inflację, subwencja powinna się zwiększyć do kwoty 23,7 mln zł. Tymczasem w roku 2023 wynosiła 12 355 100 zł, co stanowi ok. 45% potrzeb instytutu, którego całkowity budżet wynosi ok. 28 mln zł. Brakujące 55% finansów IH PAN pochodziło z grantów, zdobywanych w konkursach przez pracowników placówki. Fundusz placowy wynosił ok. 150% wartości subwencji, co oznacza, że co trzecia wypłacana pensja pochodziła z grantu. Z jednej strony jest powodem do dumy, że instytut tak skutecznie pozyskuje środki konkursowe, z drugiej jest to sytuacja nienormalna. Gdy rozmawiam z badaczami niemieckimi, ci zawsze podkreślają, że ich jednostki dostają środki, które w 100% pokrywają potrzeby ich wydziału, zarówno na działalność naukową, jak i wynagrodzenia, które są kilkakrotnie wyższe niż w nauce polskiej. O granty starają się tylko wtedy, gdy nie są w stanie pokryć kosztów badań z własnego budżetu. Instytut Historii PAN ze wspomnianej wyżej kwoty 180 mln zł otrzyma 2,4 mln, co pokryje przede wszystkim dziurę budżetową z roku 2023. Na minimalne wynagrodzenia wynikające z rozporządzenia ministra nauki zostanie niewiele. Podział środków przez kierownictwo Akademii pokazał, że decyzje o subwencji powinny zapadać bezpośrednio w ministerstwie dla każdego instytutu PAN z osobna, tak jak to miało miejsce dotychczas, ponieważ korporacja ignoruje głos tych żebraczych.

Minister Przemysław Czarnek pozwalał egzystować żebraczym instytutom PAN, każdorazowo pod koniec roku przeprowadzając ich resuscytację. Nowy rząd, z braku odpowiedniej wiedzy – mam nadzieję, że tylko taki jest powód obecnej sytuacji – swoimi działaniami może im zadać ostateczny śmiertelny cios. W epepei *Pan Tadeusz* występuje postać Jacka Soplicy, członka zakonu żebraczego, który jeździł od dworu do dworu, zbierając fundusze dla swojego zgromadzenia. Czyżby dyrektorów instytutów żebraczych PAN czekał ten sam los?

Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach powstał w 2011 roku. Jego historia sięga jednak korzeniami roku 1969, a zatem 55 lat wstecz, gdy w Kielcach powstała Wyższa Szkoła Nauczycielska. W 1969 roku studia na sześciu kierunkach rozpoczęło w niej 249 studentów. Ich liczba systematycznie rosła, dochodziły nowe kierunki kształcenia, a struktura, status i nazwa uczelni zmieniały się. W 1974 roku kielecka WSN została przekształcona w Wyższą Szkołę Pedagogiczną, która w 1979 roku zyskała patrona – Jana Kochanowskiego. W roku 2000 uzyskała status Akademii Świętokrzyskiej im. Jana Kochanowskiego. Ta w 2008 roku została uniwersytetem przymiotnikowym, przybierając nazwę Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego Jana Kochanowskiego w Kielcach. W 2011 uczelnia uzyskała status uniwersytetu klasycznego i obecną nazwę: Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach. Ważną cezurą w rozwoju uniwersytetu było uruchomienie w 2015 roku kształcenia lekarzy, poprzedzone kilkunastoletnim kształceniem pielęgniarek.

Obecnie strukturę UJK tworzy 6 wydziałów – Collegium Medicum oraz wydziały: Humanistyczny, Nauk Ścisłych i Przyrodniczych, Pedagogiki i Psychologii, Prawa i Nauk Społecznych, Sztuki, a także Filia UJK w Sandomierzu, powstała w wyniku inkorporowania w 2016 r. tamtejszej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Uzupełniają ją jednostki ogólnouczelniane: Biblioteka Uniwersytecka, Archiwum Uniwersyteckie, Wydawnictwo Uniwersyteckie, Akademickie Biuro Karier, Centrum Nauki i Kultury, Centrum Wsparcia Osób z Niepełnosprawnościami, Uniwersytet Otwarty, Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości, Centrum Symulacji Medycznych, Centrum Wsparcia Psychologicznego i Psychoedukacji, Ośrodek Badań nad Chorobami Trzustki i Ośrodek Kształcenia Kadr Medycznych, a także międzywydziałowe: Uniwersyteckie Centrum Sportu, Studium Języków Obcych i Centrum Edukacji Nauczycielskiej.

Obecnie na 58 kierunkach, realizując 105 programów studiów, kształci się tam prawie 9,5 tys. studentów. W trybie stacjonarnym 6,7 tys., a w niestacjonarnym 2,7 tys. W gronie studentów jest 365 obcokrajowców. Ponadto 185 osób jest na studiach doktoranckich, w tym 9 do doktoranci międzynarodowi. Uniwersytet prowadzi szkołę doktorską, w której jest około 100 doktorantów, w tym 12 obcokrajowców. Na studiach podyplomowych kształci się 114 słuchaczy. Dotychczas UJK i uczelnie, których jest kontynuatorem, w ciągu 55 lat wykształciły 160 tys. absolwentów.

Kadrę UJK tworzy 1465 pracowników, wśród których jest 929 nauczycieli akademickich. W tej grupie 81 posiada tytuł naukowy profesora, a 205 to doktorzy habilitowani zatrudnieni na stanowiskach profesorów uczelni. Adiunktów jest 402, a asystentów 155. Uczelnia zatrudnia też 83 innych nauczycieli akademickich na stanowiskach lektorów, wykładowców, trenerów.

W ostatniej ewaluacji działalności naukowej w 2022 roku UJK podał ocenie 21 dyscyplin. Uzyskał 3 kategorie A, 15 kat. B+ i 3 kat. B. W ten sposób uniwersytet ma prawo doktoryzować i habilitować w 5 dziedzinach (nauk humanistycznych, społecznych, ścisłych i przyrodniczych, medycznych i o zdrowiu oraz sztuki), w 18 dyscyplinach naukowych. To znacznie więcej niż przed tą kategoryzacją, gdy miał prawa do doktoryzowania w 5 dziedzinach i 13 dyscyplinach oraz habilitowania w 3 dziedzinach i 4 dyscyplinach.

Badacze z UJK uzyskali 66 grantów Narodowego Centrum Nauki o łącznej wartości 21,5 mln zł. W programie Regionalna Inicjatywa Doskonałości uzyskali grant na projekt „RID dla Nauki i Zdrowia” o wartości 12 mln zł. Mają też 3 granty europejskie, kilka projektów inwestycyjnych i dydaktycznych.

Wśród projektów naukowych warto zwrócić uwagę na: przygotowanie do druku i wydanie krytycznej edycji trzech tomów *Dzienników* Stefana Żeromskiego w cyklu jego „Pism zebranych”, sześciotomowy

Słownik biograficzny profesorów Drugiej Rzeczypospolitej autorstwa Małgorzaty i Marka Przeniosłów (grant NPRH), projekt „Mikrokulki szklane – nowy wskaźnik losu pyłu drogowego w środowisku przyrodniczym”, dotyczący charakterystyki i oceny zasięgu transportu rzeczno i eolicznego mikrokulek szklanych stanowiących główny składnik farb stosowanych do malowania poziomych znaków drogowych, czy wreszcie finansowany przez NCN jeden z najwyższych grantów w historii UJK o wartości 4 mln zł „Struktury krytyczne w oddziaływaniach silnych”. Inne badania dotyczą historii sanktuarium i zabytków Świętego Krzyża czy monitorowania zagrożenia środowiska. UJK ma stację badawczą przy Jaskini Raj, obserwatorium astronomiczne i planetarium. W Collegium Medicum działa Ośrodek Badań nad Chorobami Trzustki. Pod kielecką Karczówką powstał uniwersytecki Ogród Botaniczny. Naukowcy świadczą usługi B+R dla firm. Projektami naukowo-badawczymi i ich komercjalizacją zajmuje się Centrum Zarządzania Projektami. Uniwersytet od 2017 roku może posługiwać się Logo HR Excellence in Research.

Pierwsze projekty naukowe studenci UJK realizują w 86 kołach naukowych. Od ponad 30 lat wiosną odbywa się konferencja, podczas której młodzi naukowcy dzielą się wynikami swojej pracy. Na UJK istnieją dwa chóry akademickie, jeden ogólnouniwersytecki, drugi Instytutu Edukacji Muzycznej UJK.

Zaplecze naukowe i dydaktyczne UJK stanowi 31 budynków w Kielcach i Sandomierzu o łącznej powierzchni 105 tys. m². W 5 domach studenckich jest 860 miejsc noclegowych. Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej liczą ponad 600 tys. książek i czasopism, w tym ponad 60 tys. książek i 1,7 tys. czasopism jest w wolnym dostępie. W bibliotece znajduje się 318 miejsc do pracy. Biblioteczne półki mają łącznie 21 kilometrów.

Uniwersyteckie Centrum Sportu organizuje zajęcia rekreacyjne: pływanie, ćwiczenia na siłowni czy aerobik. Osoby szukające mocniejszej dawki adrenaliny zapisują się do sekcji sportowych, m.in. Koszykówki, lekkiej atletyki, pływanie, tenisa stołowego, piłki nożnej, ręcznej i siatkowej. UCS dysponuje przestronną, pełnowymiarową halą do piłki ręcznej i trybunami na 300 miejsc, salą do aerobiku, siłownią oraz zapleczem rehabilitacyjnym. Koszykarze AZS UJK są jedynym zespołem basketu udanie reprezentującym Kielce w rozgrywkach krajowych. Uniwersyteckie Centrum Sportu od ponad 50 lat organizuje obozy narciarskie w Bukowinie Tatrzańskiej, obozy żeglarskie i rajdy piesze.

(PB, PK)

Fotoreportaż z UJK na 4 str. okładki



Trajektoria wznosząca

Badania naukowe na UMCS

Do ostatniej ewaluacji jednostek naukowych za lata 2017–2021 Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej przygotował dorobek badaczy z 23 dyscyplin. Jedna (archeologia) uzyskała kategorię naukową A+, 11 kategorię A, 10 kategorię B+ i jedna (matematyka) kategorię B. Ten niewątpliw sukces pracowników zaangażowanych w działalność naukowo-rozwojową uplasował UMCS w grupie uniwersytetów z największą liczbą kategorii A (i A+). Uczelnia zajmuje wraz z Uniwersytetem Śląskim 6. pozycję w tej grupie.

– Problem naszej matematyki, która uzyskała kategorię B, polega na zaburzeniu ciągłości rozwoju kadry. To dawne, nieco feudalne zwyczaje zaważyły na obecnej pozycji tej dyscypliny. Oczywiście mogliśmy jej nie poddawać ocenie, ale byłby to wyraz braku szacunku dla naukowców, którzy ją uprawiają. Teraz nasza polityka polega na wzmacnianiu matematyki, by w kolejnej ewaluacji wypadła lepiej. I nie zamierzamy ściągać kilku gwiazd, żeby zmienić tę dyscyplinę, ale prowadzimy pracę od podstaw. Uniwersytet ma być jednością, zatem musimy wspomagać słabszych, a nie usuwać ich – tłumaczy prof. Wiesław Gruszecki, prorektor UMCS ds. nauki i współpracy międzynarodowej. – Mamy też badaczy z dyscyplin nieewaluowanych, ale są nam potrzebni choćby w dydaktyce. Nasi informatycy zapisali się do dwóch dyscyplin: informatyki i telekomunikacji oraz informatyki. Ewaluowaliśmy tylko tę pierwszą. Nie robiliśmy ruchów kadrowych przed ewaluacją. Nie możemy malować trawy na zielono, chcemy uzyskać ogląd nas samych w świetle kryteriów, które są w ewaluacji brane pod uwagę. Mamy pewną strukturę naukową, tradycję, szacunek dla ludzi, którzy w tych warunkach chcą prowadzić działalność naukową. Mamy swoją przemyślaną politykę naukową. Nie będziemy pod jedną ewaluację robili ostrych zmian, które nie sprawdzą się w kolejnej. Jeśli nie postawimy na autentyczną ciekawość świata, entuzjazm badawczy, to na pewno w każdej ewaluacji stracimy. Jednak ta druga strona, czyli pozycja publikacyjna, od której w końcu zależą pieniądze, też jest ważna. Musimy te dwie kwestie równoważyć. Pojawiła się też u nas nowa, dwudziesta czwarta dyscyplina – stosunki międzynarodowe. Myślę, że ma dobrą reprezentację i osiągnie przyzwoity wynik w ewaluacji – kontynuuje prof. Gruszecki.

Od października 2020 do końca 2023 roku naukowcy z UMCS złożyli 517 wniosków o zewnętrzne finansowanie projektów badawczych. Dotychczas rozpoczęli realizację 110 grantów, w tym 96 finansowanych przez NCN, 11 przez MNiSW i 3 przez MKiDN. Wartość tych badań to prawie 43 mln zł. Dodatkowo pozyskali – głównie z MNiSW i NCBR – 23,6 mln zł na realizację kilkudziesięciu projektów związanych z upowszechnianiem badań naukowych i inwestycjami dotyczącymi działalności naukowej.

Jednym z probrerzy aktywności naukowej uczelni jest liczba uzyskanych grantów Narodowego Centrum Nauki. UMCS z 335 grantami jest pod tym względem na 16 miejscu wśród wszystkich uczelni w Polsce i na 10 miejscu wśród uniwersytetów klasycznych. Wartość grantów pozyskanych w NCN przez badaczy z UMCS wynosi 109,6 mln zł.

– Ludzie są nieśmiały w aplikowaniu o granty, co wynika z doświadczenia. Zatem rozpoczęliśmy szkolenia z tego zakresu, a także utworzyliśmy Biuro Projektów Krajowych. Jego pracownicy istotnie pomagają w przygotowaniu wniosku grantowego. Wszystkie dane formalne we wnioskach są wypełniane przez pracowników biura. Oni sprawdzają

je pod względem formalnym przed złożeniem do agencji finansującej. Naprawdę są nastawieni na pomoc naukowcom, a uzyskanie grantu jest wspólnym sukcesem. Ponadto, pomagają rozliczać granty, co dla naukowców też bywa problematyczne – mówi prof. Wiesław Gruszecki.

Od roku 2020 naukowcy z UMCS opublikowali wyniki swoich badań w 5850 artykułach w czasopismach naukowych, 2326 rozdziałach w monografiach, w 1033 monografiach, w tym 464 autor-skich i 569 redagowanych. W latach 2020–2023 z Funduszu Nagród Rektora wypłacono blisko 5 mln zł, honorując naukowców publikujących wysoko punktowane artykuły naukowe i monografie.

– Nasze nagrody za działalność naukową, np. za publikacje, nie są przyznawane tylko za liczbę punktów ministerialnych za dany artykuł, ale także za to, w którym kwartyle w bazach danych on się znalazł. Chodzi nam o to, żeby uniwersytet był rozpoznawalny przez publikacje – tłumaczy W. Gruszecki.

Ważna jest też działalność wdrożeniowa, wynikająca z prowadzonych badań. Od 2020 roku pracownicy UMCS stworzyli 65 wynalazków, wzorów użytkowych i przemysłowych oraz 3 znaki towarowe. Uzyskali ochronę prawną na 16 wynalazków, 4 wzory użytkowe i jeden wzór przemysłowy, a także na wszystkie 3 znaki towarowe. W trakcie procedur w Urzędzie Patentowym RP znajdują się 43 wynalazki i jeden wzór użytkowy zgłoszony przez UMCS.

Z myślą o rozwoju badań i aktywności pracowników władze rektorskie UMCS utworzyły Fundusz Rozwoju, który zasilono kwotą 8,1 mln zł. Ma on na celu wsparcie naukowców w aplikowaniu o projekty badawcze zarówno krajowe, jak i międzynarodowe.

Powstał też program wsparcia aktywności naukowej pracowników „Minigranty UMCS”. Dwa razy w roku przyznawanych jest po 5 grantów po ok. 20 tys. zł na jeden rok dla młodych badaczy po doktoracie. Mają umożliwić zweryfikowanie pomysłów naukowych i uzyskanie pierwszych wyników, co z kolei powinno prowadzić do sformułowania projektów badawczych i aplikacji do zewnętrznych agencji grantowych.

– Są one ważne dla badań interdyscyplinarnych, które trudno finansować instytutom ze środków subwencyjnych – tłumaczy rektor Gruszecki.

Przeprowadzono także nabór na granty badawcze Santander Universidades dla najlepszych doktorantów. W 2023 r. zostały wypłacone dodatki do wynagrodzenia z tytułu wysokiej aktywności naukowo-badawczej i artystycznej dla nauczycieli akademickich. Wsparcie w łącznej wysokości prawie 1 mln zł otrzymało 185 pracowników uniwersytetu.

– Nasz ostatni pomysł to program mentoringu dla młodych naukowców. Został już zaakceptowany przez kolegium rektorskie. Młode osoby, które często nie mają dobrego porozumienia z szefem katedry, mogą sobie same znaleźć na uczelniach poza Lublinem mentora, który wprowadzi je w tajniki skutecznego aplikowania o zewnętrzne środki na badania oraz nowe przyszłościowe metody naukowe, które otworzą kolejne perspektywy, uruchomią procesy badawcze. To będą kilkutygodniowe wyjazdy krajowe, których koszty pokryje uczelnia, ale także będą w tym honoraria dla mentorów – tłumaczy rektor Gruszecki – naszym atutem jest teraz to, że jesteśmy na trajektorii rozpędzającej. Mamy sporo energii. Jeśli będziemy to pielęgnować, na pewno dobrze na tym wyjdziemy.

Piotr Kieraciński



Fot. Bernos-Profil UMCS

Błysk w oku

Wbrew powszechnemu przekonaniu, nie wszystkie chlorofile są zielone, np. najbardziej popularny chlorofil *a* jest niebieskawozielony. „Swoją” zieleni zawdzięcza obecnym w roślinach razem z nim karotenoidom. Podobnie jak malarz na palecie tworzy barwy pochodne z podstawowych, tak niebieski chlorofil miesza się z żółtą luteiną i innymi barwnikami karotenoidowymi i tworzy kolor zielony. Gdy jesienią zegar biologiczny wyłącza syntezę chlorofilu, na wierzch wychodzą karotenoidy, a liście żółkną. Chlorofil nie jest w stanie przetrwać w komórkach, bo niszczą go reaktywne formy tlenu. Karotenoidy chronią go przed tą reakcją, wykazując działanie fotoprotekcyjne.

Od lat badania nad ksantofilami (klasa karotenoidów, charakteryzujących się obecnością grup tlenowych), do których należą luteina i zeaksantyna, prowadzi prof. Wiesław Gruszecki z Katedry Biofizyki UMCS wraz z zespołem. Początkowo badał rolę karotenoidów w procesie fotosyntezy. Jednak z czasem rozszerzył pole badań.

– Zainteresowało nas to, czy mechanizmy, które odkrywamy w liściach, zachodzą również w oku. Wówczas już było wiadomo, że w plamce żółtej są luteina i zeaksantyna, że człowiek nie potrafi ich sam syntetyzować, a zatem muszą one trafić do naszego organizmu z pożywienia, z diety – mówi prof. Gruszecki.

Nagły błysk światła, np. flesza fotograficznego, powoduje, że mrużymy oczy, a czasami nawet na chwilę przestajemy widzieć, blask nas oslepia. Co sprawia, że człowiek nie traci wzroku w podobnych sytuacjach? W oku mamy co najmniej dwa mechanizmy obronne. Jeden to fizyczne zmniejszanie się źrenicy. Drugi zawdzięczamy luteinie i zeaksantynie, znajdującym się w plamce żółtej siatkówki. Ten niewielki obszar odpowiada za widzenie centralne (ostrość), barwne (rozróżnianie kolorów) i precyzyjne (dostrzeganie detali). Służą do tego tzw. czopki, czyli gęsto upakowane na małym obszarze fotoreceptory ukryte pod osłoną z warstwy dwóch wspomnianych barwników nadających jej żółtą barwę. Jest tam sto razy większe stężenie tych ksantofili niż w pozostałej części siatkówki.

Źrenica, która jest pierwszą barierą przed nadmiarem światła zmniejsza się w granicach 7 do 2 milimetrów. Dalej nie może, bowiem wskutek zjawiska dyfrakcji, czyli ugięcia światła na szczeliny, przestałobyśmy widzieć wyraźnie. W tym momencie do akcji ochrony siatkówki przed namiętnym światłem wkraczają luteina i zeaksantyna, zgromadzone w plamce żółtej. Reakcje fotofizyczne, które w nich zachodzą, są bardzo szybkie, to czasy rzędu wielkości nanosekund (miliardowych części sekundy). Zwiększenie źrenicy jest dość wolne (czasy długości minut), co wynika z faktu, że oko musi się upewnić, że poziom wyższej intensywności światła jest trwały, że nie jest to przypadkowy, krótkotrwały błysk.

– Fotoreceptory siatkówki zostałyby uszkodzone w momencie gwałtownego błysku, mamy nawet chwilę niewidzenia po błysku, ale chronią nas te dwa barwniki. Udało nam się zaobserwować reakcje ochronne polegające na indukowanej światłem konwersji luteiny i zeaksantyny w plamce żółtej w czasach krótszych niż 10^{-4} sekundy – mówi prof. Wiesław Gruszecki. – Sama fotoizomeryzacja jest z pewnością jeszcze szybsza. Proces ten zachodzi w dwóch etapach. Najpierw mamy fotoizomeryzację z formy trans do cis, czyli „przełamanie” cząstki karotenoidu. W wyniku tego następuje reorientacja molekuly w błonie, która bezpośrednio przekłada się na właściwość pochłaniania światła, a dzięki temu ochrony fotoreceptorów plamki żółtej w oku.

Badania wymagały współpracy z okulistami, a w tym przypadku z prof. Robertem Rejdakiem z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie oraz jego zespołem. Oprócz tego badacze z UMCS zaprosili do współpracy chemików obliczeniowych z Politechniki Gdańskiej na czele z prof. Jackiem Czubem. Ci sprawdzili, czy to wszystko, co zaobserwowali lubelscy biofizycy, jest możliwe teoretycznie pod względem energetycznym. Okazało się, że i od strony eksperymentu, i od strony obliczeń dochodzi się do tego samego punktu.



Fot. Maciej Krupa

– Taki wielodyscyplinowy zespół udało się skrzyknąć dzięki projektowi TEAM z Fundacji na rzecz Nauki Polskiej – mówi prof. Gruszecki. – Reorientację widzieliśmy w eksperymencie raczej dzięki interpretacji wyników spektroskopowych niż bezpośrednio, a obliczenia ją potwierdziły. Dzięki tym współpracom zaczęliśmy weryfikować, czy to się dzieje także w prawdziwej siatkówce, a nie tylko w układach modelowych. Wcześniej wiedzieliśmy, że te barwniki są w siatkówce i że bez nich tracimy wzrok. Zwyrodnienie siatkówki związane z wiekiem jest związane z brakiem karotenoidów w diecie. Ich podanie natychmiast zatrzymuje postęp degradacji, ale nie można tego procesu odwrócić – podsumowuje lubelski biofizyk.

Światło, aby trafić do fotoreceptorów, musi przejść przez te wewnętrzne „okulary przeciwsłoneczne”, które tworzą w plamce żółtej ksantofile. Co ciekawe, gdy mierzono parametry słabym światłem, tych barwników nie było widać, plamka żółta była niemalże przezroczysta.

– Zatem ten filtr jest dynamiczny, dostosowuje się do potrzeb. Gdyby nie ten mechanizm, to po błysku dosłownie moglibyśmy stracić wzrok, a przecież tak się nie dzieje. Nazywamy go mechanizmem molekularnym, gdyż każda cząsteczka tych barwników musi ulec izomeryzacji i przekształceniu, a dopiero suma tych zdarzeń daje efekt ochrony wzroku – tłumaczy prof. Gruszecki. – W innych mechanizmach, np. w widzeniu, jedna cząsteczka retinalu może wskutek fotoizomeryzacji uruchomić proces widzenia – wyskakując z białka receptorowego uruchamia całą kaskadę procesów i zaczynamy widzieć. W ochronie siatkówki mamy do czynienia z efektem ilościowym, statystycznym – mówi Gruszecki.

Gdy badacze z UMCS uzyskali te wyniki, nikt nie chciał ich opublikować. Nie dlatego, że były negatywne recenzje, po prostu w najlepszych czasopiśmie odmawiano im dyskusji nad artykułami. Po przetrzymaniu tekstu przez kilka tygodni bez recenzji, otrzymywali odmowę.

– Zapewne wyniki uznano za mocne i obawiano się wejście w ślepią uliczkę, a nam zależało na opiniach recenzentów. To było moje pierwsze takie doświadczenie – mówi W. Gruszecki.

Czas płynął. Uczony uznał, że należy zejść z wymaganiami publikacyjnymi o półkę niżej, ale nadal do porządnego czasopisma, aby nawiązać kontakt z wymagającymi recenzentami. Wyniki w końcu ujrzały światło dzienne w postaci publikacji.

Teraz lubelscy biofizycy poszli dalej. Sprawdzają, czy luteina i zeaksantyna oddziałują z retinalem, czyli barwnikiem podstawowym w fotoreceptorach, który dużą część spędza w błonie lipidowej, w której osadzone są białka fotoreceptorów. Jest tam bardzo duże stężenie tlenu, gdyż procesy widzenia wymagają dużo energii, a w takim środowisku retinal mógłby zostać wybielony. Może zatem to ksantofile chronią go przed utlenieniem, aby on mógł powrócić do formy cis, zregenerować się i ponownie pełnić rolę barwnika światłoczułego?

Piotr Kieraciński

Ewolucja a nie rewolucja

Niegdyś w Poznaniu podczas wykładu otwartego profesor Ewa Łętowska użyła dosadnego sformułowania: „W Polsce łatwiej zrobić nowe dziecko niż umyć stare”. Trafnie oddaje to pewną nieroztropną tendencję, z jaką mieliśmy do czynienia przy ostatnich reformach nauki. Szczególnie widzieliśmy to w przypadku tzw. reformy Gowina. Zamiast ewolucyjnego, punktowego zmieniania systemu zaproponowano kompleksową „rewolucję” systemu nauki i szkolnictwa wyższego. Zmieniła ona sposób prowadzenia doktoratów, wewnętrzne struktury uczelni (wprowadziła rady uczelni), podział na dyscypliny, system punktowania artykułów, zasady finansowania z dotacji pomocy materialnej (zniknęła na przykład możliwość finansowania z niej akademików) itd. Żadna z tych reform nie zaadresowała podstawowej bolączki polskiej nauki, jaką jest niedostateczne finansowanie poniżej średniej europejskiej.

Co złego w takiej rewolucyjnej zmianie? Cóż, nawet jeśli serce jest za rewolucją, to rozum powinien ją kontrować i kontrolować. Gdy dokonujemy zmiany wszystkiego, to nie jesteśmy w stanie tej zmiany monitorować. Szczególnie, gdy są to zmiany o przeciwnych kierunkach, jak w przypadku dwóch ostatnich reform. Reforma Kudryckiej zbyt sztywno związała finansowanie z liczbą studentów, tworząc różnorakie patologie, reforma Gowina uczyniła dydaktykę właściwie zbędną. Reforma Kudryckiej sprzyjała publikowaniu lokalnych prac zbiorowych (i monografii), prowadząc do ich inflacji, reforma Gowina w ogóle podważyła sens ich publikowania. Upřednio studia doktoranckie zbyt silnie wiązywały doktorantów z ich promotorami, szkoły doktorskie czynią ten związek zbyt luźnym. Reforma Gowina zamiast naprawić kulejącą kolegalność, właściwie ją zlikwidowała, co ciekawe mnożąc liczbę rad, szkół i innych ciał, które jedynie z nazwy sugerują kolegalność.

Tak częste przestawianie systemu wywołuje chaos. Zanika możliwość sterowania warunkami brzegowymi, stymulowania pożądanych kierunków rozwoju. Zamiast racjonalnej zmiany, mamy jedynie wybieranie się starych układów nieformalnej władzy w nowe kostiumy i nieoficjalne rządy twórców oraz beneficjentów zmian.

Sterowanie warunkami brzegowymi i stymulowanie zmian optymalizacyjnych

To, czego brakuje – prócz pieniędzy oczywiście – to konkretne, drobne zmiany, ale pomyślane tak, aby przyniosły wymierne, dające się monitorować i korygować efekty. Zmiany, które punktowo odpowiadają na jakieś jasno zdefiniowane wyzwanie i tworzą warunki, w których strategie optymalizacyjne podejmowane przez uczestników gry w polu akademickim będą zmierzały w pożądanym kierunku. Warto kierować się tu roztropną uwagą Kanta, że powinniśmy projektować nasze prawa dla „państwa diabłów”.

Po doświadczeniach z reformą Gowina widzimy już, że i naukowcy, i zarządzający nauką dostosowują się i na bodźce, które są „wszyscy w system”, odpowiadają w sposób niekoniecznie pożądany i zaplanowany przez jego twórców. Na przykładzie ewaluacji czasopism świetnie opisał to Marcin Miłkowski w tekście *Hodowla szczurzych ogonów* (FA 11/2023). W czasie reformy Gowina tworzone systemy, opierając się na naiwnej wizji antropologicznej: oto „system” składa się z karykaturalnie wyobrażonych naukowców, którzy są racjonalni na sposób homo economicus, którzy napędzani są wizją „doskonałości” i „prestżu”, które to wartości są adekwatnie mierzone i wyznaczane „gowinami” i „czarnkami”, jak ironicznie środowisko określiło

ową punktową quasi walutę. W wizji reformatorów miało to automatycznie leczyć nasze bolączki strukturalne, przewyciężyć półperyferyjne położenie i ominąć kwestię finansowania nauki. Okazało się, że gracze w polu akademickim byli bardziej racjonalni niż przewidywała to wizja reformatorów. Odwołując się do metafory M. Miłkowskiego, zamiast ganiać za „szczurami” (ową doskonałością), polować na nie, badacze zaczęli je hodować i w ten sposób pozyskiwali „ogony” (punkty), z których byli rozliczani w ewaluacji. Wbrew bowiem mitom, jakie nam wmawiają neoliberalowie, racjonalność podmiotów w grze rynkowej nie ma wiele wspólnego z optymalizacją; gdyż racjonalność w bardzo bazowym ujęciu to dobieranie odpowiednich środków do osiągnięcia celu. Hodowanie szczurów, aby obcinać im ogony, jest bardziej racjonalne z perspektywy pojedynczych podmiotów niż uganiecie się po brudnych kanałach ściekowych. A że system przez to upadnie... Cóż, akurat z tym już sobie takie neoliberalne wizje racjonalności podmiotów nie radzą.

Aby dyskutować o reformie, powinniśmy poważnie porozmawiać o modelach zarządzania, wizjach ontologii społecznej, założeniach o podmiotach, jakie „wszywamy” w nasze reformy. Napisałem doktorat z obszaru teorii systemów społecznych, habilitację z pogranicza filozofii nauki i techniki, socjologii wiedzy oraz studiów nad nauką i techniką. To, czego nauczyła mnie moja droga naukowa, to (a) myślenie systemowe, (b) ograniczone zaufanie do uproszczonych modeli racjonalności oraz (c) głębokie przekonanie, że translacja, wprowadzenie zmiany, upowszechnienie jej jest dużo trudniejsze i wymagające niż „genialny pomysł” + dekret. Przekonałem się o tym już w swym pierwszym wykształceniu jako technik technolog procesów chemii organicznej i nieorganicznej, gdzie nie mając pojęcia o istnieniu Bruno Latoura, intuicyjnie pojmowałem naukę na wzór pojęcia technonauka. Dlatego zwracam uwagę na poziom aplikacji, upowszechnienia, instytucjonalizacji bardziej niż na „genialne pomysły” zmiany i ich papierowe opisy. Szczególnie, gdy te rewolucyjne pomysły nie mają dobrze „dogranych” szczegółów (każdy, kto uczestniczył w kolokwiach habilitacyjnych czy przewodach doktorskich po reformie Gowina, wie, ile jeszcze zostało tam do poprawienia i ujednoznacznienia).

W dyskusji o reformach interesują mnie poziomy: systemowy i podmiotowy.

Systemowy: jakie są pomysły na sterowanie warunkami brzegowymi, jakie pętle zwrotne – jakie refleksyjności są wbudowywane w proponowane rozwiązania. Na ile, jak powiedziałaby Amitaj Etzioni, wbudowano w ten system responsywność, zdolność do odpowiadania na wzajemne komunikaty i to na wszystkich poziomach systemu;

Podmiotowy: mając ograniczone zaufanie do naiwnych wizji racjonalności podmiotów, interesuje mnie, jak proponowane zmiany modelują zakładane reakcje na ów „reformatorski bodziec”, czy projektując dane rozwiązanie projektujemy je dla „kantowskich diabłów”? W tak zaprojektowanym systemie, nawet jeśli podmioty kierować się będą interesem egoistycznym, efekt systemowy będzie pozytywny. Przykładem takiego bodźca były zlikwidowane w reformie Gowina „znaczone pieniądze” w dotacjach celowych na przykład na cele pomocy materialnej, w tym akademiki. To w kontekście „Jowity” jest dziś wyjątkowo aktualne. „Znaczone pieniądze” miały tą zaletę, że nawet jeśli rektor czy kanclerz nie był w ogóle zainteresowany kwestiami socjalnymi czy materialnymi, to czysto syste-

mowy horyzont decyzyjny i jego specyfika w jednostkach budżetowych skłaniały do podejmowania takich inwestycji. Wiemy bowiem dobrze, że „grzechem ciężkim” w jednostce budżetowej jest niewydanie wszystkich pieniędzy z dotacji do końca roku rozliczeniowego;

Poniżej proponuję zmianę, którą można byłoby wprowadzić relatywnie tanio i szybko; uzyskać efekt systemowy, nie zakładając równocześnie naiwnego modelu czy to dotyczącego racjonalności podmiotów w polu akademickim, czy to racjonalności współdziałań w nim.

Mała zmiana – potencjalnie duży efekt

Postuluję reformę pisania recenzji w przewodach doktorskich, habilitacyjnych i profesorskich. Obie ostatnie reformy nie dokonały właściwie formalnych zmian dotyczących samego sposobu pisania recenzji, choć dokonywano zmian w sposobie oceny i wymogach w procedurach awansowanych na poszczególne stopnie.

Oto krótki opis proponowanej zmiany. Po pierwsze, wszystkie recenzje powinny być wypełniane w formularzu internetowym. Mógłby on na przykład korzystać z konta OPI, którego używamy w składaniu grantów do NCN i NCBR oraz w projektach ministerialnych. Formularz powinien zawierać zestandaryzowane pola do uzupełniania: metodologia, struktura, ocena bibliografii, uwagi krytyczne, uwagi polemiczne etc. Szczególnie warto zadbać o te ostatnie, umożliwiając zawarcie uwag będących polemikami, a nie wpływających bezpośrednio na ocenę formalną. Warto też dodać do każdej rubryki podrubrykę „inne/dodatkowe uwagi”, tak aby pogodzić wymogi dyscyplinujące recenzentów z zostawieniem im marginesu swobody. Powinny one również wskazywać opcję rekomendacji pracy do wyróżnienia lub do publikacji, gdyż wniosek taki powinien być zawarty w recenzji, a czasem jest za późno zgłaszany podczas obrad komisji. Można się zastanowić, czy formularze nie powinny mieć wariantów dla różnych dziedzin nauki. Recenzje powinny być wysyłane w wersji elektronicznej w systemie (podejrzewam, że ze względów formalnych uzupełnione wydrukiem papierowym). Co zyskujemy na tym pomysłe? Po pierwsze, w łatwy sposób możemy uczynić proces recenzowania bardziej transparentnym. Po drugie, automatycznie w zasadzie możemy tworzyć bazy recenzji oraz – choć wymieniam to jako trzecie, to uważam za najważniejsze – podnieść kulturę recenzowania, która w mojej opinii nie jest w Polsce wysoka.

Oprócz tej formalnej propozycji korekty chciałbym dodać propozycję zmiany samego sposobu oceny pracy doktorskiej. Teraz obrona doktoratu ma charakter punktowy, to znaczy doktoranci piszą pracę, recenzenci ją oceniają, a sama obrona staje się właściwie formalnością. To powoduje, że często mamy do czynienia z tzw. recenzjami negatywnymi z pozytywną konkluzją. Moim zdaniem są one wymuszane systemowo – recenzenci mają często zarzuty, uwagi krytyczne czy polemiczne, chcą, aby one wybrzmiały, były dyskutowane w czasie obrony. Równocześnie uważają, że nie są one na tyle poważne, aby do obrony nie dopuścić. Rzadko się zdarza, aby recenzenci kierowali pracą do poprawy, taka konkluzja wymaga bowiem od recenzenta pewnej systemowej odwagi i stanowczości. Zmienić by to mogło wprowadzenie rozwiązania inspirowanego modelem anglosaskim (gdzie kończenie przewodu doktorskiego i obrona są procesem) oraz praktykami recenzentkim w dobrych czasopismach.

Proponowane rozwiązanie jest proste – ocena doktoratu powinna być czterostopniowa: 1) Konkluzja pozytywna – dopuszczenie do obrony, 2) Skierowanie do małych poprawek i uzupełnień, 3) Skierowanie do dużych poprawek i uzupełnień, 4) Konkluzja negatywna – niedopuszczenie do obrony.

Ze względu na specyfikę i wagę obrony doktorskiej ocena dokonanych poprawek wymagałaby akceptacji odpowiednich recenzentów

(tych, którzy owe poprawki i uwagi zgłaszali). Oczywiście formularz akceptacji też powinien być w formie elektronicznej, stając częścią tego systemu.

Ponadto należałoby administracyjnie wyznaczyć widełki czasowe na poprawki. Roztropne wydają się następujące: małe poprawki 3-6 miesięcy, duże poprawki 6-12 miesięcy.

Dzięki proponowanej zmianie zmniejszamy rozterki recenzentów, które kończą się tzw. negatywnymi recenzjami z pozytywną konkluzją. Po drugie, zmniejszamy presję na doktorantów – brak zerojedynkowej sytuacji powoduje zmniejszenie lęku przed porażką (mamy dwie dodatkowe opcje pośrednie). Po trzecie, wprowadzamy element debaty i polemiki, „wszywając” go w samą procedurę formalną, co moim zdaniem miało szansę ożywić dyskusję na obronach prac doktorskich.

Zakończenie

Bliska jest mi wizja uniwersytetu społecznie użytecznego, wizja wiedzy, która przenika społeczeństwo i przyczynia się do jego racjonalizacji (zagadnienie to badam m.in. jako członek zespołu granowego SOWA – Społeczne Obiegi Wiedzy Akademickiej (społeczne-obiegiwiedzy.pl)). Bliska jest mi też propozycja typów nauk Jürgena Habermasa i odpowiadających im typów interesów, charakterystycznych dla każdej z nich. Wyróżnił on interes techniczny, praktyczny oraz emancypacyjny, odpowiednio nauki uprawiać możemy jako empiryczne, historyczno-hermeneutyczne oraz krytyczne – emancypacyjne. Akademia ma zatem dostarczać wynalazków, innowacji (badania techniczne, stosowane nauki społeczne), wnosić swój wkład w poznanie świata, w którym żyjemy i pomagać go nam zrozumieć (nauki społeczne i humanistyczne, ale i część popularyzacyjnych działań w obrębie nauk przyrodniczych). Wreszcie ostatni aspekt to echo dziedzictwa Oświecenia, czyli traktowanie wiedzy jako elementu, który wyzwala człowieka.

Uważam, że uniwersytet powinien być fabryką wiedzy; w tym nie ma nic złego, tylko zależy jaką fabryką. Demokracja w świecie kapitalistycznym nie przekracza bramy fabryki, stąd często fabrykę przeciwstawiamy wizji twórczej, wyzwolonej jednostki. To nie jest konieczna wizja. Fabryka, w tym fabryka wiedzy, może być także wspólnotowym wytwarzaniem, podziałem pracy, dzieleniem się wiedzą i wysiłkiem oraz radością z odkrywania i przekształcania świata. Warunkiem jest demokratyzacja tej fabryki, współpanowanie nad środkami produkcji. Żeby akademię jako instytucję i wspólnotę uczynić bardziej responsywną, należałoby uczynić ją, po pierwsze, lepiej skomunikowaną wewnętrznie (komunikującą cele, potrzeby, efekty), po drugie bardziej demokratyczną, a po trzecie systemowo wydajną (zwalczającą anomie i inercję). Neoliberalna reforma Gowina, jak wskazywała Agata Skórzyńska w autoetnograficznym tekście *Psucie wiedzy i znikające instytucje. Szkic z neoliberalizującej się akademii* (<https://rcin.org.pl/dlibra/publication/275083/edition/238775>), zmierza w kierunku odwrotnym: wprowadziła komunikacyjny chaos (do dziś uniwersytety nie mogą uporać się z reformami swych struktur), zmniejszyła stopień demokratyzacji oraz zwiększyła poczucie anomii (i systemowej inercji).

Ktoś może stwierdzić, że proponowane przykładowe rozwiązanie jest skromne. Tak, ale da się ono implementować, a następnie monitorować i potencjalnie zwiększyć wewnętrzną responsywność akademii w proponowanym wyżej sensie.

Andrzej W. Nowak

(Autor w tekście korzysta częściowo z ustaleń wypracowanych w ramach grantu „Społeczne obiegi wiedzy w praktykach humanistyki akademickiej”, NCN Opu-19, 2020/37/B/H52/00955)

Scopus kontra Wikipedia

Przypuszczalnie nigdy nie zainteresowałbym się Collegium Humanum, gdyby nie komentarze, jakie pojawiły się w prasie po aresztowaniu kierownictwa tej uczelni pod licznymi zarzutami, w tym handlu dyplomami, które to dyplomy miały ułatwiać objęcie lukratywnych stanowisk. Z ciekawości sprawdziłem profil naukowy Collegium Humanum. Spośród 300 warszawskich instytucji wymienionych w bazie instytucji naukowych Scopusa ani jedna nie nosi takiej lub podobnej nazwy. W tej bazie są głównie uczelnie i instytuty naukowe, ale też zwykłe szpitale, komercyjne firmy, np. Polfa i TP SA, instytucje centralne, np. NBP i NFZ, towarzystwa naukowe i wiele innych. Wygląda więc na to, że na naukowej mapie Polski Collegium Humanum nie istnieje. I nie jest żadnym tłumaczeniem, że uczelnię powołano dopiero w 2018 roku i że w naukach społecznych trudniej o indeksowane publikacje niż np. w medycynie, skoro w samym 2023 roku pracownicy SGH opublikowali 360 indeksowanych prac, w tym 70% zaliczanych do ekonomii, zarządzania i nauk społecznych. Poszukując frazy „Collegium Humanum” w publikacjach naukowych bardziej wyrafinowanymi sposobami, udało mi się wprawdzie znaleźć prawie 50 indeksowanych publikacji, z tymi jednak zastrzeżeniami, że:

- w – 9 z tych publikacji autor prowadzący korespondencję miał polską afiliację;
- w tym w 4 afiliacjach występuje fraza „Collegium Humanum”;
- publikacje mają średnio po 9 współautorów i w przeważającej większości publikacji brak jest jakiegokolwiek autora o polskim nazwisku. Natomiast zwykle autor o niepolskim nazwisku podaje „Collegium Humanum” jako drugą afiliację;
- jedna z tych publikacji została zakwalifikowana do ekonomii, a pięć do badań multidyscyplinarnych. Pozostałe należą do nauk biomedycznych, fizyki i chemii.

Podsumowując: dorobek publikacyjny Collegium Humanum w dziedzinach nauk humanistycznych i społecznych jest praktycznie zerowy. Z pozoru w naukach biomedycznych, fizyce i chemii jest nieco lepiej. Jeżeli jednak w publikacji na 9 autorów przypada 1/2 autora z Collegium Humanum (jedna z dwóch afiliacji jednego autora z dziewięciu), to efektywnie w Collegium Humanum wytworzono 1/18 publikacji, co po pomnożeniu przez liczbę takich wieloautorskich i wieloafiliacyjnych publikacji daje łączny dorobek w liczbie niecałych 3 publikacji. Trudno się więc dziwić, że algorytm Scopusa nie uznał takiej jednostki za instytucję naukową.

Znacznie okazałej niż przegląd publikacji naukowych prezentuje się hasło w Wikipedii (dostęp 29 lutego). Ma ono aż 7 wersji językowych, a więc więcej niż np. Politechnika Opolska. Z wersji polskiej dowiemy się o 35 tysiącach studentów, czyli trzykrotnie więcej niż ma ich SGH. Nie dowiemy się o niedawnych zatrzymaniach kierownictwa, natomiast naprawdę imponująco prezentują się listy: własnych wydawnictw Collegium Humanum (4 czasopisma punktowane przez ministerstwo), otrzymanych nagród i wyróżnień oraz nagrodzonych przez Collegium Humanum Złotymi Medalami Sukcesu i profesurami honorowymi. Uczelnia jest członkiem wielu krajowych i międzynarodowych

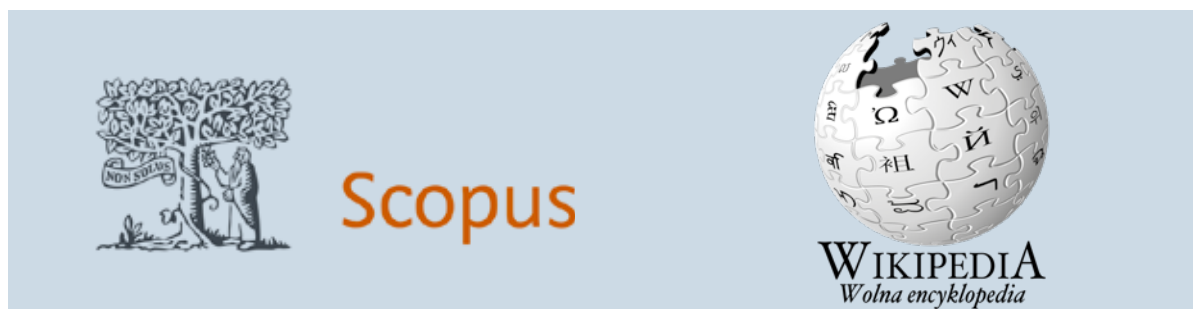
dowych stowarzyszeń oraz posiada liczne akredytacje. Ciekawe, jak się zachowają te stowarzyszenia i nagrodzeni, jeżeli potwierdzi się przynajmniej część zarzutów stawianych władzom CH?

Nie pamiętam dokładnie kto i kiedy powiedział po raz pierwszy, że mamy w Polsce więcej uczelni ekonomicznych niż profesorów ekonomii, ale już ćwierć wieku temu cała Polska śmiała się z tego jakże trafnego podsumowania stanu szkolnictwa wyższego. Działalność „lipnych uczelni”, czyli „drukarni dyplomów”, jest powszechnie znana i przeciętnie rozgarnięty maturzysta doskonale wie, w jaki interes wchodzi, podejmując studia w uczelni o wątpliwej renomie zamiast w SGH lub w jednym z uniwersytetów ekonomicznych, czy też na jednym z uniwersyteckich wydziałów ekonomii. Dlatego nie jest mi żal studentów „drukarni dyplomów”, którzy czują się teraz oszukani. Utrata czesnego za parę miesięcy to łagodny wymiar kary za współudział w mistyfikacji. Nie zamierzam dokonywać tu podziału uczelni na uczciwe i nieuczciwe ani hurtem odsądzać od czci i wiary wszystkich studentów i pracowników jakiegokolwiek uczelni. Zapewne wielu studentów i absolwentów lipnych uczelni ma lepszą wiedzę i umiejętności od przeciętnych studentów państwowych gigantów akademickich.

Właściwym kryterium uczciwości jest zależność pomiędzy wiedzą studenta a uzyskiwanymi ocenami, co jednak w praktyce trudno sprawdzić. Teoretycznie co najmniej parę razy w roku student powinien być egzaminowany w warunkach kontrolowanej samodzielności z możliwością otrzymania oceny niedostatecznej przy niedostatecznej wiedzy, a przy braku wystarczającej liczby ocen pozytywnych, powinien być skreślany z listy studentów. Jeżeli nawet wszystkie zajęcia odbywają się w ustalonym miejscu i terminie, prowadzący posiadają wysokie kwalifikacje i zachowane są inne pozory, to samo zaliczenie kolejnych semestrów wszystkim, którzy opłacili czesne, jest oszustwem, którego jednak nie wykryje żadna komisja akredytacyjna. Sposoby na to, by wszyscy zdali egzamin, a przy tym w dokumentacji wszystko się zgadzało, są powszechnie znane. Wielkie ułatwienia w oszukańczych praktykach przyniosło powszechne nauczanie zdalne w czasie pandemii. Te praktyki nie dotyczą tylko uczelni prywatnych czy wyższych szkół zawodowych, lecz zdarzają się też na dużych uczelniach państwowych, zwłaszcza na płatnych studiach niestacjonarnych i podyplomowych.

Tolerowanie „drukarni dyplomów” przez władze ministerialne ma długą tradycję i zmiana tego stanu jest mało prawdopodobna. Dopóki pomiędzy wniesieniem opłaty a wydaniem dyplomu upłynie stosowna liczba semestrów i zachowane są wszelkie pozory (nauka kultu cargo), właściciele „drukarni dyplomów” mogą spać spokojnie. Także lekkie rozluźnianie gorsetu poprzez nieco mniej uważne przestrzeganie wszelkich ceremoniałów niczym nie grozi, co zresztą dzieje się na naszych oczach. Natomiast próby radykalnego skrócenia drogi między kasą a punktem wydawania dyplomów będą srodze karane.

Marek Kosmowski



Decyzja należy do człowieka

Dr inż. Jarosław Protasiewicz, dyrektor Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego, pisze o nowych funkcjach Jednolitego Systemu Antyplagiatowego, związanych z wykrywaniem fragmentów stworzonych przez sztuczną inteligencję oraz roli człowieka w wykrywaniu nadużyć w pracach dyplomowych.

Od dłuższego czasu do Ośrodka Przetwarzania Informacji (OPI) napływały z uczelni informacje o tym, że rośnie skala wykorzystania przez studentów do pisania prac dyplomowych narzędzi takich, jak popularny ChatGPT. Choć nie posiadamy dokładnych danych o skali zjawiska, możemy wnioskować, że problem dotyczy praktycznie każdej jednostki posiadającej prawo do nadawania stopni i tytułów. Wielu przedstawicieli środowiska akademickiego zgłaszało OPI zapotrzebowanie na narzędzie, które pomogłoby im zidentyfikować teksty wygenerowane przez sztuczną inteligencję. Nasi eksperci natychmiast przystąpili do pracy i już w grudniu 2023 r. oddali testową wersję nowej funkcji Jednolitego Systemu Antyplagiatowego (JSA), która pozwala wskazać fragmenty pracy dyplomowej, które mogły zostać napisane przy pomocy sztucznej inteligencji. Po uwzględnieniu uwag, które otrzymaliśmy z uczelni w fazie testów, w lutym tego roku uruchomiliśmy nową funkcję, z której może korzystać każdy promotor w Polsce.

Metoda detekcji wdrożona do JSA opiera się na hipotezie, że im większa jest przewidywalność tekstu następującego po sobie w pracy dyplomowej, tym większe jest prawdopodobieństwo, że został on wytworzony przez model językowy. Założenie takie ma swoje źródło w algorytmie, który jest w stanie wygenerować tekst regularny i przewidywalny. Model zastosowany w JSA został przeszkolony na dużym zbiorze danych tekstowych. Oczywiście Jednolity System Antyplagiatowy nie daje stuprocentowej pewności, że tekst jest plagiatem lub został napisany przez sztuczną inteligencję – określa wyłącznie, które fragmenty tekstu są dla algorytmu podejrzane i należy zwrócić na nie uwagę podczas analizy raportu z badania. JSA jest dla promotora tylko narzędziem wspomagającym jego pracę, a nie narzędziem decydującym ostatecznie o losie badanej pracy dyplomowej. Ostateczna decyzja należy do człowieka. To promotor weryfikuje raport otrzymany z JSA i stwierdza, czy dana praca dyplomowa jest oryginalna. Użycie nowej funkcji zależy wyłącznie od promotora, nie jest to obligatoryjne. Obowiązkowe jest tylko zbadanie każdej pracy pod względem podobieństwa do tekstów wcześniej opublikowanych.

Narzędzia do automatycznego generowania tekstu są coraz bardziej popularne ze względu na łatwość obsługi i możliwości, które oferują użytkownikom. Korzystanie z pomocy „maszyn” przy pisaniu tekstów, w szczególności jako wsparcie w celu poprawy jakości i poprawności treści, zwiększa zapotrzebowanie na takie programy. Tworzenie tekstów przez narzędzia sztucznej inteligencji może zwiększać produktywność i kreatywność użytkowników. Zdarzają się jednak próby generowania całości lub znacznej części tekstu i podpisywania go swoim nazwiskiem. Takie działania wzbudzają uzasadnione kontrowersje. I właśnie je chcemy wyeliminować.

Warto podkreślić, że na razie na rynku nie istnieje żadne rozwiązanie, które lepiej pomogłoby udzielić odpowiedzi na pytanie,

czy tekst został napisany przez sztuczną inteligencję? Nawet twórcy technologii ChatGPT nie mają takiego narzędzia, które byłoby w stanie dokładnie ocenić, czy praca została napisana przez bota, czy przez człowieka. Nie jest to ostatnie słowo ekspertów z OPI odpowiedzialnych za JSA. Cały czas rozwijamy narzędzia do detekcji tekstu napisanego przez AI. Wraz z rozwojem nowych możliwości zastosowania sztucznej inteligencji do opracowywania różnych treści i analiz będą pojawiać się również nowsze rozwiązania do ich wykrywania. Ekspert OPI trzymają cały czas rękę na pulsie i udoskonalają system, wdrażając zarówno gotowe rozwiązania, jak i narzędzia opracowane w OPI. Obecnie trwa zbieranie informacji od użytkowników Jednolitego Systemu Antyplagiatowego z całej Polski na temat nowego rozwiązania. Takie badanie pomoże ekspertom OPI wprowadzić do niego nowe funkcje, które jeszcze efektywniej będą wspierać pracę promotorów.

Rola, jaką pełni JSA w szkolnictwie wyższym, jest niezwykle istotna. Narzędzie OPI dostępne jest w każdej instytucji w Polsce uprawnionej do nadawania tytułu zawodowego lub stopnia naukowego. W ciągu czterech lat od uruchomienia JSA w styczniu 2019 roku za pomocą systemu przebadano już około 1,5 mln prac dyplomowych. Średnio na jednego promotora przypada 12 takich prac. Ponad 440 instytucji używało JSA od momentu uruchomienia systemu i ma on już ponad 100 tysięcy użytkowników. Oczywiście, stale pracujemy nad jego rozbudową i modernizacją. Trwają intensywne prace związane z poszerzeniem baz referencyjnych i większym umiędzynarodowieniem tego użytecznego narzędzia.

Podsumowując, musimy mieć świadomość, że samo narzędzie do wykrywania plagiatu nie rozwiąże problemu. Ważne jest, aby studenci zdawali sobie sprawę z powagi oszustwa, jakim jest plagiat i respektowali zasady etyczne obowiązujące na uczelniach. Instytucje edukacyjne natomiast muszą być konsekwentne w egzekwowaniu regulaminów, aby zagwarantować uczciwość akademicką. Plagiat na studiach jest poważnym naruszeniem zasad etycznych i regulaminów akademickich. Jego skutki mogą pociągać za sobą poważne konsekwencje dla studenta, łącznie z wydaleniem ze studiów i niedopuszczeniem do obrony. Plagiat z użyciem sztucznej inteligencji jest trudniejszy do wykrycia i prowadzi do utraty indywidualności oraz oryginalności prac dyplomowych. Może on przyczynić się także do rozprzestrzeniania fałszywych lub niezawieranych informacji oraz wyciągania wniosków naukowych w oparciu o nieprawdziwe dane.



**OŚRODEK
PRZETWARZANIA
INFORMACJI**
PAŃSTWOWY INSTYTUT BADAWCZY

Rankingi i naukowe podniety

W 2023 r. w Rankingu Szanghajskim znalazło się 9 polskich uczelni, ale dopiero na pozycjach w 5, 9 i 10 setce. W porównaniu z ubiegłym rokiem ubyły dwie uczelnie z 9 i 10 setki. Wyjaśnieniem przyczyn tak niskich pozycji naszych uczelni w tym rankingu w stosunku do liderów i innych uczelni europejskich może być porównanie osiągnięć publikacyjnych w rankingu TOP 2% 2022. Dystans „naszych” do uczelni europejskich z pierwszej setki rankingu wydaje się być jednak zbyt duży.

Rankingi są nieodłącznym elementem rywalizacji na polu gospodarczym, ekonomicznym, sportowym i naukowym, ponieważ podają coroczne zestawienia porównawcze sporządzone z uwzględnieniem określonych kryteriów ilościowych i jakościowych. Academic Ranking of World Universities przygotowany jest od 2003 r. przez Uniwersytet Jiao Tong w Szanghaju na podstawie sześciu wskaźników. Pod uwagę bierze się m.in. liczbę absolwentów i pracowników, którzy otrzymali Nagrody Nobla i Medale Fieldsa, liczbę wysoko cytowanych badaczy, liczbę artykułów opublikowanych w czasopiśmie „Nature” i „Science” oraz publikacji, które znalazły się w wybranych indeksach cytowań (Science Citation Index – Expanded oraz Social Sciences Citation Index). Co roku ocenianych jest ponad 2500 uniwersytetów, a lista 1000 najlepszych jest publikowana. Dokładne miejsce w rankingu podaje się tylko w przypadku 100 najlepszych uczelni świata, natomiast miejsca pozostałych są podawane w grupach liczących 50 czy 100 jednostek.

W 2023 Ranking Szanghajski zdominowały uczelnie ze Stanów Zjednoczonych, w pierwszej dziesiątce jest ich aż 8. Za najlepszą uczelnię na świecie został uznany po raz kolejny Harvard University. Z kolei ranking najlepszych uczelni w Europie otwiera brytyjski University of Cambridge, który zajął 4 miejsce, a na 7 miejscu jest University of

Oxford. Pierwszą w rankingu uczelnią spoza kręgu anglojęzycznego jest na 15 miejscu francuski Paris-Saclay University. W drugiej dziesiątce znalazła się jeszcze jedna uczelnia z Europy – ETH Zurich (20 miejsce). Niemcy mają cztery uniwersytety sklasyfikowane w pierwszej setce: Technical University of Munich (56), University of Munich (57), Heidelberg University (70) i University of Bonn (76). Najlepszą uczelnią w Europie Środkowej jest Uniwersytet Karola w Pradze, który znalazł się w przedziale 301-400, a tuż za nim, na pozycjach 401-500, znalazły się Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski. W tej samej grupie znalazł się również czeski Uniwersytet Masaryka. W pierwszej setce (TOP 100) sklasyfikowano 8 uniwersytetów z UK, po 4 z Francji, Niderlandów i Szwajcarii, 3 ze Szwecji, po 2 z Danii i Belgii oraz po jednym z Norwegii i Finlandii. Można stwierdzić, że są to kraje o zdecydowanie wyższym PKB per capita niż Polska, czyli również większych nakładach na naukę. Niektóre z nich uwzględniono w dokonanym porównaniu osiągnięć publikacyjnych w Tabeli 1. W rankingu znalazło się 9 polskich uczelni (w 2022 r. było ich 11, ubyły SGGW i Politechnika Wrocławska). Oprócz wspomnianych dwóch na miejscach 401-500 (UW i UJ), kolejne znalazły się w grupie 801-900 i w ostatniej dziesiątce.

Ważne, chociaż wypowiedziane z przekorą, pytanie w tytule artykułu nasunęło się autorowi po przeczytaniu tekstu pt. *Rankingowe podniety* Adama Pronia i Haliny Szatyłowicz z PW, opublikowanego w FA 10/2023. Autorzy konfrontują osiągnięcia 9 polskich uczelni (UJ, UW, AGH, UMWr, PW, UAM, UMK, PG, WUM) ujętych w czterech światowych rankingach: AWRU, USNWR Global (US News & World Report Global University Ranking), QS World (QS – Quacquarelli Symonds World University Ranking) i THE (Times Higher Edu-

Tabela 1. Zestawienie liczby cytowań dla wybranych uniwersytetów w świecie (opracowanie własne autora).

Nr	Nazwa uczelni	Miejsce w rankingu ARWU	Liczba cytowań	Średnia liczba cytowań	Liczba osób w rankingu	Średni indeks h
1	Harvard	1	2887437	1779	1923	15
2	Stanford	2	1110609	1272	874	14
3	MIT	3	894936	1264	708	14
4	Cambridge	4	497595	1096	454	14
5	UC Berkeley	5	3877566	984	3941	13
6	ETH Zurich	20	510707	1062	481	14
7	Imperial College London	23	757386	1195	634	13
8	TU Monachium	56	284536	985	289	13
9	Univ. w Helisinkach	93	237713	947	251	13
10	KU Leuven	95	360444	943	382	12
11	Uniw. Karola w Pradze	301-400	47038	747	63	10
12	Uniw. Masaryka w Brnie	401-500	19700	635	31	10
13	Uniw. Budapeszteński	501-600	22198	765	29	11
14	UJ	401-500	23830	581	41	9
15	UW	401-500	23286	582	40	10
16	AGH	801-900	18092	369	49	8
17	UMWr	801-900	42401	2120	20	15
18	PW	901-1000	12256	340	36	8

1* Harvard Schools and Harvard University, 5* University of California, Berkeley (UC Berkeley), 13* Uniwersytet Loranda Eötvösa w Budapeszcie

cation World University Ranking), analizując podstawowe kryteria, ale nie proponują żadnej mapy drogowej. Wskazują natomiast enigmatycznie na bezcelowość trudów ich tworzenia z uwagi na iluzoryczne szanse na wypełnienie przez polskie uczelnie jakichkolwiek kryteriów, może poza poprawą wskaźnika efektywności publikowania (Publishing Utility Behaviour – PUB) i wskaźnika najczęstszego cytowania (HiCi 20%) w najbardziej popularnym rankingu AWRU. To tak, jakby polskie uczelnie decydowały o stanie nauki światowej i jej rozwoju. Jako przykłady podają zerowe szanse na przyznanie najbardziej prestiżowej Nagrody Nobla i Medalu Fieldsa 20% czy chociaż publikacji w najbardziej prestiżowych czasopiśmie „Nature” i „Science”. Zajmując się od kilku lat problematyką cytowań w świecie naukowym, jestem zdania, że poprawa wskaźników PUB i HiCi dokonuje się już w rzeczywistości (*Cytowność w świecie*, FA 6/2023, *Nowy ranking uczelni. Osiągnięcia w cytowności za 2022 r.*, FA 11/2023), chociaż z pewnością nie na oczekiwaną skalę, biorąc pod uwagę potencjał ludnościowy (naukowy) i ekonomiczny (PKB per capita) (*Czy wzmocnienie polskiej nauki jest realne?*, FA 4/2023). W 2022 r. liczba cytowań polskich uczelni wykazana w zestawieniu TOP 2% wzrosła o prawie 20% (*Nowy ranking uczelni. Osiągnięcia w cytowności za 2022 r.*, FA 11/2023), co jest z pewnością wartościowym osiągnięciem. W artykule wskazuję też negatywne skutki nieprześlanych kryteriów ewaluacji, opartej na dalece nieprzejrzystej punktacji publikacji, prowadzącej do obchodzenia podstawowych zasad etyki naukowej (masowego, płatnego publikowania w czasopiśmie MDPI, w dodatku bez należytej recenzji). Wydawnictwo to, kierując się wyłącznie wzrostem zysku, poszukuje redaktorów wydań specjalnych, którzy sami później decydują o recenzjach (sic!). Według J. Szczepaniak (*MDPI – problem bez rozwiązania?*, FA 11/2022) w numerach specjalnych w 2020 r. opublikowano w tym wydawnictwie 68,3% artykułów. Są zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy płatnego publikowania w czasopiśmie MDPI. Uzasadniony wydaje się być argument zwolenników o rywalizacji z największymi wydawnictwami naukowymi Elsevier i Springer.

Wobec słabych wyników naszych uczelni w Rankingu Szanghajskim podkreśla się zwykle obiektywne trudności spowodowane nietypową strukturą. W Polsce uczelnie mają charakter dziedzinowy (osobno uniwersytety, politechniki, szkoły ekonomiczne, medyczne, rolnicze czy wychowania fizycznego i artystyczne), natomiast w większości państw funkcjonują uczelnie wielodzinowe z poszczególnymi obszarami wiedzy uwzględnianymi jako części. Zdaniem prof. Michała Kleibera pogarsza to w oczywisty sposób nasze szanse w rankingowej konkurencji (wszystko.najwazniejsze.pl). Jeśli jednak porównamy dane zestawione w Tabeli 1 trudno się z tą opinią do końca zgodzić.

W artykule *Rankingowe podniety* porównano osiągnięcia światowych (głównie z USA) i europejskich uniwersytetów (głównie z UK) z pierwszej dwudziestki (TOP 20) AWRU oraz innych krajów europejskich mających silny system uczelni wyższych, a także innych krajów z dawnych demoludów i republik postsowieckich.

Tabela 2. Zestawienie całkowitej liczby cytowań w 2022 r. (opracowanie własne)

Liczba cytowań rocznych za 2022 r. (wskaźnik <i>nc(ns)</i> w rankingu TOP2%)	
Polska ogółem	708283
Wyższe uczelnie techniczne	137989
Uniwersytety	138006
Uniwersytety medyczne	200872
Uniw. przyrodnicze i rolnicze	25535
Średnia dla Polski ogółem	620

Sens ma porównanie Polski z krajami o zbliżonej liczbie ludności bądź wartości PKB per capita. Na podstawie zamieszczonych w nim danych, wybrałem do porównania kilkanaście uniwersytetów z rankingu ARWU, a następnie przyporządkowałem im wskaźniki bibliometryczne z listy TOP 2% za 2022 r. Są to: całkowita liczba cytowań za dany rok, liczba naukowców w jednostce, średnia liczba cytowań na osobę i wygenerowany średni indeks Hirscha. Jak prezentują się w tym gronie czołowe polskie uczelnie, można łatwo dostrzec w Tabeli 1. W przeciwieństwie do autorów artykułu z FA 10/2023, jestem skłonny stwierdzić, że wskaźniki bibliometryczne są ważne, ponieważ dobrze korespondują z miejscami zajętymi w rankingach ARWU i USNWR. Zgadzam się co do istotnej roli nauk medycznych i wzrastającej roli takich dziedzin nauki jak biotechnologia, nanotechnologia, a ostatnio sztuczna inteligencja. W USA dwie jednostki o wąskiej specjalizacji, czyli MIT i CalTech, zostały dzięki temu wykazane w pierwszej dziesiątce rankingu ARWU, chociaż pod względem potencjału osobowego odbiegają od trzech uniwersytetów sklasyfikowanych na pozycjach 1, 2 i 5 (patrz Tabela 1). Celowo nie rozszerzam analizy na rankingi QS i THE ponieważ według autorów wcześniejszej publikacji w FA 10/2023 mają one charakter propagandowy czy wręcz popularnościowo-celebrycki, oczywiście ze wskazaniem na najstarsze uniwersytety angielskie, czyli Oxford i Cambridge.

W świetle danych zestawionych w Tabeli 1 wydaje się bezspornym fakt, że potencjał naukowy uczelni, tj. liczba i jakość cytowań referencyjnych, jest ważnym a może i jednym z najważniejszych kryteriów klasyfikacji uczelni w światowych rankingach. W grupie pięciu czołowych uczelni w rankingu ARWU (poz. 1-5) można dostrzec różnice co do średniej wartości cytowań, ale średni indeks *h* jest najwyższy, ok. 14. W kolejnych grupach obydwa te wskaźniki bibliometryczne sukcesywnie maleją. Inne składowe, w tym prestiżowe nagrody i publikacje w topowych czasopiśmie, wydają się być ich pochodną. To, że polskie uczelnie są klasyfikowane powyżej w piątej setce (miejsca 401-500 dla UJ i UW) nie może być w takim zestawieniu żadnym zaskoczeniem. W świetle przedstawionych danych nie dorównują czołowym uczelniom europejskim, a nawet czeskim, np. Uniwersytetowi Karola (Charles University) w Pradze (poz. 11). Największy w Niemczech Uniwersytet Techniczny w Monachium (poz. 8 i 56 miejsce w rankingu) zastępuje łączne osiągnięcia polskich wyższych uczelni technicznych i uniwersytetów, a szósty największy w Niemczech Uniwersytet Techniczny w Berlinie zastępuje wszystkie polskie wyższe uczelnie techniczne (patrz Tabela 2). Natomiast szwajcarski ETH Zurich (poz. 6 i 20 miejsce w rankingu ARWU) przewyższa już liczbę cytowań wszystkich polskich uczelni wyższych. Belgijski uniwersytet KU Leuven (poz. 10 i 95 miejsce w rankingu ARWU) gromadzi dorobek równoważny polskim uniwersytetom. Z kolei Uniwersytet Stanforda (USA) to cała polska nauka w pigułce. W tych kategoriach zagłębianie się w rankingi światowe jest z pewnością podniętą intelektualną. Nasze rodzime uczelnie, i to te najlepsze, są na poziomie uczelni węgierskich (poz. 13 w Tab. 1). Z tego względu realnym zadaniem pozostaje dla nich systematyczna poprawa wskaźników efektywności i jakości publikacji. Według J. Wolszczak-Derlacz (*Efektywność i produktywność szkół wyższych*, Raport UAM, 2019) miarą efektywności działalności uczelni na potrzeby ewaluacji może być liczba publikacji i liczba cytowań. I to realne, ale obiektywnie trudne, wyzwanie powinno być nie tyle rankingową, co naukową podniętą. Czy podejmą się tego zadania nowe władze RDN i NCN? Można wątpić.

Prof. dr hab. inż. Wit Grzesek, inżynieria mechaniczna, emerytowany nauczyciel akademicki, Opole

Rozmowa z prof. dr. hab. n. med. Stanisławem Głuszkim,
rektorem Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

Uniwersytet i medycyna

Mamy wrażenie, że Narodowe Centrum Nauki, podobnie jak Agencja Badań Medycznych, priorytetowo traktuje duże ośrodki akademickie, które mają znaczące dotychczasowe osiągnięcia, a w tej sytuacji „nowym” i mniejszym trudniej się włączyć do skutecznej rywalizacji. Brakuje nam poczucia sprawiedliwej dystrybucji środków na projekty badawcze.

Czy w niedużych ośrodkach/miastach, takich jak Kielce, potrzebne są uniwersytety?

Uniwersytety są siłą napędową rozwoju społeczno-gospodarczego i cywilizacyjnego. Oprócz kształcenia, które absolwenci szkół średnich mogą mieć zapewnione na miejscu czy w pobliżu miejsca zamieszkania, oprócz badań na rzecz bliskiego otoczenia tego typu uczelnie zapewniają podstawę rozwoju społecznego dla miast i regionów, bo uniwersytet ma większą siłę oddziaływania niż innego typu uczelnia, np. zawodowa. Zawsze jednak rozwój rozpoczyna się od uczelni nieco niższej rangi, zawodowych, które zwiększając potencjał dydaktyczny i badawczy, odpowiadają na zapotrzebowanie społeczne, ale i na ambicje społeczności lokalnych, i stopniowo ewoluują w kierunku uniwersyteckim. Tak było w Kielcach.

Czy to, że Akademia Świętokrzyska stała się uniwersytetem, zmieniło coś w niej samej?

Myszę, że kierunek był inny. Staliśmy się uniwersytetem, bo uczelnia się rozwinęła, stopniowo powiększając swoją ofertę oraz potencjał naukowy i dydaktyczny, ale również rozwijając infrastrukturę badawczą i dydaktyczną. Natomiast zmiana na uniwersytet klasyczny jeszcze przyspieszyła rozwój infrastruktury, zwłaszcza w zakresie nauk ścisłych i przyrodniczych, bo to one wymagają bardziej zaawansowanej i droższej aparatury naukowej. Podobnie nauki medyczne i o zdrowiu wymagają nowoczesnego i kosztownego zaplecza badawczego, ale też klinicznego. I z jednej strony to rozwija uniwersytet, a z drugiej podniesienie uczelni do rangi uniwersytetu daje szansę na podniesienie tych nauk i kształcenia na wyższy poziom.

Wspomniał pan nauki medyczne, czyli pana specjalność.

Nauki medyczne rozwijamy na UJK od 2001 roku. Pierwsze były nauki o zdrowiu, reprezentowane przez pielęgniarstwo i fizjoterapię. Dopiero w 2015 roku rozpoczęliśmy kształcenie na kierunku lekarskim. Od tego okresu nastąpił istotny wzrost infrastruktury badawczej i możliwości w zakresie nauk podstawowych, m.in. dotyczące badań molekularnych, które są naturalnym zapleczem dla medycyny. W okresie pandemii uruchomiliśmy laboratorium covidowe, które musiało spełniać odpowiednie kryteria izolacji, czystości i bezpieczeństwa. Mieliśmy na tyle bogatą infrastrukturę, że znalazło się miejsce na tak zaawansowaną pracownię wirusologiczną. Teraz nie jest wykorzystywana w pełni, bo nie ma takich potrzeb, ale gdyby

się pojawiły, możemy w każdej chwili wrócić do tej problematyki, bo mamy nie tylko aparaturę, ale i odpowiednie kadry.

Mam wrażenie, że w momencie tworzenia się nowych uniwersytetów wszystkie regionalne siły polityczne jednoczyły się w celu utworzenia takich uczelni – było poparcie, wyrażane także środkami finansowymi i wszelkimi możliwymi ułatwieniami, np. inwestycyjnymi. Gdy uniwersytety powstały, wszystko to zniknęło, młode uczelnie zostawiano samym sobie. Czy podobnie było w Kielcach?

Pamiętam dobrze czas, gdy tworzyliśmy medycynę. Przygotowaliśmy szacunkowy kosztorys, który opiewał na 26 milionów złotych, wydatki były rozłożone na kilka lat. Rzeczywiście marszałek województwa świętokrzyskiego wywiązywał się z tego zadania, wspomagając także finansowo uruchomienie medycyny. Po zmianie władzy to wsparcie się zmniejszyło, a potem ustało. Mam wrażenie, że nie wszystkie samorządy, różnego szczebla, doceniają znaczenie szkół wyższych dla rozwoju regionów w wielu aspektach, w tym gospodarczym, społecznym czy kulturalnym. Za najważniejsze uznałbym zatrzymanie młodzieży, stworzenie dla niej atrakcyjnej oferty kształcenia i pracy. Młodzież, która po wyjeździe na studia do innego dużego miasta rzadko wraca do swoich rodzinnych stron, stanowi istotną dla rozwoju utratę kapitału społecznego, której w jakimś stopniu, bo przecież nie całkowicie, może zapobiec jedynie istnienie odpowiedniej klasy uczelni w regionie – politechniki czy uniwersytetu. Jeżeli nie będziemy w stanie zatrzymać młodzieży, a jej odpływ grozi w dużej mierze Kielcom, to niestety wyludnienie się regionu mamy gotowe.

Skąd się wziął w Kielcach profesor medycyny Stanisław Głuszek?

Jestem stąd. Studiowałem w Łodzi w tzw. trybie indywidualnym. To był wtedy, w latach 70., eksperyment. Było na takich studiach osiem osób, w tym prof. Andrzej Lewiński, który został rektorem Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Wróciłem do Kielc, bo jestem lokalnym patriotą. W latach 1968-1991 był tu Zespół Nauczania Klinicznego, który potem został Katedrą Medycyny Klinicznej, a w końcu Instytutem Medycyny Klinicznej AM w Krakowie (siedziba w Kielcach). Podobny działał w Rzeszowie oraz przy szpitalu MSWiA w Warszawie; szefem tego ostatniego był prof. Ryszard Żochowski, znakomity kardiolog i minister zdrowia. W Kielcach to był rodzaj filii Akademii Medycznej w Krakowie. W pewnym okresie około stu studentów krakowskiej AM

studiowało na ostatnich trzech latach w Kielcach. To wtedy zacząłem prowadzić zajęcia ze studentami na warunkach umowy zlecenia. Pracując w Kielcach, doktoryzowałem się, choć broniłem doktorat w Łodzi. W 1997 roku się habilitowałem. W tamtych czasach utworzyło się w Kielcach akademickie środowisko lekarskie, a jednym z jego członków był prof. Henryk Belowski, który kierował Kliniką Chirurgii w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym. Mieliśmy w Kielcach wielu innych samodzielnych pracowników medycyny (prof. prof. Miecznikowski, Koba, Malarewicz, Kuźniarz, Bień, Starzewski i wielu innych), co na pewno nie pozostało bez wpływu na utworzenie kierunku lekarskiego na naszym uniwersytecie. Background dydaktyczno-naukowy powstał na bazie owego Instytutu Medycyny Klinicznej. Przyznam, że trafiłem na dobrego szefa i dobrą atmosferę w Kielcach, gdzie nie przeszkadzano, ale wspierano rozwój naukowy lekarzy. Zaczątkiem siedziby naszego Wydziału Lekarskiego była dawna szkoła pielęgniarska. Gdy w 2001 roku nastąpiła zmiana w zasadach kształcenia pielęgniarek, dostałem propozycję pracy na uniwersytecie. W czasie funkcjonowania Instytutu Medycyny Klinicznej było wiele jednostek klinicznych na dobrym poziomie merytorycznym, a także Zakład Medycyny Sądowej z właściwym zapleczem laboratoryjnym.

Czy to jest uniwersyteckie prosektorium do kształcenia w zakresie anatomii?

Nie. Nasze prosektorium zostało wybudowane w 2014 roku, a zatem jeszcze przed otwarciem kierunku lekarskiego. Mieliśmy więc wcześniej wszystko przygotowane, byliśmy po pozytywnej ocenie programowej PKA i dopiero wtedy, w 2014 roku, złożyliśmy wniosek i otrzymaliśmy zgodę na uruchomienie kształcenia lekarzy, które rozpoczęliśmy od 1 października 2015 roku. Podkreślam, że wszystko było rzetelnie przygotowane. Pozytywna ocena PKA była kluczowa, ale ważnym argumentem za kierunkiem lekarskim były również dobrze rozwinięte nasze dyscypliny przyrodnicze, z laboratoriami, w których mogły być wykonywane badania podstawowe.

Jak jest traktowany UJK przez lokalny samorząd, władze wojewódzkie?

Generalnie samorzady traktują uniwersytet z dużą atencją. To jest zmienne w czasie i zależy od tego, kto w danym momencie pełni władzę. W przełomowych momentach, np. gdy uczelnia zmieniała się z akademii w uniwersytet przymiotnikowy, a potem klasyczny, wszyscy byli w to zaangażowani i w znaczący sposób odczuwaliśmy wsparcie samorządu. Podobnie było, gdy uruchamialiśmy kierunek lekarski. Wtedy pojawił się też pomysł, by utworzyć odrębną uczelnię medyczną, czemu osobiście byłem przeciwny. To było w czasie, gdy uniwersytet rozpoczął przygotowania do utworzenia kierunku lekarskiego, był może 2012 rok, a już na początku 2014 roku złożyliśmy wniosek o utworzenie kierunku. Bywało jednak różnie, np. w 2011 roku prezydent miasta zapewnił nam, że szpital, który stoi w sąsiedztwie uniwersytetu, zostanie nam przekazany. Niestety wkrótce zmienił zdanie i losy szpitala potoczyły się inaczej. Bywały zatem okresy znakomitej współpracy, ale i gorsze. Miewamy też projekty finansowane z funduszy unijnych, którymi dysponuje marszałek. Jeżeli chodzi o szpital uniwersytecki, udało się uzyskać wsparcie w tej sprawie w Rzeszowie, Opolu, Zielonej Górze, tymczasem u nas jeszcze nie. Powiedziałbym, że istnienie uczelni jest postrzegane pozytywnie, ale nie zawsze przekłada się to na wsparcie finansowe, także wtedy, gdy jest to dla nas ważne strategicznie.

Czy część medyczna jest obciążeniem dla uniwersytetu?

Wszystkie uniwersytety klasyczne mają to samo doświadczenie: część medyczna traktowana jest przez innych jako konkuren-



Fot. UJK

Prof. dr hab. n. med. **Stanisław Głuszek** (ur. w 1954 r.) jest specjalistą chirurgii ogólnej i chirurgii onkologicznej. Jest absolwentem Akademii Medycznej w Łodzi (1978), na tej Uczelni uzyskał doktorat (1981), a habilitował się na Akademii Medycznej w Białymstoku (1997). Tytuł profesora uzyskał w 2003 roku, będąc już pracownikiem Akademii Świętokrzyskiej. Był ordynatorem, a następnie kierownikiem klinik w trzech szpitalach kieleckich (Szpital MSWiA, Szpital Miejski, Wojewódzki Szpital Zespolony). Jest konsultantem wojewódzkim ds. chirurgii ogólnej oraz konsultantem w Świętokrzyskim Centrum Onkologii.

W 2001 objął stanowisko profesora nadzwyczajnego w nowo utworzonym Instytucie Kształcenia Medycznego Akademii Świętokrzyskiej oraz kierownika Zakładu Pielęgniarstwa Klinicznego i Społecznego, później przekształconego w Zakład Chirurgii i Pielęgniarstwa Chirurgicznego. W kieleckiej uczelni był dziekanem Wydziału Nauk o Zdrowiu, a następnie Wydziału Lekarskiego i Nauk o Zdrowiu (2007-2016), obecnie Collegium Medicum oraz prorektorem ds. medycznych (2016-2020), a od roku 2020 jest rektorem Uniwersytetu Jana Kochanowskiego.

Prof. Głuszek jest autorem i współautorem ponad 450 publikacji naukowych, ponad 20 monografii z zakresu chirurgii i onkologii, etyki i filozofii medycyny oraz organizacji kształcenia medycznego. Prowadzi badania m.in. nad determinacją genetyczną chorób trzustki (zapaleń i nowotworów), molekularnymi uwarunkowaniami raka żołądka, raka jelita grubego oraz GIST, a także zespołem metabolicznym i leczeniem otyłości.

cja o środki, zwłaszcza inwestycyjne. Zarzut, że rektor faworyzuje część medyczną pojawia się w czasie całej mojej kadencji, chociaż tak nie jest. Muszę jednak przyznać, że medycyna jest bardzo kosztowna. Z drugiej strony przyczynia się ona do rozwoju uniwersytetu, zwłaszcza badań naukowych. Kiedyś profesor Regina Renz, która doprowadziła do uzyskania przez naszą uczelnię statusu uniwersytetu, powiedziała, że tworząc medycynę, stworzyłem w Kielcach uniwersytet, bo to ona jest siłą napędową całego uniwersytetu. Inwestując w rozwój badań i infrastruktury medycznej, działamy na rzecz całego uniwersytetu. Inne dyscypliny też na tym korzystają.

Utarło się przekonanie, że uniwersytet powinien mieć medycynę, ale chyba też inne kierunki, które nie są modne, jak choćby filozofię.

Zgadzam się z tym, że powinniśmy utrzymywać niektóre kierunki, nawet gdy nie domykają się finansowo. Otworzyliśmy filozofię, ale nie było chętnych na takie studia. Nie wszystko udaje się zrobić tak, jakbyśmy chcieli, ale liczę na to, że przemiany społeczne będą sprzyjać odrażaniu niektórych kierunków kształcenia, w tym filozofii.

Dla regionu świętokrzyskiego charakterystyczna wydawałaby się geologia.

Nigdy jej u nas nie było i chyba nawet nie było myśli o jej powołaniu, ale należy rozmawiać i myśleć o otwarciu tego kierunku.

Jak się ma uniwersytet na prowincji?

Nie czujemy się prowincją. Jesteśmy w centrum Polski.

Jednak ośrodki krakowski czy warszawski zabierają Kielcom najlepszych maturzystów. Nie udaje się też wam zaistnieć mocno w konkurencji grantowej...

Mamy wrażenie, że Narodowe Centrum Nauki, podobnie jak Agencja Badań Medycznych, priorytetowo traktuje duże ośrodki akademickie, które mają znaczące dotychczasowe osiągnięcia, a w tej sytuacji „nowym” i mniejszym trudniej się włączyć do skutecznej rywalizacji. Brakuje nam poczucia sprawiedliwej dystrybucji środków na projekty badawcze.

Składacie też mało wniosków.

Tak. I podkreślamy – cały zespół rektorski – od początku mojej kadencji, że musimy składać więcej wniosków grantowych, bo od tego także zależy to, ile grantów uzyskamy. W ubiegłym roku osiągnęliśmy kilkunastoprocentową skuteczność. To pokazuje, że szanse są. Wiemy, że jesteśmy obiektywnie słabsi niż UJ czy UW. Mamy też jednak przekonanie, poparte doświadczeniem, że pomysł naszego projektu odrzuconego przez NCN dostaje w tej agencji finansowanie, gdy podobny wniosek złożony później, inny, większy ośrodek. Widzę jakąś przestrzeń do poprawy działania NCN. Finansowanie grantowe ma sens tylko wtedy, gdy jest stabilne, gdy nie jest loterią, dlatego jestem za zwiększeniem finansowania Centrum. Wtedy i nasze szanse wzrosną.

Czy UJK zmierza do ulokowania całej swej działalności na jednym zwartym kampusie?

Mamy piękny kampus akademicki, na którym znajdują się siedziby połowy naszych wydziałów: Nauk Ścisłych i Przyrodniczych, Humanistyczny, Prawa i Nauk Społecznych oraz Biblioteka Uniwersytecka. Collegium Medicum usadowiło się z powodu pewnej tradycji i historii w innej lokalizacji, nawiasem mówiąc blisko szpitala. Była tam szkoła pielęgniarska, która stanowiła w pewnym sensie jego zaczątek. Ten obiekt został rozbudowany na potrzeby kształcenia. Gdybyśmy otrzymali lub odkupili ten szpital, albo może znaleźli inne rozwiązanie, np. budowa nowego szpitala...

Jakie to koszty?

Wysokie, około 200 milionów złotych. Gdybyśmy dysponowali takimi środkami, moglibyśmy zbudować lub rozwijać szpital i bazę dydaktyczną Collegium Medicum. Oczywiście zgoda na takie działania zależy od władz miasta i regionu, ale trudno mi sobie wyobrazić brak ich przychylności dla tego rodzaju inicjatywy. Otworzyliśmy farmację, dobrze by było zbudować dla niej siedzibę.

Przedstawił pan potrzeby inwestycyjne medycyny, a pozostałe wydziały?

Najstarszy budynek na kampusie wymaga poważnej modernizacji, która może kosztować ok. 60-70 mln zł. W tej sprawie złożyliśmy wniosek do ministerstwa. Musimy też zmodernizować i nadbudować siedzibę ekonomii na kampusie (Wydział Prawa i Nauk Społecznych). Jesteśmy w trakcie przetargu na koncepcję i projekt nowej siedziby Wydziału Sztuki, która powstanie na terenie kampusu. Obecnie ma on najgorszą infrastrukturę i to w dwóch częściach, gdyż w innym miejscu jest siedziba Instytutu Sztuk Wizualnych, a gdzieś indziej Instytut Muzyki. Środki, które dostaliśmy jako rodzaj rekom-

pensaty za usamodzielnienie naszej filii w Piotrkowie Trybunalskim, 41 mln 300 tys. zł w postaci obligacji, przeznaczone są właśnie na inwestycje dla Wydziału Sztuki.

Czy obligacje są wygodną formą finansowania uczelni?

W obecnej sytuacji każda forma jest dobra. Oczywiście ich zbycie uzależnione jest od zgody ministra finansów i Prokuratorii Generalnej. Poprzednio nie mieliśmy z tym problemu – otrzymaliśmy 30 milionów złotych, których część została przeznaczona m.in. na inwestycje dotyczące domu studenckiego oraz Wydziału Prawa i Nauk Społecznych.

Wróć do jednostek, które są poza kampusem.

Oprócz medycyny i wspomnianej już sztuki, to także pedagogika i psychologia oraz filia w Sandomierzu, która stanowi poważny problem inwestycyjny. Mamy tam 160 studentów i trudno przy obecnych warunkach marzyć o czymkolwiek więcej. Jesteśmy w trakcie procesu przyjęcia darowizny działki od powiatu sandomierskiego. Problem w tym, że jeśli wybudujemy nowy obiekt, to obecny musimy oddać, a ten budynek jest droższy niż działka, którą przejmujemy. Ponieważ też pozyskaliśmy go w wyniku darowizny na cele dydaktyczne, gdy one ustaną, musimy go zwrócić. Potrzebujemy na to wszystko zgody Prokuratorii Generalnej, co jest bardzo skomplikowane.

Ta filia jest potrzebna uniwersytetowi?

Na pewno jest ona ważna dla Sandomierza. Jeśli podjęliśmy się jej prowadzenia niecałe dziesięć lat temu, to powinniśmy się z tego wywiązać. To w pewnym sensie część naszej uniwersyteckiej misji. Dla miasta jest to czynnik prorozwojowy. Oczekivalibyśmy jednak większego zaangażowania władz miejskich i powiatowych. Myślmy o uruchomieniu tam pielęgniarstwa, władze powiatowe zaoferowały nawet tymczasowe zaplecze dla takiego kierunku, nim wybudujemy nowy obiekt.

Co zmieniła szkoła doktorska w kształceniu doktorantów?

W tej chwili mamy prawie stu doktorantów, którzy otrzymują stypendia. Pierwsza obrona doktoratu miała miejsce w październiku ubiegłego roku, a wygląda na to, że pozostałe zostaną obronione mniej więcej w terminie. Ta forma doktoryzowania sprzyja intensyfikacji badań naukowych i poprawie poziomu prac doktorskich. Mieliśmy kilka projektów, które wspomagają szkołę doktorską. Jeszcze kilkunastu doktorantów ze starego trybu kończy prace i przygotowuje się do obron.

Czy UJK ma problem z zatrudnieniem kadr ze względu na niekonkurencyjne zarobki?

Gdyby spojrzeć przez pryzmat konkursów na stanowiska, to mamy problem z zatrudnieniem matematyków i informatyków, tu właśnie wyraźnie widać problem płacy. To jest problem punktowy, który wymaga wyjątkowych ingerencji, czyli zaoferowania odpowiedniej płacy. Dotyczy to nie tylko młodych pracowników, adiunktów, ale także profesorów uczelni na kierunkach, na których nam zależy. Jesteśmy uniwersytetem, na którym dotychczas stosunkowo łatwo było otrzymać stanowisko profesora uczelni. Zmieniamy zasady już teraz, przed końcem kadencji, aby nowemu rektorowi było łatwiej działać.

Ilu pracowników UJK pracuje za minimalną płacę krajową?

Około dwustu pracowników administracji.

Jak pan widzi kwestię udziału studentów w wyborach rektorskich?

Studenci powinni mieć udział w decyzji o wyborze rektora, są w końcu najliczniejszą grupą w społeczności uczelni. Myślę,

że obecna proporcja, czyli 20 procent głosów elektorów studenckich, jest odpowiednia. Studentów traktuję zawsze po partnersku, szanuję ich wszelaką uniwersytecką aktywność. Studenci interesują się nie tylko sprawami im bliskimi, ale też społeczności akademickiej, doskonale wiedzą, kto jest prodziekanem ds. studenckich, chociaż rektora nie zawsze kojarzą z nazwiska i nie rozpoznają na uniwersyteckim korytarzu.

Jakie są relacje UJK z dużymi uniwersytetami z krajowego topu?

Staramy się współpracować, korzystać z ich doświadczeń. Często ta współpraca przekłada się na pozyskiwanie pracowników dla naszej uczelni, ludzi, którzy pomagają nam uruchomić nowe zespoły naukowe czy laboratoria. Mamy dobrą, twórczą współpracę z wieloma krajowymi i zagranicznymi uniwersytetami w różnych dyscyplinach, korzystną dla obydwu stron. Taką aktywność rozwijamy i upowszechniamy w naszej społeczności.

Nie widzi pan pól konkurencji czy rywalizacji?

Jeśli ona ma miejsce, to nie tyle między uniwersytetami, ile raczej między naszymi naukowcami a badaczami z dużych uczelni. Zdarza się, że potrafimy w takiej rywalizacji pokazać swoje mocne strony.

Skąd UJK pozyskuje studentów?

Większość naszych studentów pochodzi z regionu świętokrzyskiego. To nie tylko Kielce i okolice, ale całe województwo. Około 30 procent jest spoza regionu, często są to mieszkańcy okolicznych województw, graniczących z nami, a zatem z lubelskiego, łódzkiego, podkarpackiego czy mazowieckiego. Mniej szej liczby z innych, czasami odległych województw. W gronie studentów reprezentowane są wszystkie województwa.

Jakie perspektywy zatrudnienia w regionie mają absolwenci UJK?

Aż 61 procent absolwentów Collegium Medicum podjęło staż w regionie świętokrzyskim. To znaczy, że faktycznie nasza medycyna daje kadry dla regionu. Podobnie jest z pozostałymi kierunkami. Z ostatnich badań przeprowadzonych w ramach monitoringu ekonomicznych losów absolwentów szkół wyższych wynika, że dyplom jest ważnym sygnałem dla lokalnych pracodawców poszukujących nowych pracowników. Spośród absolwentów uniwersytetu 52% znalazło zatrudnienie w województwie świętokrzyskim. Największy odsetek stanowili studenci filologii angielskiej – 89%, psychologii – 87%, filologii germańskiej – 85%, zdrowia publicznego – 83%, pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej – 79%, prawa i pielęgniarstwa – w obu przypadkach 76% podjęło aktywność zawodową na lokalnym rynku.

A jak wygląda kwestia umiędzynarodowienia kształcenia na UJK?

Mamy prawie czterystu studentów zagranicznych, m.in. z Nigerii i Afganistanu, ale również z Norwegii, Jemenu, Kanady, Kongo, Malezji, Maroka, Chin, Iranu, a także USA. Mysłę, że umiędzynarodowienie kształcenia jest bardzo ważne. Collegium Medicum jest najbardziej umiędzynarodowione (studia lekarskie english division). Zadowolająco rozwija się też program Erasmus, przyjeżdża do nas znacząca liczba studentów z różnych krajów europejskich, m.in. z Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Turcji. Natomiast z całą pewnością pragniemy bardziej umiędzynarodowić zespoły badawcze, aczkolwiek i w tej kwestii nastąpiła znacząca poprawa. Organizacyjnie wspieramy umiędzynarodowienie, tworząc zespół welcome center w Biurze Rektora UJK.

Gdyby prawo pozwalało, wystartowałby pan w wyborach rektorskich na kolejną kadencję?

Raczej nie. Biorąc pod uwagę moje zainteresowania, zaangażowanie zawodowe – lekarskie i naukowe... Kończąca się kadencja była szczególnie trudna ze względu na pandemię, wojnę na Ukrainie, inflację i szereg stąd wynikających problemów organizacyjnych i ekonomicznych dla realizacji strategii UJK. Odpowiednie zarządzanie uczelnią pozwoliło utrzymać bezpieczeństwo jej funkcjonowania i płynność finansową.

To dlaczego startował pan cztery lata temu?

Miałem przekonanie, że mogę wykonać i rzeczywiście wykonałem, razem ze społecznością akademicką, pewne zadania, m.in. w zakresie zwiększenia potencjału naukowo-badawczego uniwersytetu, co wykazały wyniki ewaluacji, utworzenia atrakcyjnych kierunków studiów, jak choćby farmacja, nowoczesne systemy diagnostyczne w medycynie, grafika oraz inżynieria biomedyczna wspólnie z Politechniką Świętokrzyską. Za nami trudne przygotowania do realizacji budowy Wydziału Sztuki i zabezpieczenia środków finansowych na ten cel, szeroko zakrojone prace zmierzające do utworzenia szpitala uniwersyteckiego czy też pozyskania działki budowlanej dla nowej siedziby Filii w Sandomierzu. Część zadań wymaga kontynuowania przez moich następców. W sprawie szpitala uniwersyteckiego proces nie jest zakończony, ale ważne prace zostały wykonane, czas nie był zmarnowany, wszystkich informacji nie mogę przekazać, bo negocjacje mają na tym etapie poufny charakter. Potrzebujemy ostatecznie uzgodnień między uniwersytetem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego oraz ministrem zdrowia, a także pomocy państwa w pozyskaniu środków na dokonanie transakcji.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



W tym numerze „Forum Akademickiego” zajmujemy się Europą Środkową jako problemem badawczym. Chcemy zaprezentować kilka artykułów autorstwa uczonych z różnych dyscyplin (historii, nauk politycznych, socjologii, geopolityki i in.), którzy mają osiągnięcia w tej problematyce i zechcieli się podzielić wynikami swoich badań.

Zaproszonym autorom podsunęliśmy następujące kwestie: Czym jest Europa Środkowa? Jak ją badać? Jakie badania są najpilniejsze ze względu na rosyjski marsz na Zachód? Czym jest środkowoeuropejskość? Jaka może być jej rola wobec kryzysu Unii Europejskiej? Jak się odbija status Europy Środkowej jako pogranicza na kwestiach politycznych, społecznych, kulturowych i bezpieczeństwa? Co musiałoby się stać, by Europa Środkowa mogła się wydobyć z pozycji peryferyjnej? Czy pogranicze to zawsze podrzędność? Jaki potencjał ma inicjatywa Trójmorza? Jaki powinna mieć ona charakter?

Zapraszamy do lektury.

Redakcja

Radosław Zenderowski

Europa Środkowa

Czas i przestrzeń niedefiniowalna

Można rzec, że stosunek do historii własnego narodu jest pierwszym ważnym i wyróżniającym elementem tożsamości narodów Europy Środkowej. Wyróżniają się one na tle narodów Europy Zachodniej, które na ogół cechuje myślenie prospektywne i nastawione na realizację celów w przyszłości, na tworzenie historii, nie zaś na jej (re)lekturę.

Przeszło 40 lat temu czeski literat podjął próbę zdefiniowania Europy Środkowej. Próbę w gruncie rzeczy beznadziejną, do czego kilka lat później się przyznał, namawiając potencjalnych czytelników do nieczytania jego przemyśleń na temat istoty środkowoeuropejskości. W swym esej zytułowanym *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej* postawił dwie mocne tezy. Po pierwsze uznał, że Europa Środkowa jest antytezą Rosji (względnie odwrotnie), po drugie, że skupia w sobie esencję europejskości. W granice Europy Środkowej zapisał Czechów, Węgrów oraz Polaków i co ciekawe, wypisał z niej Słowaków, ostentacyjnie nie zauważając ich istnienia.

Rzadko kiedy, w porównaniu z literaturą dotyczącą Europy Środkowej, podejmowane są próby zdefiniowania Europy Zachodniej i Europy Wschodniej. Tak jakby te pojęcia były wystarczająco oczywiste. Europa Wschodnia to pojęcie pejoratywne, zaś Europa Zachodnia to ta rzekomo prawdziwsza i normalniejsza część „starego kontynentu”, który stał się stary, dopiero jak „odkryto” Amerykę.

Geografia wymyka się historii

Europę Środkową zaczęli mentalnie kolonizować Niemcy, którzy zorientowali się, że Anglicy, Francuzi, Portugalczycy, Hiszpanie, a nawet tak nieliczni Belgowie i Holendrzy dzierżą w swych rękach potężne posiadłości kolonialne. W pewnym sensie Europa Środkowa jest przejawem niemieckiej traumy. W drugiej połowie XIX wieku, gdy już kolonialny tort został podzielony, niemieccy intelektualiści z niemal każdego obszaru badań naukowych, od geografii po filozofię, wyznaczali gra-

nice Mitteleuropę. I przesuwali je coraz bardziej na wschód, na zachód nie.

Niemiecka Europa Środkowa wyrastała z prusackiego przekonania o byciu Kulturträgerem. Z poczucia misji cywilizowania wszystkich dookoła, zwłaszcza Wschodu. Od zarania idea Mitteleuropę naznaczona była żądzą panowania i ujarzmiania. Niemcom marzyła się dominacja na „starym kontynencie” mająca rekompensować spóźniony start w podbojach kolonialnych.

W kontrapozycji do niemieckiej Mitteleuropę od XIV wieku wyłaniała się polska Europa Środkowa z silnym wychyleniem w stronę Morza Czarnego. Rzeczpospolita Obojga Narodów w odróżnieniu od żołdackich i autorytarnych Prus, kontynuowała tradycje republikańskie z takimi wartościami jak demokracja, wolność, pluralizm. Imperium Rzymskie faktycznie upadło nie w piątym, lecz w pod koniec XVIII wieku. Europa Środkowa, czy bardziej Środkowo-Wschodnia w polskiej odsłonie, była w większym stopniu tworem aksjonormatywnym aniżeli terytorialnym. O ile niemiecka idea Europy Środkowej przeżyła była prawem i geografiami, o tyle polska wersja – filozofią i teologią. Obydwie idee Europy Środkowej nie mogły się z oczywistych względów ze sobą spotkać.

Pomiędzy niemiecką i polską ideą Europy Środkowej od XVII wieku jawi się czeska koncepcja. Zasada się ona na przekonaniu, że tym, co definiuje Europę Środkową, jest małość i średniość. Obydwie te cechy, zdaniem wielu czeskich autorów, umożliwiają przetrwanie. Ostatnie chojrzenie w wydaniu czeskim skończyło się wojną trzydziestoletnią, najbardziej

wyniszczającą w dziejach Europy Środkowej. Czesi pierwszy i ostatni raz odpalili bombę atomową, i w konsekwencji uznali, że łatwiej przeżyć jako mały naród. Czeska koncepcja Europy Środkowej to – jak mawiał prezydent Masaryk – strefa małych narodów. Małych nie liczebnością, ale świadomością możliwości zaniku. Poszczególne hymny narodowe państw Europy Środkowej ewokują potencjalną śmierć narodu i satysfakcję, że jeszcze ona nie nastąpiła.

Węgierska idea Europy Środkowej stanowi kwintesencję prentensji terytorialnych. Ten kurczący się w ekspresowym tempie naród żywi nadzieję, zupełnie bezpodstawną, powrotu do dawnych granic. Közép-Európa się marzy. Nieprzypadkowo w restauracji IV kategorii w Segedynie, niedaleko dworca kolejowego, na ścianie wisi mapa Wielkich Węgier i rozlewane jest piwo... Karpacie. Mentalnie Węgrzy są bliscy Prusakom w myśleniu o Europie

Środkowej. I jedni, i drudzy marzą o dominacji, podczas gdy Polacy o republikanizmie. Czesi natomiast gotowi są zaakceptować Europę Środkową jako federację barów piwnych.

Rumuni do Europy Środkowej zapisał Aurel Popovici, autor słynnego dzieła pt. *Die Vereinigten Staaten Von Gross-Osterreich*. Rumuni w drugiej połowie XIX wieku odkryli swoje rzymskie korzenie. Zakochali się w tym micie. I odkryli, że czyni on ich mieszkańcami Europy Środkowej. Gotowi nawet amputować Wołoszczyznę i Mołdawię, byleby tylko być w Europie. Rumunia jest za duża, aby zmieścić się w Europie Środkowej. I dlatego co dziesiąty Rumun nie pije, a co piętnasty nie pali. Na grani niekomfortowo się siedzi.

W przypadku Europy Środkowej geografia wymyka się historii lub odwrotnie. Jednakowoż to właśnie historia wydaje się dominującą. Historia Europy Środkowej to dzieje dwóch narodów pragnących panowania nad nią. Rozbiory Polski w XVIII wieku stanowiły preludium do rozbioru Europy Środkowej. Tymczasem to tu właśnie biło serce Europy. Prusacy i Moskale niewiele różnili się od siebie. Ordynarni, mający w pogardzie prawo międzynarodowe, łupili namiętnie i chętnie. Europa Środkowa w ich języku oznaczała niepodległość, której sobie nie życzyli.

Był taki moment w historii Europy, gdy i Niemcy, i Rosja, z uwagi na wewnętrzne problemy, przestały interesować się naszą częścią Europy. Były to lata 1918-1920. Krótki czas, ale na tyle ważny, że na mapie politycznej Europy pojawiło się kilka nowych państw: Litwa, Łotwa, Estonia, Polska, Czechosłowacja. Oraz Jugosławia. Wspomniana państwowość trwała jedno pokolenie, po czym zniknęła lub została poddana Związkowi Radzieckiemu.

Niewymienialna na żadne inne terytorium

Środkowa, ale wobec czego, kogo? Przecież aby być w środku czegoś, należy jakoś nazwać obrzeża. Tymczasem o ile od zachodu sytuacja definiuje się sama przez się, znaczy przez Atlantyk, to od wschodu jest jeden wielki znak zapytania. Wschód był od zawsze dla Europy wyzwaniem. Być może to właśnie Wschód tak naprawdę zdefiniował Europę Środkową. Tę część Europy, której Zachód nie chciał, a Wschód drapieżczo pożył. Dla Zachodu Europa Środkowa była niechcianym dzieckiem, dla Wschodu korytarzem do Europy.

Przeklęty jest zatem los Europy Środkowej, terytorium POMIĘDZY, niewymienialnego na żadne inne terytorium na świecie. I choć to właśnie w Europie Środkowej urodziło się tylu noblistów, światowej sławy pisarzy, kompozytorów i malarzy, to i tak jej europejskość tyle wieków stawiano pod znakiem zapytania.

Europa Środkowa wciąż istnieje i zdaniem profesora Marcina Dębickiego nieuchronnie łączy się z niskalkoholowym

piwem spożywanym w restauracji dworcowej. Profesor Dębicki jako wytrawny badacz kultury Europy Środkowej nieprzypadkowo rozpoczyna swoją podróż od restauracji dworcowej. Granice Europy Środkowej wyznaczają bowiem koleje żelazne. Pociągi przemierzające tę przestrzeń, która po 1918 roku została rozdzielona między nowo powstałymi państwami, swoim przebiegiem wykreślały granice Europy Środkowej. Z Sarajewa przez Wiedeń do Krakowa jeździło się i normalnie, i sentymentalnie.

Europa Środkowa to otwarty zakład psychiatryczny. Można w każdej chwili do niego wejść i wyjść. Ale niewielu wychodzi, bo tam panuje dobra zabawa. Bycie wariatem bywa momentami, a czasem i dłuższymi chwilami, opłacalne. Każdy z nas pamięta przecież słynne „Ich weiss nicht”. CK Dezerterzy nie wzięli się znikąd.

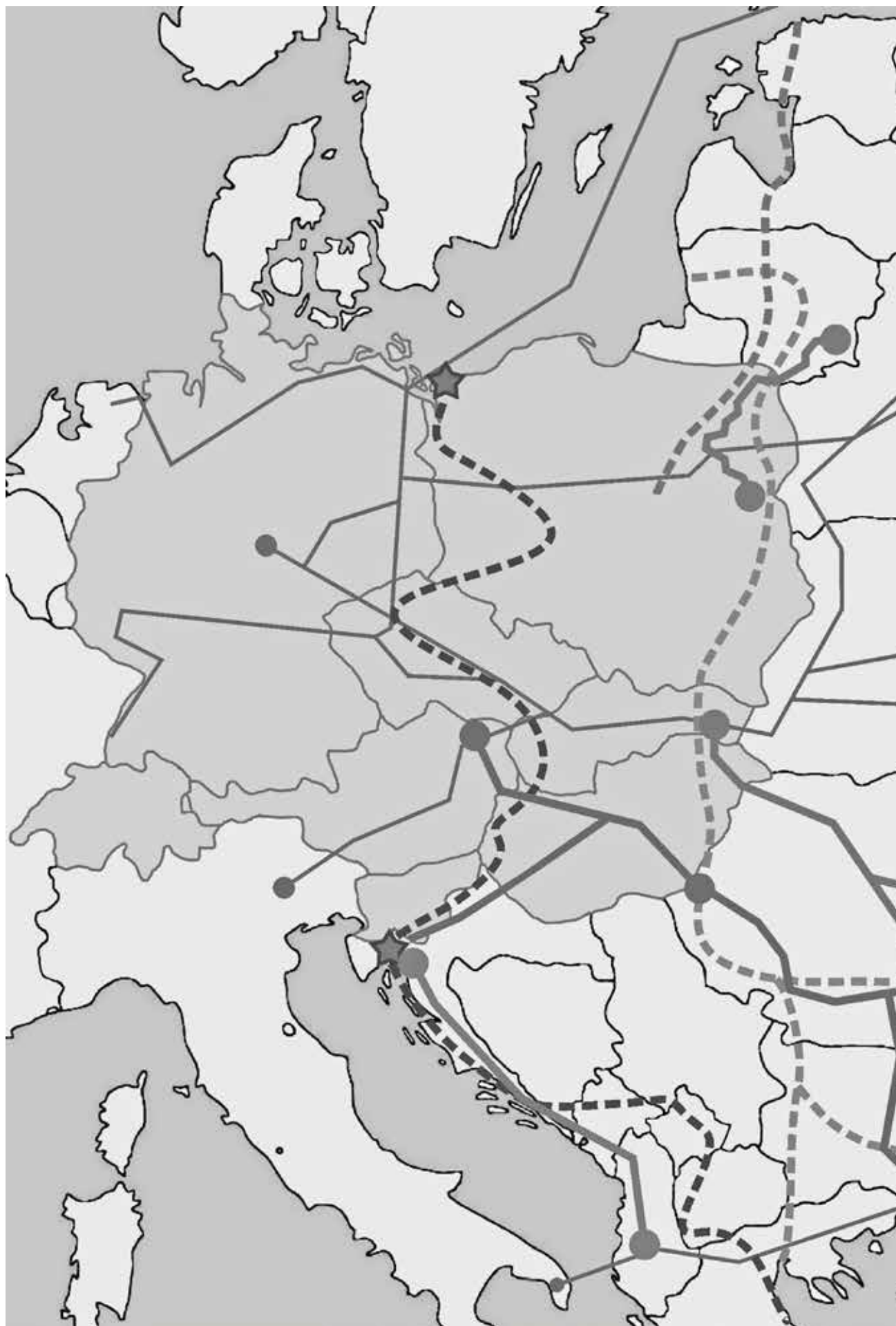
Ponadnarodowa tożsamość

Wiedząc, a raczej odgadując, czym jest w swej istocie i geograficznym zarysie Europa Środkowa oraz jak należy rozumieć wartości (w paradygmacie humanistycznym), należy się zastanowić, w jaki sposób można zidentyfikować i opisać coś, co określamy mianem wartości środkowoeuropejskich. Pod tym pojęciem rozumie się wartości, które nie tylko są szczególnie cenione w regionie Europy Środkowej (w poszczególnych państwach i narodach), ale które także tworzą swoistą potencjalną bądź realną przestrzeń komunikacji i solidarności. Są to te wartości, które wydają się specyficzne dla narodów zamieszkujących region Europy Środkowej zarówno w sensie swego unikatowego charakteru, jak i szczególnej dla nich uwagi (miejsca w hierarchii). Wartości te konstytuują natomiast coś, co możemy nazwać środkowoeuropejskością rozumianą jako przejaw ponadnarodowej tożsamości.

Do wartości o szczególnym znaczeniu dla poszczególnych narodów w długim planie historycznym zaliczyć z pewnością należy: (a) państwo jako wyraz dążenia do politycznej autonomii i samostanowienia (oraz doświadczenie utraty państwa); (b) religia zarówno jako wyraz pobożności, ale przede wszystkim jako integralny komponent tożsamości narodowej oraz cywilizacyjnej przynależności do Zachodu; (c) kultura narodowa, w tym szczególna narodowotwórcza rola literatury pięknej oraz języka narodowego jako głównego wyznacznika narodowości zwłaszcza w przypadku nieposiadania autonomii politycznej; (d) (zmitologizowany) historyzm rozumiany w kategoriach pilnie strzeżonej i pielęgnowanej pamięci zbiorowej, w której szczególnie silny wydaje się wątek wiktymistyczny; (e) postulat wolności pojmowany zwłaszcza w kontekście doświadczenia zaborów i okupacji, a także doświadczeń z dwoma totalitaryzmami: komunistycznym i nazistowskim.

Państwo jako wyraz dążenia do politycznej autonomii i samostanowienia. W odróżnieniu od Europy Zachodniej oraz państw skandynawskich wszystkie byty państwowe, jakie utworzono na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej, w tym w regionie Europy Środkowej, nieustannie były zagrożone w swym istnieniu. Cechowała je swego rodzaju tymczasowość, jako że zewnętrzne potęgi, takie jak: imperium Romanów, imperium osmańskie, imperium Habsburgów, a w późniejszym czasie także Prusy, rościły sobie pretensje do poszczególnych fragmentów regionu. I choć pojęcie Saisonstaat (państwo sezonowe) zaczyna być używane przez niemieckich polityków dopiero w okresie międzywojennym, tego typu myślenie o państwach Europy Środkowej ma długą i dobrze zakorzoną tradycję.

Religia jako integralny komponent narodowej tożsamości oraz cywilizacyjnej przynależności do Zachodu. Trudno



Rys. Sławomir Makal

jest sensownie wypowiadać się o tożsamości poszczególnych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, abstrahując od roli religii jako czynnika współtworzącego społeczne i indywidualne wyobrażenia o narodowej wspólnoty. Wydaje się również, że niemożliwe jest zrozumienie specyfiki relacji (zwłaszcza konfliktów) międzynarodowych i międzyetnicznych, bez uwzględnienia tej, w wielu przypadkach kluczowej, determinanty. Etniczność w ścisłym związku z religią stanowi potężny środek mobilizacji politycznej i samoidentyfikacji jednostek oraz całych grup społecznych, zwłaszcza w sytuacji pogłębiającego się kryzysu i niepewności. Mając na uwadze zwłaszcza okres XIX i XX w., dostrzegamy dwa niezwykle interesujące rodzaje zjawisk, bardzo silnie ze sobą sprzężonych, wzajemnie się przenikających. Są nimi: z jednej strony etniczacja (polityzacja) religii, z drugiej, sakralizacja (deifikacja) etnosu/narodu (lub władzy) i uznanie danej grupy etnicznej za szczególnie uprzywilejowaną z racji swej „świętości” lub „wybrania” (motywy narodu wybranego). Innymi słowy, elementy etniczności i religijności ulegają nieuchronnie przemieszaniu, wskutek czego etniczność nabiera cech sakralnych, a religia etnicznych.

Kultura narodowa, w tym szczególna narodotwórcza rola literatury pięknej oraz języka narodowego jako głównego wyznacznika narodowości. Wśród wartości środkowoeuropejskich kluczowa nie jest kultura narodowa jako taka, albowiem stanowi ona wartość także i na zachodzie Europy, ale i w innych kręgach cywilizacyjnych. Specyficzna dla Europy Środkowej (ale także Europy Wschodniej) jest szczególna rola twórców literackich, narodowych wieszczów, którzy odegrali istotną rolę w procesie tzw. odrodzenia narodowego. Bardzo istotną rolę w procesie narodowej emancypacji w Europie Środkowo-Wschodniej odegrali tzw. ludzie pióra, prozaicy i poeci, ale także malarze, kompozytorzy, a nawet architekci. Stanowili oni, obok duchowieństwa, awangardę ruchów narodowych, tworząc na płótnie, pięcioliniach czy na kartach poczytnych książek obrazy epopei narodowych „pokrzepiających serca”, uwznioślających, motywujących do walki o swoje prawa. W odróżnieniu od Europy Zachodniej, gdzie od artystów oczekiwano głównie doznań estetycznych, w Europie Środkowo-Wschodniej oczekiwano motywacji do walki o sprawę narodu. Można powiedzieć, że w zasadzie każdy naród Europy Środkowej — czy szerzej, Środkowo-Wschodniej — ma swojego Mickiewicza i Słowackiego, twórców literackich stanowiących swego rodzaju pomniki narodowej tożsamości i woli przetrwania w często bardzo niesprzyjających okolicznościach politycznych.

(Zmitologizowany) historyzm rozumiany w kategoriach pilnie strzeżonej i pielęgnowanej pamięci zbiorowej. Można przyjąć założenie o szczególnym wyczuleniu historycznym i bardzo wyraźnej roli pamięci zbiorowej w procesie kreowania tożsamości narodowych na obszarze Europy Środkowej. Można rzec, że stosunek do historii własnego narodu jest pierwszym ważnym i wyróżniającym elementem tożsamości narodów Europy Środkowej. Wyróżniają się one na tle narodów Europy Zachodniej, które na ogół cechuje myślenie perspektywne i nastawione na realizację celów w przyszłości, na tworzenie historii, nie zaś na jej (re)lekturę. Odróżniają się także od rosyjskiego pojmowania historii w kategoriach demonstracji siły i imperialnej woli, jako że bardzo wyrazisty w narracjach historycznych narodów Europy Środkowej jest wątek wiktymistyczny, o którym będzie jeszcze mowa.

Skłonność do analizowania wszelkiego rodzaju faktów i procesów społecznych w kontekście historii narodu lub regionu jest zjawiskiem powszechnym w Europie Środkowej. Myślenie historyczne połączone z retrospektywnym tradycjonalizmem

sięga nierzadko zamierzonych epok, wczesnego średniowiecza, okresu formowania się państwowości lub czegoś, co post factum jest definiowane w kategoriach zrębów narodowej tożsamości. Najczęściej jednak koncentruje się na okresie XVIII, XIX i pierwszej połowy XX w., ponieważ to właśnie wówczas definiowano polityczne role poszczególnych narodów, na gruzach wielonarodowościowych imperiów zaczęły formować się państwa narodowe. Czasem można odnieść wrażenie, że tak częste „wycieczki historyczne” służą mającemu sprawiedliwemu nieobecności w świecie teraźniejszym, mającemu zwalniać z odpowiedzialności za „tu i teraz” oraz z myślenia o przyszłości. Jakże często różnego rodzaju niepowodzenia tłumaczy się w Europie Środkowej wciąż nieprzezwycięzonymi konsekwencjami minionych zdarzeń, nierzadko bardzo odległych czasowo, jak np. zabory w przypadku Polski. Ten swoisty kult historii pisanej przez wielkie „H” nie jest dziełem przypadku i wynika przede wszystkim ze specyficzności dla narodów Europy Środkowej doświadczenia tymczasowości wszelkiego rodzaju urzędzeń politycznych i społecznych oraz „traumatyzującego doświadczenia potencjalnego zbiorowego zniknięcia”.

Postulat wolności pojmowany w kontekście doświadczenia zaborów i okupacji, a także doświadczeń z dwoma totalitaryzmami. Czeski prozaik, silnie utożsamiany z ideą Europy Środkowej, w swym esej *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej* stawia pewną tezę, z którą nie sposób się nie zgodzić. Mianowicie twierdzi, że jednym ze wskaźników środkowoeuropejskości czy raczej elementem konstruującym hierarchię wartości środkowoeuropejskich jest pragnienie wolności i niechęć wobec jakiegokolwiek formy autokratyzmu i totalitaryzmu, w tym także prób ujarzmania dokonywanych z zewnątrz (przez Niemcy i Rosję). Pisał on w 1983 r.: „Ta pełna sprzeczności sytuacja Europy, którą nazywamy środkową, pozwala zrozumieć, dlaczego tam właśnie od 35 lat skupia się dramat Europy: wspaniała rewolta węgierska w 1956 roku i krwawa masakra, jaka po niej nastąpiła, praska wiosna i okupacja Czechosłowacji w 1968 roku, polskie zrywy w 1956, 1968, 1970 i w ostatnich latach. Niczego, co dzieje się w Europie geograficznej, na Zachodzie czy na Wschodzie, nie da się porównać z ciągiem buntów środkowoeuropejskich, ani pod względem dramatycznej treści, ani pod względem historycznej doniosłości”. Kundera zrazu konstatuje: „Każydy z tych buntów był dziełem niemal całej ludności”. Jednocześnie stwierdza, że w państwach Europy Wschodniej (jako przykład podaje Bułgarię) tego rodzaju bunt w obronie wolności są w zasadzie nie do pomyślenia, zważywszy na przynależność do innej cywilizacji.

Kultura Europy Środkowej uformowana w duchu tradycji łacińskiej (zachodniej) bazuje na indywidualistycznej koncepcji osoby ludzkiej i silnym zaakcentowaniu jej prawa do dokonywania osobistych wyborów, za które jednostka ponosi indywidualną odpowiedzialność. Związane jest to ze szczególnym wyczuleniem na jakiegokolwiek próby ograniczania tej wolności, które jeśli zaistnieją, domagają się od jednostki konkretnego działania, nie tylko jeśli chodzi o obronę swoich praw, ale także praw innych współluczniczających w danej wspólnoty politycznej. Europa Wschodnia wydaje się domeną kolektywistycznej koncepcji osoby ludzkiej, która znajduje uzasadnienie dla swojego istnienia i działania wyłącznie we wspólnoty i poprzez wspólnotę, której jest integralną częścią. Wola ogółu, a w praktyce autorytetu lub przywódcy wspólnoty jest zobowiązująca dla jednostki, której zadaniem jest ją spełniać w możliwie jak największym stopniu.

Prof. dr hab. Radosław Zenderowski, socjolog i politolog,
kierownik Katedry Stosunków Międzynarodowych i Studiów Europejskich
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Czym jest Europa Środkowa?

Jak pisać o Europie Środkowej, przy trudnościach z określeniem jej znaczenia? W praktyce wielu autorów przyjmuje następujące rozwiązanie: sygnalizują problem związany z jej zdefiniowaniem, a następnie tłumaczą, jakie znaczenie przypisują jej w swej konkretnej pracy, wskazując literaturę, na której się opierają.

Termin Europa Środkowa powszechnie występuje w literaturze naukowej, ale nie wypracowano jego ogólnej przyjętej definicji. Na podstawie moich badań w nauce o stosunkach międzynarodowych wyróżniam dwa podejścia: Europa Środkowa w wąskim znaczeniu to wschodnia część Unii Europejskiej, obejmująca państwa Inicjatywy Trójmorza. Natomiast Europa Środkowa sensu largo obejmuje poza wspomnianymi państwami Inicjatywy Trójmorza również sześć państw zaliczanych do Bałkanów Zachodnich (Albanie, Bośnię i Hercegowinę, Czarnogórę, Kosowo, Macedonię Północną i Serbię), a także Ukrainę i Mołdawię. Europa Środkowa to specyficzny konstrukt pojęciowy o granicach zmiennych w czasie i przestrzeni, obejmujący państwa wyróżniające się istotnymi cechami pod względem kryteriów politycznych, bezpieczeństwa, ekonomicznych, historycznych i kulturowych. Obecnie podstawowym kryterium wyodrębniającym ten region jest czynnik polityczno-wojskowy. Agresja Rosji, obecność żołnierzy rosyjskich stały się decydującym wyróżnikiem dla wyznaczania wschodnich granic Europy Środkowej. Wojna Rosji z Ukrainą pogłębiła granicę dzielącą Europę Środkową od wschodniej części kontynentu. Proces kształtowania nowego układu sił na poziomie systemu międzynarodowego i przesuwanie granic między Zachodem i Wschodem mają kluczowy wpływ na zmianę znaczenia pojęcia Europy Środkowej.

Definicje, granice i tożsamość Europy Środkowej są od lat tematem badań prowadzonych w wielu instytucjach naukowych, również w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Nazwy tej części Europy podlegały różnym interpretacjom i do dziś istnieją rozbieżności między badaczami. Jak zatem pisać o Europie Środkowej, przy trudnościach z określeniem jej znaczenia? W praktyce wielu autorów przyjmuje następujące rozwiązanie: sygnalizują problem związany z jej zdefiniowaniem, a następnie tłumaczą, jakie znaczenie przypisują jej w swej konkretnej pracy, wskazując literaturę, na której się opierają. Przeważa stanowisko, że jest to obszar leżący gdzieś między trzema morzami: Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, przy czym nie ma zgody, jaki jest dokładnie przebieg granic. Czy granice Europy Środkowej biegną wzdłuż

granic państwowych, krain geograficznych czy historycznych? Czy opierają się na czynnikach obiektywnych, czy na komponencie subiektywnym (idei, wartości, doświadczeń, czynnika intelektualnego), który nadaje im sens? Takie pytania wciąż są tematem badań.

Czy można badać? Po co badać?

Przy badaniach nad definicją Europy Środkowej spotykam się z kwestionowaniem możliwości, zasadności i sensu podejmowania takiego zadania. Pojawia się też pytanie o „prawo” do podejmowania prac nad aktualną definicją pojęcia, skoro w literaturze zostało szeroko opisane. W różnych środowiskach – akademickich, dyplomatycznych, biznesowych – można się też spotkać z pewną podejrzliwością, czy badaniami nad znaczeniem terminu Europa Środkowa nie towarzyszy jakaś ukryta agenda polityczna. Jeden z rozmówców tłumaczył, że powinniśmy być elastyczni i konstruktywni w użyciu tego terminu, że należy unikać debat na temat geografii politycznej, inny zwracał uwagę, że potrzeba ostrożności przy stosowaniu etykiet geograficznych, zwłaszcza że wiele z nich było używanych i nadużywanych.

Przypisanie grupie państw przynależności do Europy Środkowej lub do Europy o innej nazwie wywołuje określony ciąg skojarzeń i niesie implikacje, oddziałując na ich tożsamość, postrzeganie, kategoryzację, a przez to na pozycję i rolę międzynarodową. Mając świadomość związanych z tym wyzwań, zwracam uwagę, że język naukowy wymaga precyzji wypowiedzi i właśnie definicje są narzędziem, które chronią wypowiedzi przed wieloznacznością i umożliwiają precyzyjną komunikację. A rozwoju komunikacji, we wszystkich wymiarach, bardzo nam potrzeba.

Poziom komplikacji podnosi odmienne znaczenie Europy Środkowej w różnych językach, ale to zasługuje na osobny tekst. Ciekawy problem pojawia się przy tłumaczeniach terminu Europa Środkowo-Wschodnia, powszechnie tłumaczonego na język angielski jako Central and Eastern Europe, ze słowem „and”, co zmienia sens. Przykład ten dobrze ilustruje *Słownik biograficzny Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku*

pod red. W. Roszkowskiego i J. Kofmana wydany w ISP PAN, a w wersji anglojęzycznej wydany w Routledge właśnie pod tytułem *Biographical Dictionary of Central and Eastern Europe in the Twentieth Century*. Osobna kwestia przy definicji Europy Środkowej to pytanie, co oznacza „Europa”, a także czym jest „środek” – w szczególności czy środek może mieć kształt pasa ograniczonego z dwóch stron (wschód – zachód), czy stanowić musi krąg wśród większej całości.

W odpowiedzi na postawione przez Redakcję pytania, „Co musiałyby się stać, by Europa Środkowa mogła się wydobyć z pozycji peryferyjnej? Czy pogranicze to zawsze podrzędność?”, chcę zwrócić uwagę, że pojęcie „środku” oznacza samo w sobie, że nie jest to obszar peryferyjny. Zmienia się punkt odniesienia, zmienia się perspektywa i to, co było peryferiami, może stać się centrum przy zmianie spojrzenia. Środek, centrum, peryferie, w nauce o stosunkach międzynarodowych to pojęcie względne, zależne od punktu odniesienia.

Europa Środkowa: etapy kształtowania znaczenia w dyskursie akademickim

Badając znaczenie pojęcia Europy Środkowej na podstawie literatury naukowej, wyróżniłam cztery etapy kształtowania jego znaczenia w dyskursie akademickim: przed 1989 r., w latach 1989–2004, w latach 2004–2014 oraz od 2015 r.

„**Socjalistyczne państwa europejskie**” (przed 1989). W latach zimnej wojny, gdy żelazna kurtyna oddzielała Europę Wschodnią od Europy Zachodniej, w polskim dyskursie akademickim między Europą Wschodnią a Europą Zachodnią nie było miejsca dla Europy Środkowej wyodrębnionej jako odrębny podmiot w stosunkach międzynarodowych. Tę część Europy Wschodniej zaliczano do strefy radzieckiej dominacji, nazywano ją w polskim dyskursie akademickim mianem socjalistycznych państw europejskich. W literaturze anglosaskiej przeważało określenie *Soviet and East/Eastern European*, co podkreślało związek *East/Eastern Europe* ze Związkiem Radzieckim.

Strategiczne przebudzenie regionu: Europa Środkowo-Wschodnia, Europa Środkowa, Europa Środkowa i Wschodnia (1989–2004). Po 1989 r., wraz z końcem zimnej wojny i likwidacją żelaznej kurtyny dzielącej Europę na Zachodnią i Wschodnią, popularność zyskały nowe terminy: Europa Środkowo-Wschodnia, Europa Środkowa, Europa Środkowa i Wschodnia. Obszar Wschodu wyraźnie się kurczył, a liczna grupa państw pozostających przez kilka dekad pod dominacją ZSRR starała się odciąć od skojarzeń ze Wschodem, w pewnym sensie „uciec” ze Wschodu, czemu służyło podkreślanie ich „środkowoeuropejskości” i związków z Zachodem. W uzasadnieniu dla wyboru takiej a nie innej nazwy dominowały odwołania do historii, geografii, uwarunkowań politycznych, kulturowych, religijnych, społecznych i gospodarczych.

Dawna Europa Wschodnia została zdefragmentowana na kilka części. Każdy termin, który miał oznaczać jej część, niósł pewien zasób skojarzeń i ładunek emocjonalny. Zdaniem Radosława Zenderowskiego i Dušana Janáka „Europa Środkowa” miała wydźwięk pozytywny, „Europa Środkowo-Wschodnia” – neutralny, bardziej deskrypcyjny niż wartościujący, a „Europa Wschodnia” należała z różnych powodów do kategorii stygmatyzującej zaliczanej do niej podmiotów.

Zmiany zachodzące na poziomie systemu międzynarodowego znajdowały także odzwierciedlenie w nazwach instytucji akademickich w Polsce. Za przykład może służyć Instytut Krajów Socjalistycznych PAN, zastąpiony w 1990 roku przez Instytut Studiów Politycznych PAN. W jego skład wchodził Zakład Europy Środkowo-Wschodniej. Ta nazwa, wypracowa-

wana przez prof. Wojciecha Roszkowskiego i prof. Jana Kofmana, miała podkreślać, że Europa Środkowo-Wschodnia stanowiła jedną całość, a nie składała się z dwóch odrębnych podmiotów łączonych tylko spójnikiem „i”. W praktyce terminu Europa Środkowo-Wschodnia używano w dwóch znaczeniach: po pierwsze w rozumieniu wyżej wspomnianym, czyli obejmującym państwa między Niemcami a Rosją, a po drugie jako obszaru na wschód od Niemiec aż po Ural (czyli z częścią Rosji). Z terminem Europa Środkowo-Wschodnia wiązały się pytania o obszar, jaki obejmuje, a także czy stanowi jakiś wyodrębniony obszar u styku Europy Środkowej i Europy Wschodniej. A może obejmuje wschodnią część Europy Środkowej albo raczej środkową część Europy Zachodniej? Jeśli rozumiemy przez Europę Środkowo-Wschodnią środkową część Europy Wschodniej, to gdzie leżą pozostałe części tak podzielonej Europy? Jeśli zaś Europa Środkowo-Wschodnia obejmuje wschodnią część Europy Środkowej, to gdzie leży Europa Środkowo-Zachodnia? A czy tak sfragmentaryzowana Europa Środkowa ma wyodrębnioną część południową i północną?

East of the West? Europa Środkowa jako część Europy Zachodniej? (2004–2014). Poszerzenie UE i NATO przyniosły nowy rozdział dyskusji wraz z przesunięciem granic Zachodu na wschód. Dwa lata po przyjęciu do NATO Polski, Węgier i Czech, w 2001 r., J. Stańczyk (z Zakładu EŚW ISP PAN) pisał, że proces zmian zapoczątkowany w 1989 r. dał podstawy do likwidacji dychotomicznego, politycznego podziału Europy na Zachodnią i Wschodnią, bo pojawiły się „podstawy do nowych rozważań nad tożsamością coraz bardziej uwidaczniającego się regionu Europy Środkowej (wraz z przejściowym formułowaniem terminu Europa Środkowo-Zachodnia)”.

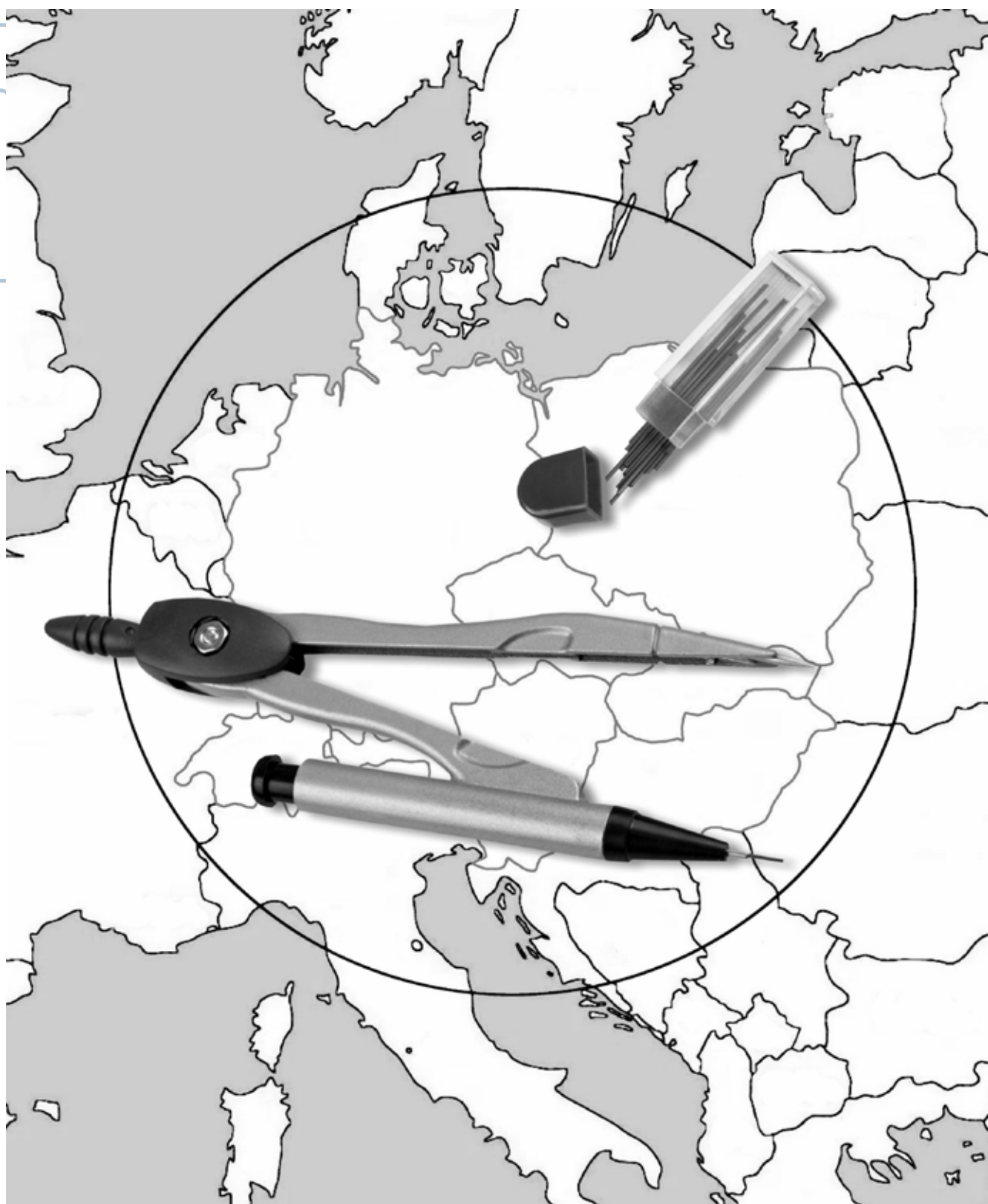
Po 2004 r., gdy duża grupa państw przechodzących transformację znalazła się w UE, pojawiały się pytania: Czy Europa Środkowo-Wschodnia podzieliła się na Środkową i Wschodnią? Czy Europa Środkowo-Wschodnia nadal istnieje? A może zintegrowała się z Europą Zachodnią? Czy należy mówić o Europie Środkowo-Zachodniej? Czy Europa Środkowo-Wschodnia stanie się częścią Europy Zachodniej, gdy tylko osiągnie odpowiedni poziom rozwoju gospodarczego? W dyskursie akademickim w Polsce w odniesieniu do państw „pomiędzy” Niemcami a Rosją popularnością cieszyły się w dalszym ciągu terminy: „Europa Środkowo-Wschodnia” oraz „Europa Środkowa i Wschodnia”. Pisano też o „Europie Środkowej”, ale w węższym znaczeniu, w szczególności w odniesieniu do Grupy Wyszehradzkiej. Pewną popularność zyskał też termin „nowa Europa” oznaczający kraje, które wstąpiły do UE w 2004 r. (Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, Czechy, Słowację, Węgry, Słowenię, a także Cypr i Maltę) lub później (1 stycznia 2007 r. Rumunię i Bułgarię). Używany był też termin „nowa Europa wschodnia”, zawarty w tytule wydawanego od 2008 r. przez Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”.

Po kilku dekadach, które upłynęły od czasu rozszerzenia UE i NATO, stało się jasne, że nie zlikwidowano głębokich podziałów między wschodnią a zachodnią częścią Europy. Formalnie wszystkie państwa miały równy pod względem prawnym status członków NATO i UE, jednak pod wieloma względami te z „nowej Europy” były postrzegane przez swoich zachodnich partnerów nie jako integralna część Zachodu, ale raczej jakaś specyficzna, odmienna jego część.

Ku Europie Środkowej (po 2015 r.). Ważny impuls do dyskusji nad redefinicją regionu przyniosła zmiana architektury bezpieczeństwa w Europie. Cezurę stanowi rok 2014, kiedy to

Rosja z pogwałceniem prawa międzynarodowego anektowała Krym należący do Ukrainy. Zmianom na poziomie układu sił towarzyszył dynamiczny rozwój regionalnych form współpracy, zauważalny od 2014 roku. W popularyzacji nazwy „Europa Środkowa” udział miała Inicjatywa Środkowoeuropejska (CEI), powstała na bazie współpracy regionalnej zapoczątkowanej w 1989 r. w odpowiedzi na zmiany związane z końcem zimnej wojny. Inne, węższe znaczenie „Europy Środkowej” weszło do dyskursu akademickiego za sprawą Grupy Wyszehradzkiej,

która bywała wręcz traktowana jako synonim „Europy Środkowej”. Grupa (funkcjonująca początkowo jako Trójkąt Wyszehradzki) w 2015 r. zdynamizowała swoją aktywność w obliczu wyzwań związanych z falą migracji i rozpoczęła nowy etap działalności. W listopadzie 2015 r. z inicjatywy prezydentów Polski i Rumunii powołano tzw. Bukaresztańską Dziewiątkę (B9), służącą zacieśnieniu relacji w ramach NATO pomiędzy państwami jego wschodniej flanki (Polską, Rumunią, Estonią, Litwą, Łotwą, Słowacją, Czechami, Węgrami i Bułgarią). W tym



Rys. Sławomir Makal

samym roku pojawił się pomysł utworzenia Inicjatywy Trójmorza, która powstała dzięki staraniom prezydentów Polski i Chorwacji. Łączy obecnie trzynastę państw UE i jako ugrupowanie wewnątrzunijne skupia się głównie na rozwoju współpracy w sferze infrastruktury transportowej, energetycznej i komunikacji cyfrowej.

Inicjatywa Trójmorza stała się okazją do rozpoczęcia kolejnego etapu dyskusji o wyodrębnianiu się Europy Środkowej na fundamencie Europy Środkowo-Wschodniej. Początkowo w literaturze naukowej część autorów o Inicjatywie Trójmorza pisała jako o Europie Środkowo-Wschodniej, część o Europie Środkowej, część wybierała inne określenia; obecnie często występuje określenie „Europa Środkowa”. Prof. K. Szczerski jako szef gabinetu w Kancelarii Prezydenta RP przekonywał, że „Inicjatywa Trójmorza to Europa Środkowa”, a jej granice biegną wzdłuż zachodnich granic UE. Jednak z wypowiedzi dyplomatów z różnych państw Inicjatywy Trójmorza wynikało, że niektórzy z rezerwą podchodzili do określenia obszaru Inicjatywy Trójmorza mianem Europy Środkowej lub innym terminem wskazującym konkretną część Europy. Podstawowymi dokumentami, na których opiera się Inicjatywa Trójmorza, są deklaracje przyjęte na corocznych szczytach prezydentów ukazujące, jak sami uczestnicy tej współpracy określają ten obszar. W deklaracji z Dubrownika (2016) trzykrotnie pojawił się termin „Europa Środkowa i Wschodnia”, podobny termin pojawił się w deklaracji z 2022 roku. W deklaracji z Warszawy z 2017 roku znalazło się sformułowanie o dwunastu państwach członkowskich UE położonych między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, które „stanowią dynamiczny region”. Wzmiankę o „regionie Inicjatywy Trójmorza” można spotkać w innych deklaracjach, także tej najnowszej, przyjętej w 2023 roku w Rumunii, gdzie nie padło określenie Europa Środkowa i Wschodnia.

Nazwy instytucji akademickich

Osobną kategorię materiału badawczego przynoszą nazwy instytucji akademickich, których zmiany odzwierciedlają szersze procesy. Skupiając się na ISP PAN, zwraca uwagę fakt, że w 2017 roku w wyniku zmian w strukturze organizacyjnej ISP PAN, zatwierdzonych 31.01.2017 r. przez prezesa PAN, nastąpiło połączenie Zakładu Europy Środkowo-Wschodniej i Zakładu Porównawczych Badań Postsowieckich, dając początek nowemu Zakładowi Europy Środkowo-Wschodniej i Badań Postsowieckich (EŚWiBP). W sierpniu 2022 roku do Dyrekcji ISP PAN trafiło podanie ówczesnego kierownika zakładu o zmianę nazwy Zakładu EŚWiBP na Zakład Europy Środkowej. Uzasadnieniem była nieadekwatność nazwy zakładu do znaczenia podanych w nazwie terminów. Nazwa pozostała jednak niezmienną i do dziś jest to Zakład EŚWiBP.

Europa Środkowa w tytułach publikacji naukowych

Warto zauważyć, że w latach 1990–2022 w wydawnictwie ISP PAN ukazało się kilkadziesiąt monografii, artykułów i kilka czasopism, w tytułach których używane są terminy: Europa Środkowo-Wschodnia, Europa Środkowa, Central-East Europe, East Central Europe, New Europe.

Europa Środkowa: wyniki badania ankietowego

Interesujące wyniki przyniosło badanie ankietowe przeprowadzone wśród pracowników ISP PAN. Na pierwsze pytanie, które brzmiało: Czy istnieje region Europa Środkowa, 78,6% respondentów udzieliło pozytywnej odpowiedzi. Odpowiedzi na kolejne pytania o to, co to jest Europa Środkowa i jaki obszar obejmuje, ukazywały duże różnicowane podejścia badaczy do tego zagadnienia. Odpowiedzi na pytanie o czynniki, jakie są decydujące dla wyróżnienia Europy Środkowej wskazywały na

trzy kluczowe aspekty: historyczne, kulturowe oraz polityczne, z uwzględnieniem lokalizacji geograficznej. Ponadto wśród czynników decydujących o wyróżnieniu regionu wskazano na rozpowszechnione przekonanie, że Europa Środkowa istnieje, nawet jeśli różnie definiowana. Te wstępne wyniki badania ankietowego pokazują rozmiar wciąż istniejącego problemu badawczego.

Jakie badania są najpilniejsze ze względu na rosyjski marsz na Zachód?

W obliczu realnego zagrożenia ze strony Rosji do najważniejszego obszaru zaliczę badania nad dezinformacją. Przykładowo Inicjatywa Trójmorza stała się obiektem ataków dezinformacyjnych, wkrótce ukaże się o tym świetny artykuł Julii Dobrowolskiej, który mogłam przeczytać w wersji roboczej. (Taki przypadek monitoruje, identyfikuje i dokumentuje EUvsDisinfo <https://euvsdisinfo.eu/pl/?s=three%20seas%20&type=database>). Warto przyjrzeć się temu, jaki jest stan współpracy akademickiej w Europie Środkowej. Zaskoczyło mnie, powiem szczerze, że systemowa współpraca akademicka i naukowa w obszarze stosunków międzynarodowych i nauk o polityce w zasadzie nie istnieje. Można zauważyć aktywność poszczególnych naukowców, wymiany grup studentów, ale nie ma to charakteru systemowej współpracy. Nie waham się powiedzieć, że za mało o sobie wiemy, za mało jest współpracy naukowej, która mogłaby ułatwiać komunikację i rozumienie się wzajemne. Wizyty studyjne, seminaria, konferencje prowadzone w ramach Centrum Badawczego Inicjatywy Trójmorza (projektu realizowanego w ISP PAN) ukazują, że jest potencjał do współpracy, ale ten potencjał jest niewykorzystany. Projekt, którym kieruję, zakończy się za kilka miesięcy i nie będzie kontynuowany. A warto działać dalej, bo rozwój współpracy naukowej i wiedzy naukowej niesie wielką wartość.

Podsumowując, Inicjatywa Trójmorza wpłynęła na redefinicję pojęcia Europy Środkowej, stanowiąc impuls do zmiany postrzegania i definiowania Europy Środkowej. Za sprawą tej formy współpracy mocniej wyodrębniona została różnica między Europą Środkową a Europą Wschodnią, natomiast pojęcie Europy Środkowo-Wschodniej stało się rzadziej używane. Ponadto do dyskursu weszły terminy region Trójmorza i region Inicjatywy Trójmorza. Próba znalezienia wspólnego określenia dla tego obszaru dotyka wrażliwych kwestii, a ramy dyskusji z jednej strony wyznacza akceptacja terminu Europa Środkowa lub innych sformułowań, do zanegowania potrzeby szukania wspólnego określenia. Agresja Rosji na Ukrainę z 2022 roku zmieniła pojęcie Europy Środkowej. Obecność wojsk rosyjskich stała się istotnym elementem oddzielającym bezpieczną Europę Środkową od Europy Wschodniej, od Wschodu kojarzonego z realnym zagrożeniem, brutalnymi, dramatycznymi obrazami wojny. Europa Środkowa, stanowiąca część NATO i UE, jest postrzegana jako obszar bezpieczny. Obecnie obserwujemy rosnącą popularność terminu Europa Środkowa, zwłaszcza w odniesieniu do Inicjatywy Trójmorza.

Niniejszy artykuł powstał na podstawie moich wcześniejszych prac i zawiera fragmenty: A. Orzelska-Stączek, *Od Europy Środkowo-Wschodniej ku Europie Środkowej: nazwa regionu w polskim dyskursie akademickim*, opublikowanego w: *Wschód Zachodu? Szukając tożsamości Europy Środkowej. Księga Jubileuszowa z okazji 50. rocznicy pracy naukowej oraz 75. urodzin prof. dr. hab. Wojciecha Roszkowskiego*, red. A. Orzelska-Stączek, ISP PAN, Warszawa 2022.

Dr hab. Agnieszka Orzelska-Stączek, prof. ISP PAN, kierownik projektu pt. Centrum Badawcze Inicjatywy Trójmorza przy Instytucie Studiów Politycznych PAN

Granice i znaczenie regionu

Europa Środkowa w perspektywie historycznej i współczesnej

Podejmując się badań i refleksji nad Europą Środkową, należy mieć na uwadze wszystkie okoliczności i uwarunkowania, i rozpatrywać ten region wielopłaszczyznowo, jako formację geograficzną, historyczną, kulturową, polityczną i geopolityczną.

Podział Europy na regiony jest historycznie zjawiskiem stosunkowo niedawnym, którego genezę można datować na koniec XVIII w. Był konsekwencją dynamicznego rozwoju różnych dyscyplin naukowych: geografii, historii, a w okresie późniejszym (od drugiej połowy XIX w.) również nauk politycznych. Zasadniczo można wyróżnić podziały Europy na obszary: zachodni, centralny i wschodni, a także południowy i północny. Jednak najpowszechniej stosowanym podziałem, zwłaszcza w naukach historycznych i politycznych, jest podział Starego Kontynentu (rozumianego jako geograficzny obszar od Atlantyku do Uralu) na trzy regiony: Europę Zachodnią, Europę Środkową i Europę Wschodnią. Klasyfikacje te jednak nie są sztywne i często nakładają się na siebie. Wynika to z różnych kontekstów i kryteriów definiowania poszczególnych regionów: geograficznego, historycznego, kulturowego, politycznego i geopolitycznego. Regionem prezentowanym w niniejszym artykule jest Europa Środkowa lub Środkowo-Wschodnia. Starając się zgłębić zagadnienie, warto zwrócić uwagę na opracowania naukowe takich autorów jak m.in. Oskar Halecki, Jenő Szűcs, Piotr Eberhardt czy Wojciech Roszkowski.

Jako region Europa Środkowa zaczęła być charakteryzowana od połowy XIX w. (od Wiosny Ludów), gdy obiektem pogłębionych analiz i studiów politycznych stała się monarchia habsburska. Kryzys wielonarodowego Cesarstwa Austriackiego, powstanie węgierskie (1848-1849), przegrana wojna z Prusami i powołanie Austro-Węgier (1867), ruch wszechsłowiański i rozwój nowoczesnej świadomości narodowej wśród słowiańskich narodów imperium Habsburgów zmuszały do spojrzenia na tę część Europy jako na odrębny region, w którym zachodzą pewne wspólne procesy historyczne i polityczne, wyróżniające się regionalną specyfiką na tle pozostałych obszarów Starego Kontynentu. Znaczenie regionu stopniowo rosło: po zjednoczeniu Niemiec przez Prusy, które ponadto wygrały wojnę z Francją (1871); po kongresie berlińskim (1878), gdy Cesarstwo Nie-

mieckie stało się pierwszą potęgą kontynentalną Europy i po słynnym odwróceniu sojuszy – sprzymierzeniu się Francji z Rosją (1892). Oczywiście większość zamieszkujących region narodów (wówczas zależnych od lokalnych mocarstw) nie była podmiotem, a przedmiotem różnych koncepcji z zakresu geografii politycznej i geopolityki powstających przede wszystkim w Niemczech. W Berlinie bardzo obawiano się sojuszu francusko-rosyjskiego, twierdzono, że Niemcy znalazły się w geopolitycznych „kleszczach”.

W tych okolicznościach aż do I wojny światowej (1914-1918) zaczęła kształtować się w różnych wariantach doktryna Mitteleuropy, wpisująca się w koncepcje pangermańskie i zakładająca podporządkowanie (lecz nie aneksję) Europy Środkowej Cesarstwu Niemieckiemu. W ten sposób Niemcy uzyskiwałyby zarówno zasoby niezbędne do przeciwstawienia się tandemu Francji i Rosji, jak i głębię strategiczno-operacyjną (geopolityczny Lebensraum) na wypadek wojny z koalicją francusko-rosyjską. Najbardziej znaną wersję tej koncepcji stanowi ta z 1915 r. autorstwa Friedricha Naumanna. Korzystny dla Niemiec przebieg działań wojennych na froncie wschodnim powodował, że projektowano dominację imperium niemieckiego również na obszarach wychodzących poza areal środkowoeuropejski: od Finlandii przez rosyjskie gubernie bałtyckie, Białoruś, Ukrainę po region Kaukazu. Na tych terenach planowano powołanie szeregu marionetkowych państw zależnych od Berlina. W tej nowej konfiguracji geopolitycznej okrojona na zachodzie Rosja zostałaby odcięta od Morza Czarnego, a nad Bałtykiem pozostawiono by jej jedynie tereny w pobliżu Petersburga (Piotrogradu).

Na uwagę zasługuje koncepcja szwedzkiego politologa z przełomu XIX i XX w., Rudolfa Kjelléna, twórcy terminu ‘geopolityka’. Działał on w Berlinie i występował jako rzecznik potęgi Niemiec i konieczności opanowania przez nie Europy Środkowej: szerokiego pasa wyznaczonego przez linie południkowe Gdańsk-Triest (na zachodzie) i Archangielsk-Azow (na

wschodzie). Kjellén stawiał przed Niemcami zadanie obrony cywilizacji europejskiej zagrożonej – w jego przekonaniu – przez Rosję, od której Europę powinien oddzielać wielki bufor środkowoeuropejski, nazywany przez Kjelléna „strefą krytyczną”. Według szwedzkiego politologa tylko całkowite panowanie Niemiec nad obszarem „strefy krytycznej” było w stanie zapewnić Europie i jej cywilizacji bezpieczeństwo. Kjellén twierdził, że w tym celu Niemcy nie powinny rozpraszać swojego potencjału na ekspansję globalną (Weltpolitik), a skoncentrować się na opanowaniu terenów na wschodzie. W jego opinii I wojna światowa, w której po stronie Francji i Rosji wystąpiły inne mocarstwa: Wielka Brytania, Japonia, a później Włochy i Stany Zjednoczone (jedynie słabe imperium tureckie stało po stronie państw centralnych), niosła dla Niemiec ryzyko katastrofy, co też nastąpiło. Kjellén ostro krytykował traktat wersalski i jego postanowienia, uznając je za zapowiedź przyszłej niedalekiej wojny.

Po I wojnie światowej i konwencji systemu wersalskiego region środkowoeuropejski, a ściślej kraje czy następnie państwa go tworzące, uzyskał podmiotowość prawnomiędzynarodową, kwestionowaną jednak przez powiązane później taktycznym sojuszem nazistowskie hitlerowskie Niemcy i komunistyczny stalinowski Związek Radziecki. Rewizjonizm Berlina i Moskwy stał się główną przyczyną wybuchu II wojny światowej (1939-1945) i zwrócenia się obu totalitarnych mocarstw przeciwko sobie. Pomyślny dla ZSRR przebieg działań wojennych przeobraził go w supermocarstwo i pozwolił mu ustanowić na terenie Europy Środkowej własną rozległą strefę wpływów (blok socjalistyczny), w której niesuwerenne, choć formalnie niepodległe państwa środkowoeuropejskie funkcjonowały jako satelity Moskwy. Jednak nie wszystkie kraje regionu spotkał podobny los. Państwa bałtyckie zostały inkorporowane do Związku Radzieckiego, a Jugosławia i Albania (jakkolwiek ta ostatnia, podobnie jak Grecja, nie jest historyczną częścią Europy Środkowej) zdołały zachować niezależność.

Rozpad i upadek imperium radzieckiego oraz bankructwo konstytuującej je ideologii komunistycznej w 1991 r. uwolniły państwa regionu z satelickiej zależności od Moskwy. Zainicjowane wówczas w nich procesy demokratyzacyjne i westerinizacyjne zaprowadziły je w ciągu kilkunastu lat do pełnego członkostwa w strukturach euroatlantyckich: Sojuszu Północnoatlantyckim (NATO) oraz Unii Europejskiej.

W ujęciu historycznym region środkowoeuropejski obejmuje równoleżnikowo obszar od Łaby po Dniepr i Dźwinę, a południkowo od południowych wybrzeży Bałtyku po państwa południowosłowiańskie położone na Bałkanach, na wybrzeżach Adriatyku i Morza Czarnego. Współcześnie do historycznej i kulturowo rozumianego regionu Europy Środkowej można zaliczyć Polskę, Czechy, Węgry, Słowację, Litwę, Łotwę, Estonię, Rumunię, Bułgarię, Słowenię, Chorwację, Serbię, Czarnogórę, Bośnię i Hercegowinę oraz Macedonię Północną. Od tych państw geopolitycznie różni się Serbia, która zmaga się tożsamościowo ze skutkami krwawego rozpadu zdominowanej przez Serbów Jugosławii w latach 90. XX w. i utrzymuje sojusznicze relacje z Rosją. Ponadto Belgrad nie pogodził się z utratą swoich południowych terenów, gdzie powstało kolejne państwo bałkańskie – zdominowane przez Albańczyków Kosowo. Skomplikowana i trudna sytuacja panuje w Bośni i Hercegowinie, będącej w istocie państwem trójnarodowym, złożonym z Boszniaków (narodu tytularnego), Serbów oraz Chorwatów.

Obecnie w geopolitycznym sensie używa się też pojęcia Europa Środkowo-Wschodnia, które dodatkowo obejmuje takie państwa jak: Ukraina, Białoruś i Mołdawia (stanowiąca przed II wojną światową część Rumunii). Należy jednak podkreślić, że pojęcie Europy Środkowej, a tym bardziej Europy Środkowo-

-Wschodniej, nie wszędzie jest w sensie geograficznym jednolicie rozumiane i definiowane. Przykładowo w Stanach Zjednoczonych region ten nazywany był Europą Wschodnią, a pojęcie Europy Centralnej odnosiło do Niemiec, Szwajcarii i Austrii. Dopiero od niedawna następuje tam implementacja takiego rozumienia regionu, jak jest on pojmowany w państwach, które do niego należą. Z kolei w Niemczech za Europę Środkową geograficznie uważano Niemcy (z dawnymi Prusami Wschodnimi – obecnym Obwodem Królewieckim vel Kaliningradzkim), tereny dawnych Austro-Węgier (lecz bez Bośni i Hercegowiny, zaliczanej do obszaru Europy Południowo-Wschodniej lub Bałkanów) i kraje bałtyckie. Podejmując się badań i refleksji nad Europą Środkową, należy mieć na uwadze wszystkie powyższe okoliczności i uwarunkowania, i rozpatrywać ten region wielopłaszczyznowo, jako formację geograficzną, historyczną, kulturową, polityczną i geopolityczną.

Specyfika historyczna regionu

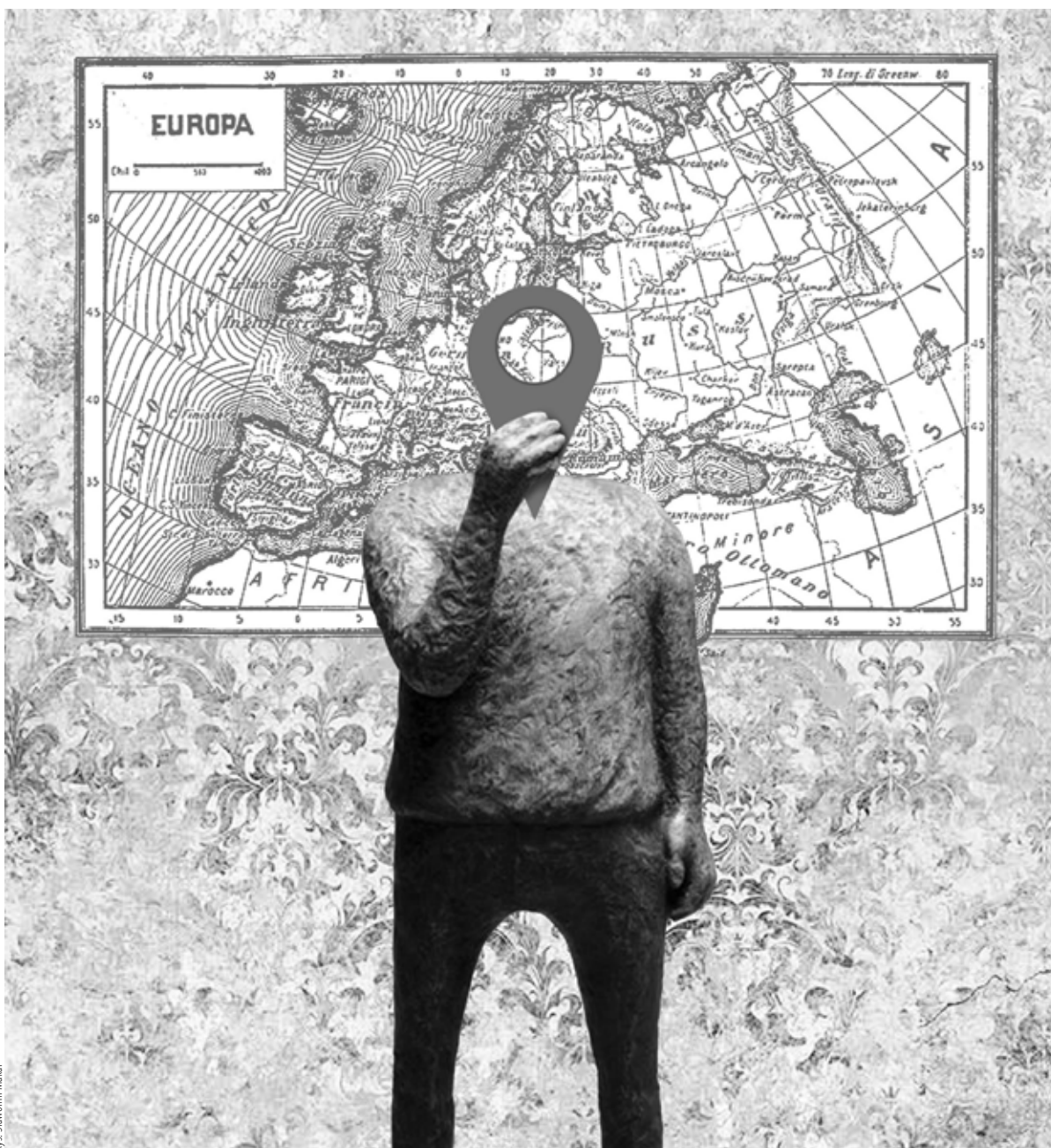
Region Europy Środkowej w swoich początkach, w momencie powstawania państw chrześcijańskich (IX-X w.) stanowił peryferie obszaru cywilizacji łacińskiej (katolickiej), na który docierały także wpływy bizantyńskie (prawosławne), a w przyszłości (od drugiej połowy XIV w.) także tureckie (islamskie). W tamtych czasach nie istniały żadne regionalne wyodrębnienia poszczególnych części Starego Kontynentu, jednak tereny, które w XIX w. zaczęto nazywać Europą Środkową, istotnie różniły się od innych regionów europejskich. Miały swoją osobliwą specyfikę etniczną (głównie słowiańską, ale też węgierską, rumuńską i bałtycką komponent etniczny), polityczną (słaba władza centralna, silna pozycja możnowładztwa – późniejszej szlachty), specyfikę kulturową (symbiotyczna wielokulturowość, współistnienie wielu religii), społeczną (liczna w porównaniu z obszarem zachodnioeuropejskim arystokracja, niemal nieograniczona władza stanu szlacheckiego nad ludnością chłopską) i specyfikę ekonomiczną (dominacja produkcji rolnej: uprawa zbóż i hodowla zwierząt gospodarskich).

W pierwszych wiekach swojej historii państwa środkowoeuropejskie walczyły i rywalizowały ze sobą. Początkowo najpotężniejszym ośrodkiem politycznym regionu były Węgry (do połowy XIII w.), następnie Czechy (do drugiej połowy XV w.), a później Polska (do końca XVII w.). Obok walk między sobą państwa regionu musiały też w różnych okresach stawiać czoło ekspansji wychodzącej z innych regionów: z Niemiec (Brandenburgii, niemieckich państw zakonnych, Austrii, Prus), Skandynawii (Danii, Szwecji), Bizancjum, Turcji, Rosji. Z czasem mocarstwa ościenne – Austria, Turcja, Rosja, Prusy (każde w sferze swojego sąsiedztwa) – zdołały podbić wszystkie kraje środkowoeuropejskie. Ostatnie niepodległe, w zasadzie słowiańskie, państwo regionu – Polska (polsko-litewska Rzeczpospolita), przestało istnieć pod koniec XVIII w. W początkach XIX w., w okresie wojen napoleońskich, Europa Środkowa znalazła się przejściowo w orbicie dominujących wpływów francuskich aż do momentu klęski Francji w 1815 r. W drugiej połowie XIX w., w konsekwencji słabnięcia Turcji i rozwoju nowoczesnej świadomości narodowej wśród narodów środkowoeuropejskich, niepodległość zaczęły uzyskiwać wspierane przez Rosję narody bałkańskie: Czarnogórcy, Serbowie, Rumuni, Bułgarzy. Własne koncepcje i wizje Europy Środkowej mieli również Rosjanie w ramach swojego projektu panslawistycznego (federacyjnego), a później neoslawistycznego (konfederacyjnego), będącego odpowiedzią na wspomnianą wyżej niemiecką doktrynę Mitteleuropy. Jednak upadek caratu w lutym 1917 r., rewolucja bolszewicka (październikowa) i wyjście Rosji z wojny w marcu 1918 r. udaremniły te plany.

Po I wojnie światowej, w ramach systemu wersalskiego, w Europie Środkowej odrodziły się lub też powstały nowe państwa: Polska, Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Estonia. Wydawało się, że po kilkuset latach region Europy Środkowej uzyskiwał podmiotowość geopolityczną, przestając być przedmiotem gry wielkich mocarstw, gdyż trzy cesarstwa – austro-węgierskie, niemieckie i rosyjskie – upadły. Jednak nowe Niemcy i bolszewicka Rosja (a następnie ZSRR) nie akceptowały ładu wersalskiego. Wobec niemieckiego i radzieckiego rewizjonizmu największe i najsilniejsze z tych państw, Polska, próbowało w ramach powstrzymania Berlina i Moskwy poszukiwać sojuszników regionalnych i pozaregionalnych (państwa skandynawskie, Grecja, Turcja, Włochy), z którymi można byłoby realizować polską koncepcję Międzymorza (Intermarium). W wariacie maksymalistycznym powstałby połączony sojuszem politycznym i wojskowym obszar między morzami Bałtyckim, Adriatyckim, Czarnym, Egejskim, Śródziemnym, Północnym i Norweskim oraz oceanami Atlantyckim i Arktycznym, a w wersji bardziej okrojonej (i bardziej realistycznej) między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym. W takim

układzie geopolitycznym Niemcy i ZSRR oddzielałby zintegrowany na bazie wspólnoty interesów pas państw środkowoeuropejskich. Jednak nawet ten „minimalistyczny” (trójmorski) projekt nie mógł zostać zrealizowany z powodu licznych antagonizmów i zamrożonych konfliktów pomiędzy państwami regionu.

Plany utworzenia silnego bloku państw środkowoeuropejskich zdolnego do powstrzymania ekspansji Niemiec i Rosji/ZSRR cieszyły się poparciem najwybitniejszego spośród klasyków geopolityki, brytyjskiego geografa i polityka Halforda Johna Mackindera. Stał on na stanowisku, że zdominowanie regionu środkowoeuropejskiego przez którekolwiek z tych mocarstw przekształci je w supermocarstwo, na co Wielka Brytania, dbająca o równowagę sił (balance of power) w Europie kontynentalnej, nie może pozwolić. Jednak poszczególne rządy brytyjskie niezbyt przejmowały się geopolitycznymi koncepcjami Mackindera, ponieważ wymagałoby to zaangażowania od Londynu znacznych dodatkowych zasobów. Wielka Brytania postępowała wręcz odwrotnie – jej działania osłabiały międzynarodową pozycję państw środkowoeuropejskich. Widoczne to było w torpedowaniu w latach 20. XX w. przez Brytyjczy-



rys. Sławomir Makal

ków francuskich projektów politycznego wzmocnienia Europy Środkowej i oskrzydlenia Niemiec na wschodzie siecią sojuszników Paryża, co stanowiło praktykowany już wcześniej nad Sekwaną manewr geopolityczny. Londyn obawiał się wzrostu pozycji i znaczenia Francji w systemie międzynarodowym, wobec czego podejmował kroki na rzecz restytucji potęgi Niemiec – poprzez zmniejszenie obciążeń (w tym reparacji wojennych) wynikających z traktatu wersalskiego. W ten sposób Brytyjczycy realizowali swoją złotą zasadę w polityce zagranicznej – że „nie ma wiecznych przyjaciół, ani wiecznych wrogów, są tylko wieczne interesy”.

W konsekwencji Europa Środkowa nie była przygotowana zarówno na poziomie wewnętrznym, jak i międzynarodowym (również regionalnym) na wybuch II wojny światowej. Część państw regionu została opanowana i podzielona przez Niemcy lub przez Niemcy i ZSRR (Czechy, Polska, Jugosławia, Litwa, Łotwa i Estonia), a część sprzymierzyła się z III Rzeszą (Węgry, Rumunia i nowo utworzone Chorwacja oraz Słowacja). Ostatecznie ta niszczycielska na niespotykaną w dziejach skalę wojna w swoich następstwach przyniosła państwom środkowoeuropejskim, oprócz wielu ofiar i zniszczeń, ustrój komunistyczny i zależność większości z nich od Moskwy. Dopiero dezintegracja imperium radzieckiego w grudniu 1991 r. wykreowała nową rzeczywistość regionalną, stwarzając grunt pod nowe możliwości i formaty współpracy w regionie.

Znaczenie regionu

Rozpad ZSRR i upadek komunizmu w Europie umożliwiły krajom środkowoeuropejskim transformację systemową, demokratyzację, westernizację ich orientacji geopolitycznej, co pozwoliło w czasach większości z nich stać się członkami NATO i UE. Równoległe do procesów integracji europejskiej i euroatlantyckiej można było obserwować rozwój współpracy regionalnej: powołanie Grupy Wyszehradzkiej, Inicjatywy Środkowoeuropejskiej czy Rady Państw Morza Bałtyckiego (do której do momentu agresji na Ukrainę w lutym 2022 r. należała także Rosja). W latach 1999-2004 większość państw Europy Środkowej stała się członkami NATO, w okresie późniejszym dołączyły Chorwacja (2009), Czarnogóra (2017) i Macedonia Północna (2020). Natomiast członkostwo w Unii Europejskiej państwa regionu (w mniejszej liczbie niż w przypadku NATO) nabywały w latach 2004-2007; jako ostatnia dołączyła do tej struktury Chorwacja (2013).

Unia Europejska pod wieloma względami nie stanowi obszaru jednolitego. Poza oczywistymi różnicami etnicznymi, kulturowymi, w poziomie rozwoju i zamożności pomiędzy poszczególnymi państwami lub grupami państw występują też różnice interesów i poglądów na bezpieczeństwo czy kierunki i zakres integracji. W tym kontekście kraje środkowoeuropejskie w niektórych aspektach istotnie różnią się od zachodnioeuropejskich, dlatego też na szczeblu regionalnym podejmowane są wysiłki na rzecz uzgadniania interesów i mówienia wspólnym głosem na forum unijnym.

We wrześniu 2015 r. z inicjatywy Polski i Chorwacji została powołana Inicjatywa Trójmorza, do której początkowo przystąpiło 12 państw: Polska, Chorwacja, Czechy, Węgry, Słowacja, Rumunia, Bułgaria, Słowenia, Litwa, Łotwa, Estonia i Austria. We wrześniu 2023 r. do Trójmorza dołączyła Grecja, a Ukraina i Mołdawia uzyskały status państw stowarzyszonych. Państwami-obszernymi są Niemcy i Stany Zjednoczone. Szczególnie Waszyngton (wraz z Londynem) popiera ten projekt, ponieważ implikuje on potencjał geopolitycznej konsolidacji regionu w obliczu zagrożenia ze strony Rosji. USA mogą także przekształcić go w instrument politycznego nacisku na Niemcy, w sytuacji gdy polityka Niemiec będzie naruszać interesy ame-

rykańskie w Europie. Regionalna polityka Waszyngtonu w kontekście jego polityki wobec Rosji jest zgodna z żywotnymi interesami tych państw środkowoeuropejskich, które obawiają się rosyjskiego neoimperializmu, czyli większości z nich.

Inicjatywę Trójmorza można uznać za wielostronny format międzynarodowej współpracy regionalnej, będący inicjatywą gospodarczą i polityczną, i mający postać „nieformalnej platformy” służącej wspieraniu projektów infrastrukturalnych na obszarach państw członkowskich w sektorach transportowym, energetycznym i komunikacji cyfrowej. Potencjał Trójmorza jest znaczący: to prawie jedna trzecia obszaru i jedna czwarta populacji (ponad 120 mln ludności) Unii Europejskiej. Słabiej wypada na tle UE siła ekonomiczna (PKB) państw członkowskich formatu trójmorskiego, stanowiąc mniej niż 15% wartości gospodarki unijnej i mając mniejszą wartość niż gospodarka Francji (nie wspominając o gospodarce niemieckiej). Statystycznie należące do UE kraje środkowoeuropejskie rozwijają się szybciej niż kraje „starej unii”, nadrabiając zapóźnienie gospodarcze, jednak proces zbliżania się do poziomu najbardziej rozwiniętych państw unijnych będzie długotrwały.

Bardzo ważnym i z pewnością kluczowym aspektem znaczenia Europy Środkowej jest jej lokalizacja geograficzna oraz strategiczne położenie, przekształcające należące do Sojuszu Północnoatlantyckiego państwa regionu w tzw. wschodnią flankę NATO. Znaczenie to jeszcze bardziej wzrosło po pełnoskalowej konwencjonalnej agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. W tym kontekście rola Europy Środkowej jako elementu bezpieczeństwa europejskiego jest trudna do przecenienia. Państwa regionu wydatnie wsparły Ukrainę w odpięciu przez nią rosyjskiej napaści, dostarczając ogromne ilości uzbrojenia i pomocy humanitarnej. Jednak niektóre z krajów środkowoeuropejskich – Węgry i w ostatnim czasie Słowacja – są mocno sceptyczne co do dalszej pomocy dla Ukrainy, ale i przedwojenne relacje Budapesztu i Bratysławy z Kijowem nie należały do najcieplejszych.

Z dzisiejszej perspektywy trudno prognozować, jaka będzie przyszłość regionu. Wiele w tej kwestii zależy od rozstrzygnięć na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Być może nastąpi pogłębienie współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza i przekształcenie tego formatu w organizację międzynarodową. Zapewne część polskich elit pokłada w tym projekcie wielkie nadzieje, widząc w nim element integracji regionu na poziomie wspólnoty interesów, które obecnie w niektórych aspektach są bardzo rozbieżne. Większość państw-członków Trójmorza wydaje się traktować tę inicjatywę jako możliwość poszerzenia pola manewru w swojej polityce zagranicznej. Być może nieznana przyszłość napisze scenariusz, w którym zakres kooperacji regionalnej w ramach formatu trójmorskiego zostanie rozszerzony o sferę bezpieczeństwa i rozwinięty w formie bardziej ścisłej i intensywnej współpracy wojskowej. Jednak jakiegokolwiek formy współpracy lub integracji w ramach Inicjatywy Trójmorza nie mogą stanowić alternatywy dla struktur euroatlantyckich, co najwyżej będąc ich pełnowartościowym dopełnieniem. I pomimo że obecnie pojawia się coraz więcej problemów, sprzeczności i różnic zdań w stosunkach między krajami unijnymi, to w ogólnym dotychczasowym bilansie państwa Europy Środkowej mają najczęściej bardzo pozytywne doświadczenia związane z europejskimi procesami integracyjnymi, które przynoszą im wielowymiarowe, istotne korzyści. Pozostaje mieć nadzieję, że ten trend będzie kontynuowany i że w ten sam sposób będzie oddziaływała na państwa regionu również bliska kooperacja regionalna.

*Dr Konrad Świder,
adiunkt w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk*

Inicjatywa Trójmorza

Projekt współpracy regionalnej in statu nascendi

W dziedzinie infrastrukturalnej główną osią komunikacyjną dwunastu państw Inicjatywy ma być Via Carpatia. Szlak ten biegnie wzdłuż wschodniej granicy UE, przecinając trasy łączące Europę Zachodnią z Rosją. Via Carpatia ma usprawnić przejazdy drogowe od litewskiego portu Kłajpeda aż do greckich Salonik, łącząc Litwę, Polskę, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię i Grecję.

Inicjatywa Trójmorza (Three Seas Initiative, 3SI) stanowi stosunkowo młody format współpracy regionalnej w Europie Środkowej. Jest ona przykładem dyplomacji wielostronnej realizowanej przez głowy państw. Natomiast głównym celem działalności 3SI pozostaje rozwój infrastruktury energetycznej, transportowej i cyfrowej w regionie. W ostatnich latach zauważalne jest poszerzanie się zakresu podmiotowego i przedmiotowego współpracy trójmorskiej. Coraz większą rolę odgrywają rządy państw Inicjatywy, jednocześnie wzmacnia się komponent biznesowy, ekspercki i społeczny. Strategiczne znaczenie dla funkcjonowania 3SI mają także aktorzy zewnętrzni mający status obserwatora lub partnera uczestniczącego. Kierunek dalszej działalności Inicjatywy zaprezentowany zostanie na najbliższym szczycie w Wilnie w kwietniu 2024 r.

Czym jest Inicjatywa Trójmorza?

Inicjatywa Trójmorza została powołana do życia na szczycie w Dubrowniku w 2016 r. W jej skład wchodzi aktualnie 13 państw regionu, będących jednocześnie członkami Unii Europejskiej: Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Grecja, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia i Węgry. Jest to obszar posiadający istotny potencjał polityczny, demograficzny i gospodarczy. Inicjatorami powstania nowego formatu byli prezydent Chorwacji Kolinda Grabar-Kitarović oraz Prezydent RP Andrzej Duda. Od początku Polska jest głównym promotorem rozwoju współpracy trójmorskiej. 3SI, mimo że czasem jest łączona z ideą Międzymorza, różni się zasadniczo od koncepcji forsowanej przez polską dyplomację w okresie międzywojennym i od myśli politycznej opozycji antykomunistycznej. Celem formatu jest przede wszystkim współpraca gospodarcza na płaszczyznach: energetycznej, logistyczno-transportowej i cyfrowej w Europie Środkowej. 3SI jest wciąż projektem in statu nascendi, który w latach 2016-2024 ewoluował od działań koncepcyjnych w stronę aktywności implementacyjnej. Do przełomu w funkcjonowaniu Inicjatywy doszło na szczycie w Budapeszcie w 2018 r., kiedy zgłoszono listę projektów priorytetowych i ogłoszono chęć powołania do życia Funduszu Trójmorza. W tym okresie większe zain-

teresowanie projektem zaczęły wykazywać Komisja Europejska i Niemcy.

Geneza współpracy regionalnej w Europie Środkowej

Współpraca regionalna w Europie Środkowej ma długie i bogate tradycje. Jej początków można się dopatrywać w okresie pierwszej unii polsko-litewskiej, następnie zaś w czasie funkcjonowania bloku państw jagiellońskich na przełomie XV i XVI w., obejmujących Królestwo Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Królestwo Węgierskie i Królestwo Czeskie. W jej obrębie mieszczą się także inicjatywy polityczne podejmowane w kilkudziesięcioletnim okresie świetności Rzeczypospolitej Obojga Narodów, do których należy zaliczyć: polsko-szwedzką unię personalną, ekspansję w kierunku Dunaju i Morza Czarnego czy forsowane przez króla Władysława IV plany wojny z Imperium Osmańskim i oswobodzenia Bałkanów od władzy tureckiej. Do idei Polski jako państwa silnego, organizującego obszary dawnych monarchii jagiellońskich, powrócono w XX w. Jej najwybitniejszymi przedstawicielami byli m.in. Adolf Bocheński, który wyłożył swoją koncepcję w wydanej w 1937 r. książce pt. *Między Niemcami a Rosją*, oraz Józef Piłsudski, który podjął nieudaną polityczno-militarną próbę realizacji koncepcji Międzymorza zakładającej konsolidację państw Europy Środkowo-Wschodniej. Kilka ciekawych koncepcji zakładających federalizację tej części Europy powstało na emigracji w okresie II wojny światowej. W latach 1939-1943 prowadzone były przez rządy Władysława Sikorskiego i Edvarda Beneša rozmowy o powołaniu konfederacji polsko-czechosłowackiej. Idee powstania powojennej federacji środkowoeuropejskiej lansował również czechosłowacki polityk i dziennikarz Milan Hodža w swojej publikacji z 1942 r. pt. *Federation in Central Europe. Reflections and Reminiscences*. W okresie Polski komunistycznej koncepcja Międzymorza odradzała się w działalności niektórych organizacji opozycyjnych. Postulat przyszłej współpracy państw Europy Środkowo-Wschodniej znalazł się m.in. w *Deklaracji Ideowej Ruchu Młodej Polski* z 1979 r. oraz był obecny w myśli politycznej powstałej w tym samym roku Konfederacji Polski Niepodległej.

Po upadku komunizmu w Europie Środkowej zaczęły powstawać nowe formaty współpracy regionalnej. Najważniejszym z nich był powołany 15 lutego 1991 r. Trójkąt Wyszehradzki (po rozpadzie Czechosłowacji w 1993 r. Grupa Wyszehradzka, Visegrad Four, V4), którego zasadniczym celem od początku było pogłębianie współpracy pomiędzy Czechami, Polską, Słowacją i Węgrami. W pierwszych latach działalności format wyszehradzki przyczynił się także do integracji państw członkowskich z UE i NATO. W celu wzmocnienia komponentu społecznego powołano w 2000 r. Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki (International Visegrad Fund, IVF) z siedzibą w Bratysławie. W latach 2014-2015 doszło do agresji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę oraz największego w historii UE kryzysu migracyjnego. W tak turbulentnym środowisku międzynarodowym w Europie Środkowej nastąpiło pewne ożywienie w sferze współpracy regionalnej. W styczniu 2015 r. Austria, Czechy i Słowacja przyjęły deklarację sławkowską, dając początek Trójkątowi Sławkowskiemu (Slavkov Triangle), a w listopadzie 2015 r. z inicjatywy prezydentów Polski i Rumunii, powołana została Dziewiątka Bukaresztańska (Bucharest Nine, B9) służąca zacieśnieniu współpracy wojskowej w ramach NATO między dziewięcioma państwami wschodniej flanki Sojuszu (Polska, Rumunia, Estonia, Litwa, Łotwa, Słowacja, Czechy, Węgry i Bułgaria). Z kolei V4 zwiększyła w tamtym okresie swoją aktywność na scenie międzynarodowej, zajmując wspólne stanowisko wobec kryzysu migracyjnego.

Powstanie i rozwój Inicjatywy Trójmorza

Za autorów odnowionej koncepcji Międzymorza – Inicjatywy Trójmorza – uznaje się prezydentów Polski i Chorwacji, Andrzeja Dudę i Kolindę Grabar-Kitarović. Oboje objęli urząd głowy państwa w 2015 r., zwyciężając w wyborach jako kandydaci ugrupowań centroprawicowych. Prowadzili oni wstępne rozmowy o współpracy regionalnej w Krakowie oraz przy okazji 70. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku we wrześniu 2015 r. Formalnie 3SI została jednak zainaugurowana na Pierwszym Szczycie Inicjatywy Trójmorza w dniach 25-26 sierpnia 2016 r. w Dubrowniku w Chorwacji. Podczas forum pt. *Strengthening Europe: Connecting North and South*, 25 sierpnia, przyjęto tam *Wspólną deklarację w sprawie Inicjatywy Trójmorza* (potocznie zwaną deklaracją z Dubrownika). W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele 12 państw-założycieli 3SI (Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia i Węgry). Dyplomatyczną rangę szczytu w Dubrowniku podnosiła obecność przedstawicieli USA, Chińskiej Republiki Ludowej oraz Turcji. Jednocześnie zabrakło przedstawicieli UE, Niemiec i Francji. W deklaracji z Dubrownika 3SI została zdefiniowana jako „nieformalna platforma” współpracy regionalnej. W dokumencie założycielskim nie wspomniano o powołaniu formalnych struktur, wyróżniono natomiast dwa główne cele Inicjatywy: dążenie do rozwoju współpracy gospodarczej oraz wzmocnienie UE jako całości.

Od 2016 r. coroczne szczyty głów państw wyznaczają kierunki działalności i rozwoju 3SI. Po Dubrowniku kolejne spotkanie odbyło się w 2017 r. w Warszawie, z udziałem prezydenta USA Donalda Trumpa. Jego przyjazd świadczył o poparciu strony amerykańskiej dla Inicjatywy Trójmorza i zmieniał rangę tego regionalnego projektu. Jednocześnie ze względów politycznych zawężono wtedy formułę szczytów 3SI i nie zaproszono przedstawicieli ChRL i Turcji. Pokłosem warszawskiego spotkania było także zorganizowane w lecie 2018 r. Forum Regionów Trójmorza (dotychczas odbyły się trzy edycje Forum w 2018, 2021 i 2022 r.). Przeliczone znaczenie dla funkcjonowania Inicjatywy miał szczyt w 2018 r. w Bukareszcie. W sto-

licy Rumunii poparcie dla 3SI wyraziły po raz pierwszy Komisja Europejska (KE) i Niemcy, podjęto tam również decyzję o powołaniu Funduszu Trójmorza (Three Seas Initiative Investment Fund, 3SIIF). Ponadto w Bukareszcie przyjęto listę projektów priorytetowych i równoległe do spotkania prezydentów zorganizowano pierwszą edycję Forum Biznesowego (3SI Business Forum). Wspomniany Fundusz zainaugurowany został w 2019 r. na szczycie w Lublanie. Podczas słoweńskiego szczytu dokonano również ewaluacji stanu realizacji projektów multilateralnych i bilateralnych przyjętych na spotkaniu w Rumunii. Kolejne szczyty odbyły się w 2020 r. w Tallinie i w 2021 r. w Sofii. Spotkanie estońskie ze względu na trwającą pandemię odbyło się w formule hybrydowej. Zorganizowano tam spotkanie pełnomocników rządów ds. 3SI, najczęściej w randze wiceministrów spraw zagranicznych, rozmawiano również o rozwoju współpracy cyfrowej. Natomiast w Bułgarii nastąpił skokowy przyrost liczby projektów planowanych do realizacji w ramach Inicjatywy Trójmorza (z 48 do 90). W celu dynamizacji współpracy gospodarczej agencja ds. inwestycji podpisała tam również porozumienia o tworzeniu sieci wsparcia innowacji, zaś izby handlowe państw 3SI – o własnej sieci kooperacji. Poszerzono również zakres przedmiotowy współpracy trójmorskiej, inaugurując I Forum Parlamentarne Trójmorza (Three Seas Parliamentary Forum). Siódmy szczyt 3SI gościł w 2022 r. w Rydze, gdzie m.in. nadano specjalny status Ukrainie, a USA zakomunikowały wsparcie finansowe dla Funduszu Trójmorza. Kilka tygodni przed łotewskim szczytem wzmocniono komponent społeczny poprzez organizację Forum Społeczeństwa Obywatelskiego (3SI Civil Society Forum). Ostatni szczyt zorganizowany został we wrześniu 2023 r. ponownie w Bukareszcie. Podjęto tam decyzję o poszerzeniu 3SI o Grecję, nadano również specjalny status Mołdawii.

Funkcjonowanie Inicjatywy Trójmorza

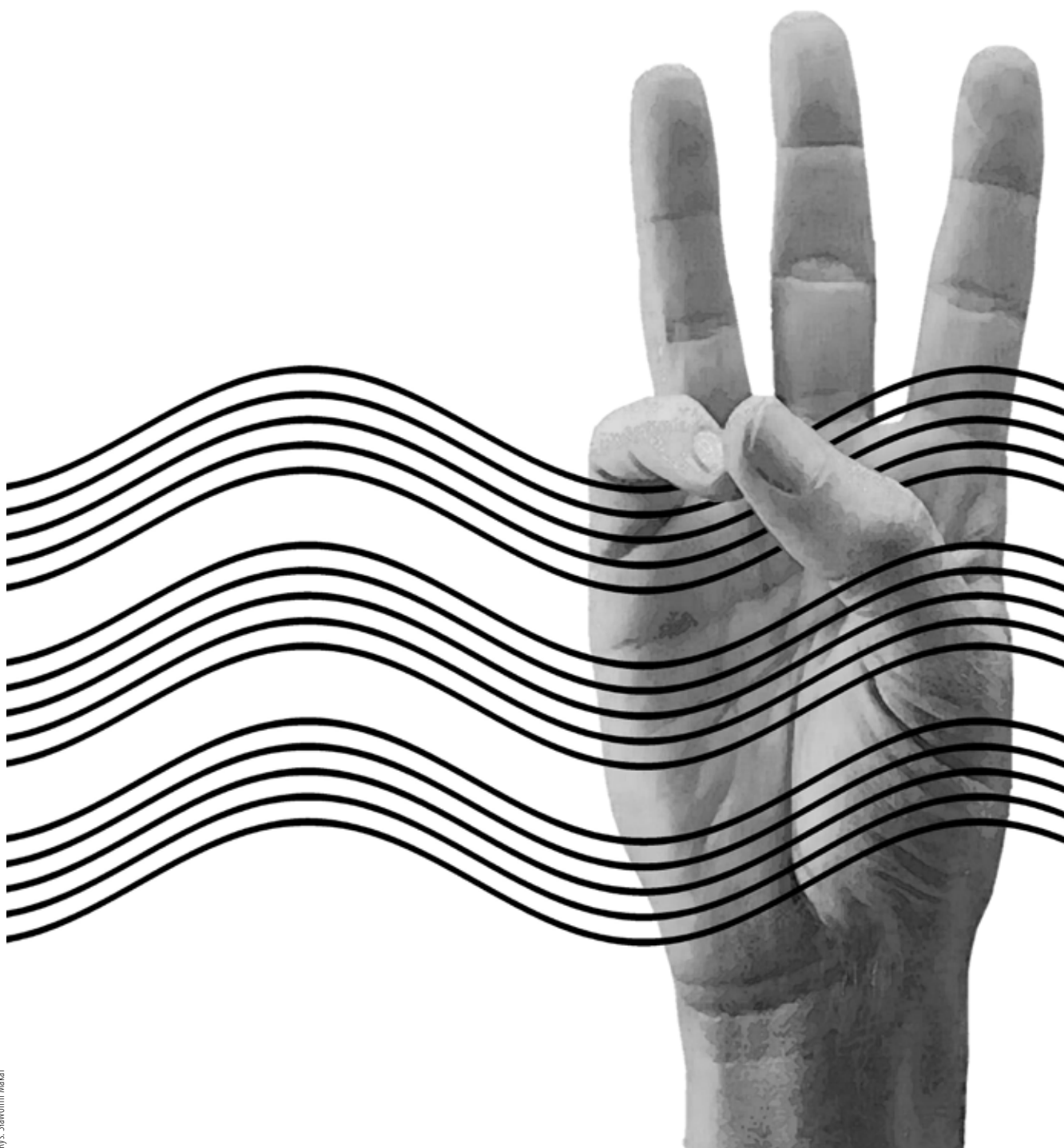
Najważniejszymi dokumentami, które definiują cele Inicjatywy Trójmorza, są deklaracje z poszczególnych szczytów z lat 2016-2023. Cele zostały też zaprezentowane na oficjalnej stronie internetowej tego formatu współpracy (<http://three-seas.eu/>). Należy podkreślić, że 3SI nie jest klasyczną organizacją międzynarodową, co oznacza, że nie ma prawnie wiążącego dokumentu, np. statutu, który jednoznacznie określałby jej cele. Nie ma też sekretarza generalnego ani innych urzędników, którzy mogliby reprezentować ten format współpracy i wypowiadać się w jego imieniu. Brak instytucjonalizacji utrudnia szerszą analizę jej celów, mechanizmów decyzyjnych i funkcjonowania. Na podstawie oficjalnych dokumentów 3SI należy stwierdzić, że jest to ugrupowanie wewnątrzunijne, którego głównym celem deklarowanym jest zacieśnienie współpracy infrastrukturalnej, energetycznej i gospodarczej państw między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym, co ma służyć wzmocnieniu spójności UE.

Kluczowym instrumentem współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza jest obecnie Fundusz Trójmorza. Został on założony w celu finansowania komercyjnych inwestycji infrastrukturalnych w regionie Europy Środkowej w trzech sektorach: energetyce, transporcie i technologiach cyfrowych. Inicjatorem i pomysłodawcą Funduszu był Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK). Podpisanie listu intencyjnego przez sześć państw Inicjatywy (Chorwacja, Czechy, Łotwa, Polska, Rumunia i Słowacja) w sprawie powołania Funduszu nastąpiło we wrześniu 2018 r. podczas Forum Biznesowego towarzyszącego szczytowi w Bukareszcie. Jako miejsce rejestracji 3SIIF wybrano Luksemburg, jedno z najważniejszych centrów finansowych świata. Działalność na prawie luksemburskim ma zwiększyć wiarygodność Funduszu w oczach potencjalnych inwestorów

i uczynić bardziej neutralnym wobec bieżącej sytuacji politycznej w państwach regionu. Państwa założycielskie 3SIIF to Polska i Rumunia reprezentowane odpowiednio przez BGK i Banca de Export-Import a Rumunii (Eximbank Romania). 3SIIF służy pozyskiwaniu środków na realizację projektów z udziałem przynajmniej trzech państw Trójmorza. Źródłem finansowania mają być państwowe i międzynarodowe instytucje kapitałowe, które złożą się na fundusz o docelowej wartości 5 mld euro. Spośród dwunastu państw Inicjatywy do Funduszu należy dziewięć, poza nim pozostają Austria, Czechy i Słowacja. Polska wniosła największy wkład w wysokości 750 mln euro, Słowenia – 23 mln euro, a pozostałe państwa – po 20 mln euro, czyli na najniższym możliwym poziomie. Natomiast na szczycie w Rydze strona amerykańska zadeklarowała wkład do Funduszu w wysokości 300 mln dolarów. Łączna wartość prio-

rytetowych projektów (obecnie jest ich 90) wynosi tymczasem ok. 181 mld euro, zaś potrzeby inwestycyjne na obszarze Trójmorza Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje na co najmniej 1,15 bln euro.

Na szczycie w Bukareszcie przyjęty został katalog projektów priorytetowych służących rozwojowi infrastruktury państw 3SI. W dziedzinie infrastrukturalnej główną osią komunikacyjną dwunastu państw Inicjatywy ma być Via Carpatia. Szlak ten biegnie wzdłuż wschodniej granicy UE, przecinając trasy łączące Europę Zachodnią z Rosją. Via Carpatia ma usprawnić przejazd drogowe od litewskiego portu Kłajpeda aż do greckich Salonik, łącząc Litwę, Polskę, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię i Grecję. Idea utworzenia Via Carpatia powstała w 2006 r., w Łańcucie, na spotkaniu ministrów transportu Litwy, Polski, Słowacji i Węgier, którzy pod patronatem prezydenta Lecha



Rys. Sławomir Makal

Kaczyńskiego przyjęli deklarację Łańcucką. W 2010 r., na kolejnym spotkaniu w Łańcucie, do inicjatywy dołączyły Rumunia, Bułgaria i Grecja. Na terenie Polski Via Carpatia pokrywa się z drogą ekspresową S19. Po szczycie 3SI w Warszawie w 2017 r., Ministerstwo Infrastruktury przedstawiło dokładny, planowany przebieg drogi ekspresowej S19 od północnej granicy państwa przez Białystok, Lublin i Rzeszów do granicy polsko-słowackiej w Barwinku. Obecnie Polska wraz z niektórymi państwami 3SI, a także Mołdawią i Ukrainą, ubiega się o rewizję Transeuropejskiej Sieci Transportowej (Trans-European Transport Networks, TEN-T) i dopisanie do niej Via Carpatii. Zasadniczo projekt ten jest realizowany przez poszczególne państwa we własnym zakresie i jest na bardzo różnym etapie realizacji – aktualnie ukończony został odcinek na Węgrzech, zaawansowane prace trwają w Polsce, słabiej sytuacja prezentuje się

np. na Słowacji. W przypadku Via Baltica szlak transportowy ma połączyć północno-wschodnie regiony Polski z państwami bałtyckimi. Odcinek polski będzie biegł najpierw drogą ekspresową S8 z Warszawy do Ostrowi Mazowieckiej, a następnie drogą ekspresową S61 przez obwodnicę Łomży, Elk i Suwałki do granicy Polski z Litwą. Obecnie prace w Polsce znajdują się na półmetku (przejezdne jest 200 km trasy). W krajach bałtyckich budowa drogi Via Baltica przebiega jednak wolniej. Kluczowe odcinki, jak obwodnica Rygi, planowane są dopiero do realizacji po 2030 r. Również po 2030 r. przewidywana jest przebudowa odcinka od granicy łotewsko-litewskiej do Poniewieża, a centralny odcinek z Poniewieża do Kowna ma zostać przebudowany po roku 2025.

W wymiarze bezpieczeństwa energetycznego planowany gazowy korytarz Północ-Południe ma połączyć terminal LNG w polskim porcie Świnoujście, który został otwarty w 2015 r., oraz Gazociąg Bałtycki (Baltic Pipe) z terminalem Adria LNG na wyspie Krk w Chorwacji. W październiku 2013 r. Komisja Europejska przyznała tej inwestycji status projektu o znaczeniu wspólnotowym (Project of Common Interest, PCI), który w kolejnych latach przedłużano. Na początku maja 2022 r. oficjalnie otwarty został polsko-litewski gazociąg GIPL. W sierpniu br. uruchomiony został przesył gazu interkonektorem Polska-Słowacja, a w październiku zaczną działać Gazociąg Bałtycki, którym popłynie gaz z Norwegii do Polski. Powrócono także do międzyrządowych rozmów nad uruchomieniem polsko-czeskiego gazociągu Stork II. Najslabiej rozwinięta w ramach 3SI jest płaszczyzna cyfrowa. W 2018 r. ruszyły zaledwie dwa tego rodzaju projekty: jeden dotyczący organizacji trójmorskiego forum „inteligentnych miast”, drugi zaś budowy strefy testowania pojazdów autonomicznych. Pozostałe projekty są na wstępnym etapie planowania bez sprecyzowanego kalendarza realizacji i szacunkowych kosztów. Wśród nich znalazła się m.in. zgłoszona przez Polskę propozycja stworzenia „cyfrowej autostrady”, czyli połączenia państw 3SI bezpieczną siecią światłowodową i oparcia transferu danych na technologiach mobilnych piątej generacji (5G).

Perspektywy

Najbliższy szczyt Inicjatywy Trójmorza odbędzie się w kwietniu 2024 r. w Wilnie. Litwa będzie trzecim, po Estonii i Łotwie, państwem bałtyckim, które zorganizuje spotkanie trójmorskie. Głównym promotorem projektu jest prezydent Gitanas Nausėda. Wydarzenie wpisuje się zarówno w trwającą na Litwie kampanię prezydencką, jak i w politykę budowania międzynarodowej reputacji państwa. Wilno stawia nacisk na rozwój projektów, dotyczących infrastruktury transgranicznej, w tym wzmocnienie wymiaru cyfrowego i wspólne inicjatywy technologiczne. Ta potencjalna kooperacja daje Litwie szansę na wypełnienie luk infrastrukturalnych, wzmocnienie jej konkurencyjności gospodarczej i umocnienie w sektorze cyberbezpieczeństwa. Umożliwia też pogłębienie relacji z innymi państwami regionu (m.in. z Polską), co może pozytywnie wpłynąć na budowanie pozytywnego wizerunku Litwy. W celu rozszerzenia formatu i przyciągnięcia uwagi międzynarodowej opinii publicznej pojawił się pomysł zaproszenia do 3SI Finlandii i Gruzji. Ponadto strona litewska dąży do dalszego wzmocnienia współpracy z partnerami strategicznymi, takimi jak USA czy Niemcy, podnosi także kwestię dalszego wspierania Ukrainy przez państwa członkowskie 3SI. Niewątpliwie w stolicy Litwy powróci również temat instytucjonalizacji Inicjatywy Trójmorza.

*Dr Łukasz Lewkowicz, Instytut Nauk o Polityce i Administracji UMCS w Lublinie,
Zespół Wyszehradzki Instytutu Europy Środkowej w Lublinie*

Liderzy i maruderzy w nauce

O ile grupa akademickich liderów jest zwykle stosunkowo nieliczna, to grupa maruderów jest znacznie liczniejsza i bardziej zróżnicowana. Można jednak w niej wyróżnić co najmniej dwa „skrzydła”. Dla uproszczenia nazwę je „lewym” i „prawym”.

Postrzeżenie życia naukowego w odcieniach czerni i bieli jest wprawdzie kuszące, ale jednak mało inspirujące do poważnych dyskusji nad kondycją nauki. Postaram się go unikać w próbie odpowiedzi na pytanie, w czym się wyraża liderowanie liderów i marudzenie maruderów w nauce. Zarówno bowiem w pierwszym, jak i w drugim znajduję strony dodatnie i ujemne.

Liderowanie liderów

W przeszłości tych, którzy przewodzili badaniom naukowym, nazywano mistrzami lub – bardziej „staromodnie” – przewodnikami duchowymi. Określę tych używano jednak tak długo i w tak różnych sytuacjach, że w znacznym stopniu straciły pierwotne znaczenie. Co to bowiem jest za „mistrz”, który wprawdzie kończy akademickie studia ze stopniem magistra (z łac. magistri – mistrza), ale w wielu przypadkach niemal cudem udało mu się dotrzeć do końca i obronić rozprawę magisterską, o której wiele można powiedzieć, ale nie to, że zawiera jakieś oryginalne przemyślenia. Jeśli niektórym z nich udało się kontynuować akademicką edukację na studiach doktoranckich, to spora ich część nie kończy ich obroną doktoratu, a w gronie tych, którym mimo wszystko udało się go przygotować i obronić, niewiele jest takich, którzy zdecydowanie wyróżniają się uzdolnieniami i naukowymi kwalifikacjami. Przynajmniej niektórzy z nich decydują się później na ubieganie się o kontynuację akademickiego życia w formie etatowego zatrudnienia na uczelni lub w instytucie badawczym. Jest ich jednak niewiele. Byłem wielokrotnie członkiem komisji konkursowych przy zatrudnianiu na uczelni i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że wprawdzie na niejednego z tych konkursów zgłaszało się kilku lub nawet kilkunastu kandydatów na uczonych, to mogących potwierdzić swoje aspiracje ponadprzeciętnymi osiągnięciami badawczymi było niewiele. Tak czy inaczej, konkursy były rozstrzygane, tyle tylko że w niejednym przypadku komisja konkursowa kierowała się

albo zasadą: „na bezrybiu i rak ryba”, albo zapewnieniami opiekuna naukowego kandydata, że dobrze się on zapowiada jako uczony i trzeba dać mu szansę, aby zapowiedzi przełożyły się na poważne osiągnięcia badawcze. Czasami to się potwierdzało, a czasami pozostawało w sferze zapowiedzi, w których realizację przestawali w końcu wierzyć nawet opiekunowie. Rzadko jednak w nauce zdarzał się masowy „wysyp” wielkich talentów, a ci, którzy faktycznie posiadali ponadprzeciętne uzdolnienia do pracy badawczej, czasami natrafiali na takie przeszkody w środowisku akademickim, że ich pokonywanie zabierało im więcej czasu niż sama praca badawcza i niejednego zniechęcały do jej kontynuowania. Chcę przez to powiedzieć tylko tyle, że liderowanie liderów w nauce ani w przeszłości, ani obecnie nie może się sprowadzać do prowadzenia badań i osiągnięcia znaczących wyników.

Rzecz jasna taki lider ma wymagania, upodobania i wyobrażenia o sobie. Jedne z nich mogą uchodzić za swoiste „dziwactwa”, które mu pomagają, a innym raczej nie przeszkadzają. Są jednak również takie, które dla jego akademickiego otoczenia są trudne do zaakceptowania, a i liderowi nie ułatwiają życia. Należą do nich wygórowane samooceny i oczekiwania od współpracowników w życiu naukowym, aby dawali z siebie dużo więcej niż ich na to stać. Zainteresowanych konkretnymi odsyłam do wspomnieniowej książki J.D. Watsona pt. *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*. Rzecz jasna niecodziennie dokonuje się takiego odkrycia; ale też i niecodziennie opisuje się jego współudziałowców w taki sposób, że przynajmniej niektórzy z nich poczuli się głęboko urażeni (i małym pocieszeniem mogło być to, że cały zespół otrzymał za to osiągnięcie Nagrodę Nobla). W swoim akademickim życiu nie spotkałem się osobiście z żadnym noblistą. Spotkałem natomiast uczonego, o którym się mówiło, że się „otarł o Nobla”, oraz kilku takich, którzy zachowywali się tak, jakby jedynie przez jakieś przeoczenie nie wysunęto

ich kandydatury do tego wyróżnienia. Jest w tym stwierdzeniu trochę ironii. Dodam zatem, że przynajmniej niektórzy z nich mieli faktycznie ponadprzeciętne osiągnięcia, ale niestety nie na miarę Nobla. Kłopotliwie współżyło się jednak głównie z tymi, którzy nie mieli takich osiągnięć, ale zajmowali uczelniane stanowiska skłaniające do uznawania się za akademickich liderów. Wejście w szczegóły mogłoby oznaczać kwestionowanie roli w nauce tych, którzy za sprawą zapobiegliwości lub tylko szczęśliwego zbiegu okoliczności pełnią na uczelniach ważne funkcje administracyjne lub też są organizatorami i koordynatorami funkcjonowania zespołów badawczych. Dzisiaj rola tych ostatnich tak zyskała na znaczeniu, że bez nich trudno sobie wyobrazić uzyskanie i realizowanie dużych grantów badawczych. Można ich również uznać za swojego rodzaju liderów, tyle tylko że nie w samych badaniach, lecz w ich organizowaniu. Powinni oni posiadać naukowe kwalifikacje, które pozwalają im zrozumieć, na czym polega doniosłość realizowanych badań i właściwie ocenić udział

w nich poszczególnych członków zespołu badawczego. Problem zaczyna się w momencie, gdy sobie przypisują najbardziej znaczące role.

Marudzenie maruderów

O ile grupa akademickich liderów jest zwykle stosunkowo nieliczna, to grupa maruderów jest znacznie liczniejsza i bardziej zróżnicowana. Można jednak w niej wyróżnić co najmniej dwa „skrzydła”. Dla uproszczenia nazwę je „lewym” i „prawym”. To pierwsze stanowią nie tylko będący swoistym „spadkiem” po czasach słusznie minionych, ale także ci, którzy nie utożsamiają się ani z dobrą zmianą po 1989 roku, ani też z tzw. dobrą zmianą po 2015 roku. Ci pierwsi marudzą, że dawniej było lepiej, bowiem mieli zapewnione przetrwanie w akademickim życiu, również wówczas, gdy specjalnie nie przykładali się do pracy badawczej. Wystarczyło, że deklarowali swoje poparcie dla ówczesnej władzy politycznej i nie kwestionowali ani jej poczynań, ani też poczynań jej nominatów na rektor-

Bys. Sławomir Makal



skich stołkach. Natomiast ci drudzy marudzą, że powinno być dużo lepiej niż jest nie tylko w życiu akademickim i nie tylko nie deklarują poparcia dla władzy politycznej, ale także obwiniają ją za swoje zawodowe i życiowe porażki. Jeśli by jednak ich zapytać, co dobrego zrobili dla poprawy swojej akademickiej pozycji, to lista zawodowych osiągnięć mogłaby się okazać krótka i próżno byłoby na niej szukać takich, które mają ponadlokalny wymiar. Jednak powiedzenie im tego otwarcie raczej nie przyniosłoby niczego dobrego, a być może nawet przyczyniłoby się do pojawienia się długiej listy winnych braku ich naukowych osiągnięć.

Tym, którzy sytuowali się i sytuują na „prawym skrzydle” akademickich maruderów, z całą pewnością nie żyło się łatwo przed zmianą w 1989 roku. Jeśli mimo to jakoś przetrwali do tej zmiany, to trudno było im się przebić nie tylko na bardziej znaczące stanowiska akademickie, ale także uzyskać znaczące środki na badania naukowe lub chociażby zgodę na wyjazd za granicę do któregoś z liczących się ośrodków naukowych. Krótko mówiąc, przynajmniej niektórzy z nich mieli uzasadnione powody do marudzenia na swoją zawodową i życiową sytuację. Jednak odpowiedź na pytanie, którzy z nich zyskali na zmianach po 1989 roku, nie jest taka prosta. Zapewne zyskali ci, którzy posiadali na tyle wysokie kwalifikacje naukowe i językowe, aby wyjeżdżać do zagranicznych ośrodków naukowych. Można nawet powiedzieć, że po tym przełomie pojawił się swoisty „ruch pielgrzymkowy” do tych ośrodków. Rzecz jasna nie zawsze najbardziej znaczących, bo do nich ustawiała się długa kolejka uczonych również z mniej znaczących w nauce ośrodków zachodnich. Wielokrotnie korzystałem w tamtych latach z możliwości międzynarodowej współpracy naukowej. Podczas pobytów za granicą spotykałem zarówno takich polskich uczonych, którzy mieli znaczące osiągnięcia naukowe i mogli być poważnymi partnerami do współpracy z goszczącymi ich uczonymi, jak i takich, którzy mieli osiągnięcia co najwyżej przeciętne, a ich wyjazdy motywowane były nie tyle celami badawczymi, co turystycznymi. Jedni i drudzy od czasu do czasu marudzili, czasami nawet na to samo. Okazywało się bowiem, że otrzymywane przez nich fundusze były tak skromne, że z trudem pokrywały koszty pobytowe, nawet jeśli nazywały się stypendiami rządowymi, a otrzymywane z ich rodzimych uczelni tzw. diety wystarczyły niejednokrotnie jedynie na nocowanie w akademikach i żywienie się „domowym” sposobem.

Po 2015 roku niewiele się zmieniło na lepsze pod względem wyjazdów zagranicznych. Sporo się natomiast zmieniło na krajowym „podwórku”. Pojawił się bowiem innowatorzy, którzy z zapałem godnym lepszej sprawy postanowili gonić światową naukę poprzez proste przeniesienie na rodzimy grunt rozwiązań, które przynajmniej do pewnego czasu sprawdzały się w niektórych krajach zachodnich. Problem był i nadal jest nie tylko w tym, że były one i są stosowane w naszym kraju bez zaplecza społecznego, które miały i mają tamte kraje, ale także w tym, że były one wprowadzane metodą „wstrząsową”, jeśli tak można nazwać stosowanie wskaźników bibliometrycznych bez uprzedzenia dużo wcześniej, że badacze będą oceniani według liczby przywołań ich publikacji w punktowanych czasopiśmie z ministerialnej listy. Już po ogłoszeniu pierwszych list pojawiała się spora grupa maruderów wskazujących na ich rozbieganie się z faktyczną wartością zamieszczanych w tych czasopiśmie artykułów, a każda następna lista była gorsza od poprzedniej. Ostatnia z nich (z lipca 2023 roku) wręcz wyglądała na ministerialną prowokację pod adresem środowiska akademickiego.

Jego ogłoszenie sprawiło, że nawet ci, którzy sympatyzowali ze sprawującymi władze polityczne, powątpiewali w nieomyślność, a być może nawet w zdrowy rozsądek odpowiedzialnego za nie ministra. Natomiast tym, którzy marudzili na sprawujących władzę po 2015 roku, lista ta dostarczyła tak mocnych argumentów, że nawet politycy, którzy przejęli władzę polityczną po październikowych wyborach z 2023 roku, za swój priorytet uznali położenie kresu takim ministerialnym harcom, jak tworzenie list czasopiśmie „z kapelusza”.

Uwagi i sugestie

Należałem do tych maruderów, którzy otwarcie wypowiadali się (m.in. na łamach FA) krytycznie nie tylko o takim bibliometrycznym sposobie oceniania osiągnięć uczonych, ale także o niektórych rozwiązaniach wprowadzonych w 2018 roku tzw. Ustawą 2.0. Krótko zatem powiem, że moim zdaniem żaden ilościowy sposób mierzenia osiągnięć nie da się przełożyć na zróżnicowanie jakościowe środowiska akademickiego. Stwierdzenie, że uczeni stanowią istotnie różniące się osobowości, a uprawiane przez nich dziedziny nauki i dyscypliny naukowe różnią się zarówno stosowanymi w nich metodami badawczymi, jak i praco- i czasochłonnością, stanowi tzw. oczywistą oczywistość. Podobnie jest z twierdzeniem, że jedni uczeni znaczące wyniki osiągają szybciej, a inni dużo wolniej. Czasami jest tak, że do rozwiązania poważnych problemów naukowych potrzebny jest wysiłek badawczy kilku pokoleń uczonych i zwykle pamięta się o tych, którzy postawili przysłowiową „kropkę nad i”. Tak to wygląda m.in. w wysoko rozwiniętych dyscyplinach naukowych. Nie chciałbym jednak spotkać się z zarzutem, że unikam powiedzenia czegoś bardziej konkretnego. Przywołam zatem przykład uczonego, o którym mówił Max Weber w wygłoszonym na Uniwersytecie w Monachium w 1917 roku wykładzie pt. *Wissenschaft als Beruf* (Nauka jako zawód). Mówił w nim nie tylko o zawodzie uczonego, ale także o powołaniu, które sprawia, że uczone „nakłada sobie klapki na oczy i utwierdza siebie w przekonaniu, iż los jego własnej duszy zależy od prawidłowego dokonania poprawki, i to akurat tej poprawki w tym właśnie, a nie w innym miejscu rękopisu”. Czasami mu się to udaje, a czasami nie, mimo wieloletnich wysiłków. Takiego uczonego w żadnym jednak razie nie nazwałbym maruderem.

Przedstawię również trzy sugestie związane z oczekiwaniami zmian w funkcjonowaniu nauki w naszym kraju. Pierwsza z nich dotyczy wprowadzenia rozwiązań, które odciążąby najbardziej efektywnych naukowo liderów od konieczności wykonywania zajęć zabierających im sporo czasu i utrudniających skupienie się na pracy badawczej. Zaliczam do nich czynności administracyjne i organizacyjne. Druga z nich dotyczy zmian w możliwości wykazywania przez uczonych osiągnięć w procedurze parametryzacji dyscypliny naukowej. Problem w tym, że obecne przepisy dyskryminują tych, którzy mają ponadprzeciętne wyniki, udokumentowane znaczącymi publikacjami, oraz premiuja tych, którzy zadowalają się kilkoma byle jakimi publikacjami w byle jakich wydawnictwach i są przekonani, że w ten sposób wypełnili już swój naukowy obowiązek. Trzecia z tych sugestii dotyczy wprowadzenia zmian, które skłoniłyby do poważniejszego traktowania, niż to ma obecnie miejsce, ocen okresowych pracowników naukowych i naukowo-badawczych. To, co jest, w moim przekonaniu stanowi jedynie akademicki rytuał, nie do końca poważnie traktowany przez osoby oceniające i oceniane. Pozwala to przez wiele lat trwać w życiu akademickim tym, którzy w wykonywaniu zawodowych obowiązków stawiają na minimalizm, co im jednak nie przeszkadza oczekiwać godziwych wynagrodzeń.

Paweł Kawalerski

Dla kogo naukowiec pracuje?

Praktyczne zastosowania i korzyści wynikające z nauki są niezbędne w czasach rewolucji naukowo-informacyjnej. Jednak brak aktywnej interakcji między nauką a użytkownikiem oznacza brak realnego praktycznego wykorzystania nauki i pozbawia użytkownika korzyści. Z tej racji praca naukowa nie powinna przyjmować formy jednostronnego monologu, w przeciwnym razie traci społeczną wartość.

Pozornie może się wydawać, że odpowiedź na wskazane pytanie jest bardzo prosta. Naukowiec pracuje rzecz jasna dla społeczeństwa. Ale dla kogo konkretnie? Dla odbiorców kwitujących pracę naukową, czy może chodzi o jakichś użytkowników? Realista teoriopoznawczy odpowie, że naukowiec pracuje dla użytkowników, zarówno tych określonych jak i nieokreślonych. Przy czym „użytkowanie” i „wykorzystanie” można zdefiniować operacyjnie jako wszelkie przypadki, w których wyniki badań naukowych skłoniły kogokolwiek do jakiegoś działania, zmiany postępowania lub chociażby zmiany poglądów.

Między zleceniem a szufladą

Wśród prac badawczych realizowanych dla użytkowników określonych można wskazać następujące grupy.

Pierwsza grupa obejmuje prace dla jawnie zidentyfikowanych użytkowników, którzy zlecają badania i następnie oczekują na wyniki, aby wykorzystać je w celu zaspokojenia konkretnych potrzeb, które skłoniły ich do zainicjowania projektu badawczego. Na przykład przedsiębiorstwo z sektora energetycznego może zwrócić się do specjalistycznego ośrodka badawczego w celu przeprowadzenia analizy ryzyka i zaproponowania nowych strategii zabezpieczeń, dostosowując się do zmieniających się zagrożeń.

Druga kategoria to badania skierowane do potencjalnych użytkowników, którzy nie uświadamiają sobie pewnych potrzeb lub nie zdają sobie sprawy, że istnieją możliwości ich zaspokojenia. Ci użytkownicy nie zlecają bezpośrednio badań, ale korzystają z ich rezultatów, kiedy naukowcy samodzielnie przeprowadzają odpowiednie badania. Na przykład innowacyjne rozwiązania w dziedzinie cyberbezpieczeństwa mogą być opracowywane nie na konkretne zlecenie przedsiębiorstwa, ale badacze antycypują, że firmy mogą skorzystać z tych rozwiązań, aby wzmocnić swoje systemy zabezpieczeń.

Wśród prac badawczych realizowanych dla użytkowników nieokreślonych można wskazać następujące grupy.

Do trzeciej kategorii można zaliczyć badania skierowane do nieznanymi użytkowników, o których naukowiec wie ogólnie,

lecz nie potrafi ich jednoznacznie i konkretnie zidentyfikować. Na przykład specjalista ds. bezpieczeństwa, który prowadzi badania nad nowym rodzajem cyberzagrożeń, może przypuszczać, że odkryte informacje o lukach w zabezpieczeniach zostaną wykorzystane, choć nie ma dokładnej pewności przez kogo i w jakim celu. Jego prace mogą pomóc w identyfikacji potencjalnych zagrożeń, ale konkretni użytkownicy, którzy skorzystają z tych danych, mogą pozostać nieznani.

Do czwartej kategorii można zaliczyć badania skierowane do pośrednich użytkowników. Wyniki tych badań mają potencjał użyteczności dla innych naukowców przy rozwiązywaniu konkretnych problemów dla określonych grup użytkowników. Na przykład opracowane metody analizy obrazu czy śledzenia anomalii w ruchu ludzi mogą być udostępnione innym naukowcom, którzy będą dalej dostosowywać je do skutecznego monitorowania miejsc publicznych, z korzyścią dla ogółu społeczeństwa.

Do piątej kategorii można zaliczyć badania podejmowane w celu poszerzenia wiedzy, eliminujące „białe plamy” na mapie wiedzy, w przekonaniu, że ich wyniki mogą być pożądane przez inne osoby, zaspokajając ich ciekawość, ale trudno jednoznacznie wskazać inne praktyczne zastosowania. Na przykład odkrycia z dziedziny historii – takie jak zmiana przekonania dotycząca sposobu śmierci jakiegoś króla – mogą być cenne głównie ze względu na wartość historyczną i intelektualną. Chociaż takie odkrycie prawdopodobnie nie wpłynęłoby bezpośrednio na bieżące sprawy praktyczne ani życie społeczne, mogłoby stanowić istotny kawałek układanki naszej wiedzy o przeszłości. Ponadto możliwe jest, że nowe spojrzenie na starożytne wydarzenia mogłoby rzucać światło na inne aspekty kultury, polityki czy społeczeństwa tamtego okresu, przyczyniając się do pełniejszego zrozumienia historii i dziedzictwa ludzkości.

Ważne jest również uwzględnienie dwóch kategorii prac, które są wykonywane dla użytkowników nieistniejących. Taki sąd może się wydawać zaskakujący, ale prace tego rodzaju nie należą bynajmniej do rzadkości.

Do szóstej kategorii można zaliczyć prace „dla siebie”. Na przykład badacz zajmujący się literaturą polską podejmuje się analizy nieznanego lub mało znanego XVII-wiecznego dramaturga, którego prace nie zdobyły szerokiego uznania czy popularności. Jest to rodzaj prac kwalifikacyjnych na potrzeby postępowania doktorskiego, które badacz może realizować bez przekonania, że jego wyniki będą miały znaczący wpływ na dziedzinę literatury czy przyniosą natychmiastowe korzyści praktyczne. Analogiczne przypadki mają miejsce, gdy badacz o ograniczonej kreatywności uważa, że po okresie małej

aktywności naukowej powinien w końcu dodać coś do swojego dorobku publikacyjnego. Z tego powodu decyduje się na podjęcie pracy badawczej na temat, który sam uważa za mało inspirowany lub nieprzynoszący istotnych rezultatów.

Do siódmej grupy można zaliczyć prace „dla nikogo”, czyli po wykonaniu chowane przez autora do szuflady. Chodzi o sytuację, kiedy naukowiec decyduje się powstrzymać od publikacji pracy badawczej, która według jego rozeznania stanowi jedynie wstęp do przyszłych badań, do których jednak jeszcze nie ma wypracowanej pełnej koncepcji. To także odnosi się do



Rys. Sławomir Makal

momentów, gdy badacz waha się przed opublikowaniem wyników swoich badań, nie czując się pewnym ich niepodważalności.

Planowość, odpłatność, wdrażanie

Przedstawiony katalog prac naukowych został uporządkowany w kolejności malejącej możliwości ich zastosowania, zgodnie z wyobrażeniem ich autorów. Niemniej jednak ta klasyfikacja nie odzwierciedla oceny wartości tych prac. Warto pamiętać, że przeprowadzenie pewnych badań może się wiązać z zaniebdaniem innych, co sprawia, że z perspektywy istotności i pilności społecznych potrzeb ma znaczenie to, które badania naukowców wybiera jako priorytetowe. Ponadto w uznawaniu jakichś badań naukowych za deficytowe trzeba zachować ostrożność.

W celu inicjowania badań przynoszących korzyści ekonomiczne i rentowność na przestrzeni lat proponowano różne rozwiązania organizacyjne. Na początku wprowadzono planowanie badań naukowych w jednostkach naukowych. Przypuszczano, że zapewnienie terminowego zrealizowania wszystkich planowanych tematów automatycznie przyniesie odpowiednie korzyści. Wdrożenie pomysłu planowania zapewne przyczyniło się do większego namysłu przy wyborze tematyki podejmowanych badań. Przyczyniło się z pewnością do zmniejszenia liczby prac dla użytkowników nieistniejących, a w szczególności prac „dla nikogo”. Mimo wprowadzenia zasady planowania badań naukowych, nie ustąpiły wątpliwości co do ich odpłatności. Konsekwencje ekonomiczne działań badawczych są nieuchwytnie, ponieważ np. wyniki badań podstawowych są z natury przekazywane użytkownikom nieokreślonym w formie publikacji.

W celu poprawy tego stanu do zasady planowania wprowadzono zasadę odpłatności. Sądzono, że gdy jednostki naukowe zaczną zdobywać środki na badania naukowe głównie poprzez zlecenia z gospodarki, zamiast zależeć wyłącznie od dotacji ministerialnych, będą bardziej zmotywowane do poszukiwania takich zleceń. Założono, że efektywność działań w tej kwestii zależeć będzie od tego, czy naukowcy będą oferować badania przydatne dla gospodarki. Z drugiej strony, gdy zakłady przemysłowe będą musiały płacić za prace badawcze, skłonność do finansowania prac nieprzydatnych dla ich celów będzie ograniczona. Taki model z zasady miał sprzyjać bliskiej współpracy między środowiskiem naukowym a otoczeniem społecznym. Inaczej mówiąc, dla naukowców otoczenie społeczne i jego podmioty staną się użytkownikami określonymi, i to nawet jawnymi. Jest to więc sposób bazujący na przeświadczeniu, że swatana para się w końcu pocałuje i będą żyli długo i szczęśliwie. A jednak się okazuje, że jest to miłość trudna. Wprawdzie otoczenie społeczne wydaje pieniądze na badania naukowe, ale często są to prace raczej miłkie, nieszkodliwe wizerunkowo dla zlecających. Prace zmierzające natomiast do poważniejszej modernizacji nie są zamawiane ani chętnie przyjmowane, gdy zostały wykonane z inicjatywy ośrodków badawczych. Po co to komu? Najlepiej jest przecieć, gdy wszystko pozostaje po staremu. Każdy wie, co ma robić i czego się spodziewać. Wszelkie nowatorstwo może ten stan tylko popsuć.

Po planowości i odpłatności pojawiło się trzecie hasło: wdrażanie. Może się zdawać, że wdrażanie pomysłów naukowych w społeczeństwie to przecież nic innego jak inspirowanie postępu, żeby wreszcie zechciano wykorzystać to, co w nauce zrobiono. Otoczenie społeczne się opiera, ale nie może tego otwarcie powiedzieć, więc piętrzy trudności. A to brak funduszy, a to rozwiązanie nie jest wypróbowane, nie wiadomo czy będzie działać – trzeba jeszcze raz to przemyśleć. Kolejna trudność: może wszystko działa należycie i są argumenty za wdrożeniem, ale rozwiązania oparte na nowych pomysłach zwykle zawodzą, trzeba jeszcze ponowić testy. Zdaję sobie sprawę,

że realizacja jakiegoś przekształcenia powinna być dokładnie przemyślana, ale również otoczenie społeczne powinno osiągnąć zaawansowany poziom kultury organizacyjnej i wyrażać chęć do współpracy. Niestety wskazane sprzężenie u nas zawodzi, co sprawia, że proces wdrażania przybiera charakter wielkiej rewolucji, przypominając bardziej skok nad przepaścią niż przekazywanie pałeczki w sztafecie.

Wielka stabilizacja

Przyczyną wskazanych trudności jest konfiguracja systemu nauki i szkolnictwa wyższego zniechęcająca do podejmowania ryzyka. Jest to konfiguracja mająca na celu zapewnienie „wielkiej stabilizacji”, tj. zapobieganie zakłóceniom interesów głównych interesariuszy tego systemu (nie są to z pewnością młodzi naukowcy). Jednak w dążeniu do tego celu stworzono ramy konfiguracyjne, które przeciwdziałają wszelkim zakłóceniom, w tym również takim, które mogą powstawać przy próbach wprowadzenia postępu. No cóż, takie przyjęto kryteria optymalizacji i zmienne decyzyjne. Trzeba jednak pamiętać, że przed rozwiązaniem problemu optymalizacyjnego trzeba ten problem najpierw postawić (postulacja). Często uchodzi to nawet uwadze specjalistów z zakresu metod matematycznych. Zwykle ich uwaga koncentruje się na trudnościach operacyjnych związanych z rozwiązaniem problemu, szczególnie gdy wiąże się to z obszernym układem skomplikowanych równań.

Tymczasem etykietę winnego za trudności przypina się naukowcom. Poucza się ich, że nauka powinna przynosić korzyści praktyczne, ale pomija się fakt, że pojęcie „użyteczności nauki” jest subiektywne i trudno nadać mu jednoznaczne, dosłowne znaczenie. Praktyczne zastosowania nauki i korzyści wynikające z nauki są niezbędne w czasach rewolucji naukowo-informacyjnej. Jednak brak aktywnej interakcji między nauką a użytkownikiem oznacza brak realnego praktycznego wykorzystania nauki i pozbawia użytkownika korzyści. Z tej racji praca naukowa nie powinna przyjmować formy jednostronnego monologu; w przeciwnym razie traci swoją społeczną wartość. Musi to być dialog, a do dialogu potrzebna jest obecność dwóch stron. Gdzie jest ta druga strona? Gdzie jest użytkownik? Mówimy tu o rzeczywistym użytkowniku, a nie jedynie nominalnym, który przyjmuje pracę naukową z nakazu, i którego poza tym ta praca nic nie obchodzi.

Organizacja nauki w naszym kraju wymaga nowego podejścia, które zmniejszy moc jałową tego systemu. W procesie organizowania nauki nie można dokonać wyłącznie pewnych zmian, a inne pominąć, podobnie jak nie można zbudować domu jedynie z cegieł bez zbudowania odpowiedniego fundamentu ani dostarczyć fundamentu bez materiałów budowlanych, w obu bowiem przypadkach konstrukcja będzie wadliwa. Brak zrozumienia istoty problemów optymalizacyjnych (głównie etapu postulacji) jest zasadniczą przyczyną zacofania systemu szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce.

W dążeniu do postępu w czasach rewolucji naukowo-informacyjnej konieczne jest generowanie nowych odkryć naukowych. Jednak wcześniej konieczne jest odnalezienie samej nauki. I oczywiście prawdziwych naukowców.

Tekst opracowałem na podstawie pracy Mariana Mazura pt. *Historia naturalna polskiego naukowca* (Warszawa 1970) oraz własnej obserwacji uczestniczącej i eksperymentów uczestniczących.

Parte proxima res continuetur.

Dr Paweł Kawalerski, Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie, sekretarz Rady Dyscypliny Naukowej „Nauki o Bezpieczeństwie” WAT

Plagiatowy doktorat nie dał się poprawić

W Polsce od wielu lat zanika krytyka naukowa, zarówno w czasopismach – w postaci listów do redakcji – jak i w recenzjach prac awansowych. Bez krytycyzmu nie ma porządnej nauki.

Jesienią 2022 roku opisałem w krótkiej nocie dostrzeżone przez recenzenta, prof. Adama Szyszkę (SGH w Warszawie), naruszenie praw autorskich w postaci tłumaczenia z angielskiego w tekście dysertacji doktorskiej mgr Urszuli Mentel z Wydziału Zarządzania Politechniki Rzeszowskiej (*Plagiatowy doktorat do poprawy?*, FA 9/2022 oraz *Zawieszenie przewodu doktorskiego poprawionego plagiatu*, FA 10/2022). Przewód doktorski toczył się od 10 maja 2021 r. w Instytucie Ekonomii i Finansów Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Szczecińskiego. Przewodniczącą komisji doktorskiej została prof. Beata Zofia Filipiak, a jednym z członków dr hab. Stanisław Hońko, prof. USz, przewodniczący rady naukowej instytutu i uznany badacz rachunkowości. Uważam, że ten ostatni miał konflikt interesów, gdyż „szefowie” nie powinni zasiadać w takich ciałach, których uchwały/decyzje później z urzędu muszą sami zatwierdzać.

Doktorantka, mgr Urszula Mentel, nie była uczestnikiem studiów doktoranckich prowadzonych na Uniwersytecie Szczecińskim. Otworzyła sam przewód eksternistycznie, jednocześnie będąc asystentem badawczo-dydaktycznym Zakładu Zarządzania Projektami (kierownik: dr hab. Jacek Strojny) Politechniki Rzeszowskiej. Muszę też dodać, że aczkolwiek formalnym promotorem był Sebastian Majewski, prof. USz., wicedyrektor Instytutu Ekonomii i Finansów, to „ojcem chrzestnym” doktoratu został prof. Waldemar Tarczyński, rektor uniwersytetu. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że był on promotorem doktoratu męża doktorantki, dr. hab. Grzegorza Mentla, kierownika Zakładu Metod Ilościowych Politechniki Rzeszowskiej, pracującego z żoną na tamtejszym Wydziale Zarządzania. Obroniona w Szczecinie habilitacja G. Mentla pt. *Wartość zagrożona jako instrument zarządzania ryzykiem pogodowym* wchodzi w zakres tego samego pola badawczego, co doktorat jego żony pt. *Warunki pogodowe jako determinanty zmienności na rynku akcji*. Na dodatek promotor żony Sebastian Majewski był recenzentem wydawniczym monografii habilitacyjnej Grzegorza Mentla.

Natomiast rektor Tarczyński jest współautorem dwóch artykułów wydrukowanych wspólnie z „obcą”, czyli „nie swoją” doktorantką w czasopiśmie „Energies” (2021, vol. 14, issue 21,

str. 1-25) oraz w „Journal of International Studies” (2022, vol. 15, issue 2, str. 122-139). To ostatnie czasopismo jest wydawane przez Uniwersytet Szczeciński, zaś redaktorem naczelnym jest prof. Jurij Bilan z Wydziału Zarządzania Politechniki Rzeszowskiej. Z kolei korektorem języka angielskiego (English proof-reader) w czasopiśmie jest prof. Grzegorz Mentel, z którym prof. Tarczyński opublikował co najmniej 10 wspólnych artykułów.

I jeśli słuszny jest niepisany wymóg etyczny, aby członkowie rodziny lokalnego profesora przeprowadzali swoje wnioski awansowe na innych uczelniach, po to aby nie zarzucono im „przepychania” przez tatę/mamę czy żonę/męża lub wujka/ciocię itp., to wybór Szczecina był, moim zdaniem, błędny. Uważam też, że prof. Mentel „nie dopilnował” żony Urszuli, która zesłała ze ścieżki rzetelności naukowej. Jeden z trzech recenzentów doktoratu, prof. Adam Szyszka z SGH w Warszawie, odkrył dwa obszernie zapożyczenia z pracy w języku angielskim bez odniesienia bibliograficznego, czyli plagiat. Jednak recenzent był na tyle „miłosierny”, że zamiast napisać negatywną recenzję, jak to się robi w takich przypadkach, w lutym 2022 r. dał doktorantce tzw. drugą szansę i odesłał dysertację „do poprawy”, mimo że plagiatu nie da się poprawić...

Kiedy zainteresowałem się tą sprawą w sierpniu 2022 r., rektor Waldemar Tarczyński natychmiast – ale jednak pół roku po ujawnieniu plagiatu – polecił powiadomić Rejonową Prokuraturę Szczecin-Niebuszewo. Prowadząca przez cały następny rok dochodzenie (tzw. postępowanie przygotowawcze) prokurator Beata Skucińska-Veljković umorzyła je 24 sierpnia 2023 r. z powodu „braku znamion czynu zabronionego”. Postanowieniu zabrakło uzasadnienia, ale rektor Tarczyński nie złożył odwołania. Decyzja się uprawomocniła.

Ponowne recenzje

Po umorzeniu prokuratorskim Uniwersytet Szczeciński podjął przerwany przewód doktorski i w połowie listopada 2023 r. mgr Urszula Mentel przysłała poprawioną dysertację. Tydzień później prof. Beata Filipiak wysłała egzemplarze „nowej” dysertacji do recenzentów. Do końca stycznia 2024 r. ponowne trzy recenzje wróciły na jej ręce do komisji doktorskiej. Zapewne czytającym je członkom komisji oczy stanęły w ślup. Wszyst-

kie recenzje były definitywnie negatywne. Każdy z recenzentów samodzielnie odkrył nowe nieoznaczone zapożyczenia, które wraz z innymi niedociągnięciami przekreśliły pozytywną ocenę doktoratu. Dr hab. Leszek Czerwonka z Wydziału Ekonomii UG (jego pierwsza recenzja była pozytywna) uznał, że doktorantka słabo poprawiła wskazane przez prof. Adama Szyszkę zapożyczenia. Sprawdził więc inny rozdział, gdzie odnalazł nowe długie zapożyczenie z artykułu angielskiego bez odniesienia do oryginału. W innym miejscu tekstu „poprawionej” dysertacji znalazł podobne naruszenie. Dlatego w podsumowaniu swojej negatywnej recenzji napisał: „Jednak najbardziej kuriozalną sytuacją jest przywłaszczenie fragmentu artykułu, który umieszczono we własnych «Wnioskach»! Wnioski – to esencja przeprowadzonego przez siebie badania. Tymczasem większość pierwszej strony (s. 197) to dwa pierwsze akapity (s. 79) wstępu do artykułu Lu J., Chou R.K. (2012), *Does the weather have impacts on returns and trading activities in order-driven stockmarkets? Evidence from China*, «Journal of Empirical Finance», 19. W tym miejscu można postawić pytanie – skoro tyle fragmentów opartych na analizach innych autorów udało się znaleźć, to ilu jeszcze się nie udało?”

Druga recenzentka, dr hab. Katarzyna Kuziak z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, poprzednio miała szereg uwag, ale ostatecznie pozytywnie oceniła doktorat. Czytając poprawioną dysertację, uznała jednak, że duża część wcześniejszej krytyki nie została uzupełniona i poprawiona. Przeglądając kolejne strony, sama znalazła nowe zapożyczenia. Podsumowując ocenę poprawionej pracy doktorskiej, prof. Kuziak napisała: „Mogę uznać, na podstawie rozdziałów teoretycznych pracy, pomimo niedociągnięć, że kryterium ogólnej wiedzy teoretycznej osoby ubiegającej się o nadanie stopnia doktora w dyscyplinie ekonomia i finanse zostało spełnione. Niestety pozostałe warunki, tj. umiejętność samodzielnego prowadzenia pracy naukowej oraz oryginalne rozwiązanie problemu naukowego, nie zostały spełnione. Sformułowane przez doktorantkę hipotezy pomocnicze nie zostały w pracy zweryfikowane. Zapożyczenia tekstu artykułu bez powołania na niego przeczą umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej”.

Trzecia recenzja prof. Adama Szyszki też była negatywna. Napisał: „Formułując wniosek końcowy, w pierwszej kolejności należy się zastanowić, czy przedłożona poprawiona rozprawa doktorska spełnia kryteria Ustawy. W moim przekonaniu odpowiedź na to pytanie jest negatywna. W przypadku ocenianej rozprawy nie można mówić o spełnieniu kryterium «oryginalnego rozwiązania problemu naukowego» (art. 187 ust. 2 Ustawy). Stanowisko to motywuję zastrzeżeniami odnośnie [do] badań empirycznych, które szczegółowo wskazałem w punkcie 2 niniejszej recenzji, z których najistotniejszym jest kwestia ewentualnej przypadkowości uzyskanych wyników. Na to nakładają się problemy z oryginalnością samego tekstu rozprawy. Wskazane w poprzedniej wersji dysertacji fragmenty, będące nieudolnym tłumaczeniem innych opracowań w j. angielskim, zostały przez Doktorantkę skorygowane pod kątem językowym i opatrzone przypisem literaturowym. Nie zmienia to jednak faktu, że cały wywód w tych fragmentach, kolejność cytowań innych prac, a także wnioski z nich płynące nie są autorstwa Doktorantki. Dodatkowo w poprawionej wersji pracy ujawniono kolejne przypadki tłumaczenia fragmentów opracowań innych autorów i przytaczania ich jako własne, bez stosownego przypisu literaturowego. Tym samym podtrzymuję moje wcześniejsze zastrzeżenia odnośnie [do] «umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej» przez Doktorantkę (art. 187 ust. 1 Ustawy). Ponadto, zgodnie z art. 195 Ustawy, ujawnienie plagiatu może prowadzić do stwierdzenia nieważności ewentualnej decyzji o nadaniu stopnia”.

Doktorat nie do obrony

Posiedzenie Komisji Doktorskiej odbyło się 9 lutego 2024 r. Dwóch jej członków wyraziło początkowe zdziwienie, że dwaj recenzenci, którzy poprzednio pozytywnie oceniali dysertację, obecnie zmienili zdanie. Jednak po argumentach, że mimo poprawek w tekście wykryto kolejne zapożyczenia, Komisja jednogłośnie zagłosowała za odmową dopuszczenia Urszuli Mentel do publicznej obrony. Jednak na to co stało się 7 marca br. na posiedzeniu rady naukowej (równoważnik rady dyscypliny) Instytutu Ekonomii i Finansów, to nawet ja, pesymista bez wiary w rodzimą profesurę, nie byłem przygotowany. Otóż na prośbę doktorantki umorzono postępowanie doktorskie! Z 21 członków Rady, w posiedzeniu wzięło udział zaledwie 12 osób. Dziesięć zagłosowało za umorzeniem, a tylko dwie były przeciwni. Niestety, z taką nierzetelnością profesury coraz częściej się spotykamy. Dlatego już bez zdziwienia stwierdzam, że po 14 dniach od emaila zarówno niedosłała doktor finansów, jak i jej promotor oraz recenzentka nie odpowiedziały na moją pisemną prośbę o komentarz. Podobnie postąpili prof. Beata Z. Filipiak i prof. Stanisław Hońko.

Przy okazji zauważyłem, że wbrew ustawowemu przepisom prawnym komisja doktorska nie udostępniła w internecie na stronie BIP-u ani tekstu poprawionej dysertacji doktorskiej, ani nowych recenzji, ani nowych uchwał dotyczących odwieszenia postępowania doktorskiego, jak również o odmowie dopuszczenia do obrony. I to w sytuacji, gdy członkiem rady naukowej Instytutu jest aktualny rektor, bardzo doświadczony administrator. Zwykle najciemniej jest pod latarnią...

Postępowanie dyscyplinarne w Rzeszowie

Ze smutkiem muszę stwierdzić, iż kroki dyscyplinarne zapoczątkowane moją skargą do rektora Politechniki Rzeszowskiej, prof. Piotra Koszelnika, zakończyły się niczym. Rzecznikiem dyscyplinarnym w tej sprawie rektor uczynił prawnika, dr. Andrzeja Kiełtykę, siedemdziesięcioletniego adiunkta w Katedrze Prawa i Administracji na tym samym wydziale. To doświadczony, ale emerytowany prokurator, który 10 lat temu był zastępcą prokuratora apelacyjnego w Rzeszowie. Jednak jako rzecznik dyscyplinarny nie dał sobie rady z tą sprawą i wzorem szczecińskiej prokurator po rocznym zawieszeniu w końcu umorzył postępowanie, niczego nie badając ani nie sprawdzając. W dodatku jako adiunkt z tego wydziału miał konflikt interesów i nie powinien zostać powołany przez rektora do tej sprawy, ewentualnie powinien sam z niej zrezygnować.

Poza kontaktem z obwinioną Urszulą Mentel rzecznik dyscyplinarny nie powołał biegłego ani nikogo nie przesłuchał. Kiedy prokuratura w Szczecinie umorzyła bez uzasadnienia postępowanie, rzecznik z PRz wziął to za dobrą monetę i również 19 stycznia br. umorzył postępowanie wyjaśniające. Dla każdego naukowca plagiat z angielskich artykułów jest w tym przypadku ewidentny. Jednak rzecznik dyscyplinarny w blasku prawa z czarnego zrobił białe. Trudno zrozumieć, dlaczego w tej sytuacji nie zareagował rektor Piotr Koszelnik. Co więcej, 9 listopada 2023 r. – przed zamknięciem i umorzeniem dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego – przyznał on mgr Urszuli Mentel 8 tys. zł nagrody rektorskiej za współautorstwo czterech wysokopunktowanych publikacji. Jak to wygląda teraz, kiedy w świetle nowych recenzji doktorskich okazało się, że plagiatów w dysertacji U. Mentel jest znacznie więcej niż początkowo sądzono?

Finał „Polowania na nieistniejącego plagiatora”

W grudniu 2023 r. w artykule *Polowanie na nieistniejącego plagiatora* ukazałem fakty leżące u podstawy zarzutów dr. Józefa Wieczorka z Krakowa, jakoby łódzki profesor pedago-

giki Bogusław Śliwerski popełnił plagiat, przywłaszczając sobie i podając się za autora jego grafiki „DR(h)ab.ina akademicka”. Wyrok lipcowy Sądu Okręgowego w Warszawie potwierdził, że Śliwerski, zamieszczając na swoim blogu dowcipną grafikę jako ilustrację do własnego tekstu, naruszył prawa autorskie J. Wieczorka, nie podając jego nazwiska i imienia jako autora rysunku, ale to nie był plagiat. Zobowiązano go do zamieszczenia przeprosin na blogu, co wykonał. Obaj adwersarze złożyli apelacje. Sędzia Jolanta de Heij-Kaplińska z VII Wydziału Gospodarczego i Własności Intelektualnej Sądu Apelacyjnego w Warszawie 31 stycznia 2024 r. zmieniła nieznacznie wyrok, korygując i łagodząc treść przeprosin. Brzmia one teraz tak: „Profesor Bogusław Śliwerski przeprasza dr. Józefa Wieczorka za naruszenie osobistego prawa autorskiego przez brak wymienienia twórcy i źródła rysunku o nazwie *DR(h)ab.ina akademicka* zamieszczonego 3 stycznia 2021 r. bez zgody na blogu pod adresem „Sliwerski pedagog. blogspot (...)”. Przeprosiny mają widnieć przez pięć dni, zamiast wcześniej nakazanych czternastu. Pozostałe żądania obydwu apelantów oddalono. Koszty apelacji sędziano na pozwanego. W obszernym 23-stronicowym uzasadnieniu sędzia jednak podkreśliła, że pozwany Śliwerski nie popełnił plagiatu, a powód Wieczorek ustalonym faktom błędnie przypisywał popełnienie plagiatu (pkt. 42 Uzasadnienia, str. 25). Mimo tych jasnych stwierdzeń, pełnomocnik dr. Wieczorka, radca prawny Andrzej Wołoszyn z Gliwic, złożył do Rady Doskonałości Naukowej ostre pismo, żądając pozbawienia Bogusława Śliwerskiego tytułu profesora, bo ten naruszył art. 115 Ustawy o Prawach Autorskich. Niewiarygodne, ale prawdziwe! Moim zdaniem, wyrok ten wymaga glossy i apeluję do znawców prawa autorskiego o jej sporządzenie. Artykuł 115 ma 3 punkty i przewinienie Śliwerskiego nie odpowiada żadnemu z nich.

Kończąc ten temat, chciałbym zauważyć, że dr Józef Wieczorek „w rewanżu” za mój głos w obronie niesłusznie atakowanego prof. B. Śliwerskiego, wylał w internecie wiele „słownych pomyj” zarówno na moją głowę („nierzetelny” Wroński), jak i na miesięcznik „Forum Akademickie”, w którym publikuję od ponad dwudziestu lat. Przeżyjemy to, podobnie jak inne ataki, których podczas tych lat było sporo, a zapewne będą kolejne.

Jak „zrobić” doktorat z medycyny na UWM

Zniesienie przez ministra Jarosława Gowina obowiązujących od wielu lat ostrych, dwuetapowych wymagań w stosunku do uczelni, które mogą nadać stopnie doktorskie, spowodowało wysyp kilkuset nowych jednostek, które już nadają lub mogą nadać doktoraty. Wcześniejsza ustawa wymagała, aby wniosek jednostki naukowej o prawa do doktoryzowania był najpierw oceniany przez Radę Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod kątem jakości i dojrzałości naukowej kadry akademickiej, a wymogiem było zatrudnienie przez jednostkę, która zamierzała nadać stopień doktora, co najmniej 12 samodzielnych nauczycieli akademickich, w tym 6 profesorów tytularnych. Gdy kilku pracowników było w wieku okołoemerytalnym, zgody z reguły nie udzielano, motywując to brakiem młodej, aktywnej i obiecującej kadry naukowej. Opinia Rady Głównej, wyważona i dobrze umotywowana, przekazywana była Centralnej Komisji, która powoływała dwóch recenzentów wniosku. Oni również

dokładnie oceniali możliwości rozwojowe jednostki w aspekcie badań naukowych i kadry. I dopiero te dwie, z reguły obiektywne opinie głosowało Prezydium Centralnej Komisji. Wiele wniosków z różnych jednostek nawet czołowych uczelni nie przechodziło. Co więcej, co 4-5 lat wykorzystanie tych uprawnień było kontrolowane. Dlatego po odkryciu, że przepychane są



Rys. Sławomir Makal

prace o niskiej jakości i słabej metodologii, uprawnienia bywały zawieszane lub cofane. Obecnie RDN nie ma żadnej możliwości kontroli jakości dysertacji doktorskich, nie mówiąc o cofaniu uprawnień do nadawania stopni naukowych.

W efekcie wprowadzonych przez min. Gowina znacznych ułatwień w przyznawaniu doktoratów i habilitacji istnieje dzisiaj

ponad 1000 dyscyplin w 261 podmiotach naukowych, którym w wyniku ewaluacji działalności naukowej nadano kategorię naukową „B+” lub wyższą. W ocenie jednostki nie kierowano się jakością (prestżem) kadry naukowej i liczbą młodych, samodzielnych nauczycieli akademickich, ale głównie liczbą punktów za publikacje naukowe. Taka kategoria upoważnia formalnie do prowadzenia przez jednostkę naukową szkoły doktorskiej i do nadawania doktoratów w procedurze ekstermistycznej osobom płacącym z własnej kieszeni po ok. 15-20 tysięcy złotych za przewód doktorski. Nie mam złudzeń, że jakość obronionych doktoratów drastycznie spadnie, a przecież już teraz nie jest najwyżej oceniana. Niedługo sytuacja wyglądać będzie tak jak obecnie z nadawaniem dyplomów MBA... Takich „doktorskich Collegiów Humanów” niedługo będzie kilka. Na dodatek nie ma już w Polsce prawnych możliwości kontroli poziomu doktoratów. Podobnie jak w przypadku pieniądza – bez kontroli słaba nauka zawsze wypiera dobrą.

Opis przypadku

Na dowód, jak łatwo można uzyskać stopień naukowy, przedstawiam przewód doktorski z nauk medycznych lek. med. Łukasza Jaśkiewicza, obroniony 30 marca 2023 roku na Wydziale Lekarskim (dziekan: dr hab. Leszek Gromadziński, prof. UWM) Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W art. 187 pkt. 3 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce sprecyzowano, jaki charakter może mieć doktorat. Napisano: „Rozprawę doktorską może stanowić praca pisemna, w tym monografia naukowa, zbiór opublikowanych i powiązanych tematycznie artykułów naukowych, (...) a także samodzielna i wyodrębniona część pracy zbiorowej”.

Dysertacja Ł. Jaśkiewicza (to nie jest monografia!) powstała w Katedrze Fizjologii i Patofizjologii Człowieka (kierownik: prof. Mariusz Krzysztof Majewski) i oparta jest na badaniach opublikowanych w cyklu prac naukowych. Jej tytuł to: *Lokalizacja i ekspresja akwaporyn (AQP) w raku niedrobnokomórkowym płuca w podtypie histologicznym: rak gruczołowy (Adenocarcinoma)*. Promotorem była dr hab. n. med. Agnieszka Skowrońska, profesor z tej Katedry (prodziekan ds. studenckich i kształcenia WL), a promotorem pomocniczym adiunkt, dr n. med. Ewa Lepiarczyk, która jest w trakcie przewodu habilitacyjnego. Godne uwagi, czego nikt nie chciał zauważyć, w tym przewodniczący Rady Dyscypliny Nauki Medyczne UWM, prof. dr hab. Marcin Mycko, który przyjął i prowadził przewód doktorski, jest to, że „zbiór artykułów naukowych” liczy w tym przypadku JEDEN 13-stronicowy artykuł. Opublikowano go w czasopiśmie „Journal of Clinical Medicine” (wysoki Impact Factor 4.96, data wydania 9 X 2022 r.). Tytuł artykułu to *Expression Profiles of AQP3 and AQP4 in Lung Adenocarcinoma Samples Generated via Bronchoscopic Biopsies*. Ma on aż 10 współautorów, zaś wartość wkładu intelektualnego Łukasza Jaśkiewicza, ustalona na podstawie oświadczeń współautorów, wynosi „aż” 55%. Ta praca, analizująca badania biopsyjne u pacjentów z rakiem płuca, stała się jedyną podstawą doktoratu.

Recenzentami 34-stronicowej dysertacji (omawiającej de facto wspomniany artykuł) byli: dr hab. Piotr Wierzbicki z Katedry i Zakładu Histologii Uniwersytetu Medycznego w Gdańsku, dr hab. n. med. Tadeusz



Przybyłowski z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Pneumonologii i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego oraz prof. dr hab. Bartosz Kempisty z Zakładu Anatomii Prawidłowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Wszystkie recenzje były pozytywne. Jedynie prof. Tadeusz Przybyłowski nieśmiało wyraził obiektywne: „Nie będę ukrywał, że pewien niedosyt budzi dysertacja oparta tylko na jednej pracy. Zdecydowanie częściej mam styczność z rozprawami doktorskimi zawierającymi cykl publikacji złożonych z prac oryginalnych oraz poglądowych”. Jego recenzja była najbardziej dokładna i krytyczna. Recenzent ten zauważył, że „Doktorant dołączył do tej części swojej rozprawy rycinę pochodzącą z pracy Yadav E. i wsp. opublikowanej w *Respiratory Medicine* w 2020 r., rycina opatrzona została komentarzem – modyfikacją, ale po dokładnej analizie oryginału i ryciny zamieszczonej w dysertacji poza brakiem ramki nie zauważyłem żadnej innej modyfikacji. Pojawia się zatem pytanie, czy Doktorant uzyskał zgodę wydawcy na wykorzystanie ryciny w swojej pracy doktorskiej?”. Podejrzewam, że nic takiego nie miało miejsca, bowiem zostałyby to zaznaczone w tekście pod ryciną. Ale kto by się dzisiaj przejmował takimi drobiazgami? Szkoda, że prof. Przybyłowski nie wyciągnął konsekwencji z faktu naruszenia prawa autorskiego, które sam zauważył i wyartykułował. Bez krytycyzmu nie ma porządnej nauki.

Zwracam się do Prezydium RDN o formalne podjęcie sprawy i wznowienie z urzędu tego doktoratu. Powinien zostać unieważniony. Takich rodzynek naukowych na Wydziale Lekarskim UWM jest więcej... Apeluję do rektora UWM, prof. Jerzego Przyborowskiego, o podjęcie kroków dyscyplinujących wobec osób, które zarówno naruszają prawo (np. promotorka doktoratu, prodziekan dr hab. Agnieszka Skowrońska, która zaaprobowała dysertację niespełniającą warunków ustawowych), jak i tych, co „nie dostrzegają” tych naruszeń (vide szef Rady Dyscypliny prof. Marcin Mycko). Takie sprawy uderzają w prestiż nie tylko Wydziału Lekarskiego, ale całego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Komentarz

Nierzetelny doktorat p. Urszuli Mentel ukazuje nieformalne powiązania, które wychodzą na światło dzienne przy okazji starań awansowych. Obnaża podstawowe braki w przygotowaniu doktorantów. Rzuca też cień na męża doktorantki, prof. Grzegorza Mentla, który już po pierwszym recenzyjnym ostrzeżeniu nie zauważył w „Opus Magnum” żony dalszych licznych tłumaczeń obcych tekstów, przytoczonych bez odpowiednich oznaczeń autorstwa. Z kolei umorzenie, a nie zamknięcie plagiatowego przewodu doktorskiego, bije w interes społeczny i jest objawem korupcji naukowej. Widzę jednak jasny punkt w tej ciemnej sprawie. Namawiam Czytelników do zapoznania się z nowymi recenzjami, które zostały upublicznione przez Uniwersytet Szczeciński dopiero 4 marca po mojej interwencji. Są one efektem rzeczywistego zaangażowania recenzentów w rzetelną analizę doktoratu i sprawdzenie detali rozprawy. Powinny posłużyć do szkolenia młodych, jeszcze niedoświadczonych, ale już samodzielnych pracowników naukowych, przyszłych recenzentów. Wyjaśniające postępowanie dyscyplinarne, które – moim zdaniem tylko pozornie – przebiegało na Politechnice Rzeszowskiej, kompromituje i powołanego przez rektora rzecznika dyscyplinarnego, i samą uczelnię. To wszystko działo się pod czujnym okiem rektora i na oczach całej uczelni. Niestety, obojętność na jaskrawe przypadki nierzetelności naukowej widzę obecnie prawie na wszystkich uczelniach, w tym tych „z ligi doskonałości”. Wstydu dziś nie mają już ani plagiatorzy, ani władze uczelni i ich organów...

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

Nierzetelny doktorat na UE w Poznaniu

W końcu września ubiegłego roku, do rektora poznańskiego Uniwersytetu Ekonomicznego, prof. Macieja Żukowskiego, trafiło pismo z konkretnymi zarzutami (było ich 29) naruszenia praw autorskich w dysertacji z 2014 r. Piotra Głowskiego (ur. 1967), wieloletniego prezydenta Piły. List podpisał p. Artur Łazowy, prezes miejscowego Stowarzyszenia Inicjatyw Społecznych EFFATA. Sprawa była o tyle „skomplikowana”, że był to najgorętszy okres przed zbliżającymi się wyborami do Sejmu, w których P. Głowski kandydował z 3 miejsca listy Koalicji Obywatelskiej w okręgu pilskim (nr 38). Kopia listu z zarzutami trafiła do kilkunastu redakcji w Polsce, w tym do lokalnych. Sprawa pojawiła się na łamach wielu gazet oraz innych mediów. Oskarżony o plagiat doktoratu kandydat na posła energicznie się bronił, podkreślając, że materiały zbierał kilka lat, a atak na niego ma podtekst polityczny.

Promotorem pracy zatytułowanej *Foresight subregionalny w sektorze turystyki na terenie Północnej Wielkopolski* był nieżyjący już dzisiaj prof. Kazimierz Pająk, pierwszy rektor PWSZ w Pile oraz kierownik Katedry Polityki Gospodarczej i Samorządowej UEP. Recenzentami byli profesorowie Jan Sikora oraz Roman Kisiel.

Sprawę przekazano do Rady Awansów Naukowych UEP (przewodnicząca: prof. Barbara Jankowska), która 17 listopada 2023 r. wszczęła administracyjne postępowanie unieważnieniowe, powołując trzyosobowy zespół roboczy (pod kierownictwem prof. Marzeny Remlein) do oceny i sprawdzenia zarzutów. Dokładne sprawozdanie zespołu wraz z konkordancją, potwierdzającą większość zarzutów, trafiło 8 marca 2024 na posiedzenie Rady Awansów Naukowych UEP. Rada je przyjęła i zdecydowała posłać sprawozdanie obu żyjącym recenzentom celem otrzymania ich opinii, która jednak formalnie nie jest wymagana.

Czego zabrakło? Powołania dwóch biegłych recenzentów, którzy mając obecne materiały, muszą przygotować niezależne opinie. To właśnie na ich podstawie Rada ewentualnie unieważni cały przewód doktorski. Pozbawi to posła X kadencji, Piotra Głowskiego, literek „dr” przed nazwiskiem. Niestety to długa, kilkuletnia procedura ze względu na liczne możliwości odwoławcze. Będziemy śledzić tę sprawę jak zwykle z uwagą.

Marek Wroński

Łukasz Wolański

Przemyślana ankietyzacja ma sens

Choć nawet wtedy jest jedynie leczeniem objawowym poważniejszej choroby

Nierzadko pierwszy rzut oka na program kształcenia na danym kierunku już pozwala stwierdzić: autor programu nie zna współczesnego programu nauczania w szkołach średnich i co najwyżej bazuje na swoich młodzieńczych wspomnieniach. Dlatego wielu początkujących studentów doświadcza przepaści między tym, czego uczyli się w szkołach średnich (będąc niekiedy świetnymi uczniami), i tym, od czego zaczyna się naukę na studiach.

Zdecydowana większość profesorskich debat na temat rozwoju uczelni akademickich skupia się na dwóch aspektach – budowaniu ich potencjału naukowego oraz kształtowaniu niezależności i autonomii akademii. Choć uniwersytet wznosi się na różnorodnych fundamentach, są pośród nich dwa kluczowe, stanowiące *conditio sine qua non* jego istnienia: studia i studenci. A jednak z jakichś powodów od lat ów oczywisty i bezdyskusyjny fakt w uczelnianych murach i pośród akademickiej socjety zdaje się funkcjonować głównie na zasadzie legendy, dzisiaj raczej zapomnianej, a w ogóle nie wiadomo, czy kiedykolwiek prawdziwej. Nie dziwi więc choćby konstatacja Profesora Lajkonika („Nagrywałem studenta”, FA 7-8/2019), że w naszej post-socjalistycznej mentalności student to niestety jedynie wciąż najsłabsze, właściwie nieważne ogniwo systemu reformowanego przez zajętych nauką profesorów. A przecież uniwersytet to nie samodzielny instytut badawczy ani dział B+R przemysłowego koncernu. To miejsce, w którym działalność badawczą prowadzi się przede wszystkim po to, by móc oferować studentom, doktorantom i młodszym pracownikom nauki możliwość akademickiego kształcenia na najwyższym dostępnym poziomie, w tym dając możliwość bezpośredniego poznania najnowszych metod badawczych oraz najnowocześniejszych światowych odkryć i trendów. Dążenie do tego celu możliwe jest jedynie poprzez jednoczesne i równomierne podnoszenie efektywności pracy naukowej oraz ciągle doskonalenie efektywności procesu dydaktycznego. Oba wymagają realizowanej „na poważnie” ewaluacji.

Niestety życie uczelniane w niektórych swoich sferach potrafi wykazywać bardzo wysoką odporność na kolejne dawki nowych idei, pomysłów i reform. W efekcie od niepamiętnych

już czasów prowadzenie zajęć ze studentami to dla niejednego nauczyciela akademickiego wciąż niepożądany, realizowany przymusowo (a więc niechętnie) element na liście zawodowych obowiązków. To czasochłonna obligacja, utrudniająca skupienie się na pracy badawczej. Ale czy można się dziwić, że krótki więcej czasu spędzają po tej stronie klatki, po której serwuje się im dorodniejsze i smaczniejsze marchewki? Przecież okresowa ocena nauczycieli akademickich w grupie pracowników badawczo-dydaktycznych praktycznie na każdej uczelni znacznie poważniej traktuje i dużo wyżej stawia oczekiwania w odniesieniu do aktywności badawczej niż dydaktycznej pracownika. Nie ludzie więc tworzą problem, a raczej system deformuje ludzi.

Jeżeli za jedną z prerogatyw akademickości uznaje się (zresztą słusznie) szeroką autonomię akademii, jej społeczność musi być zdolna do efektywnego i przynoszącego każdej ze stron optymalne profity samorządzenia się. Cel ten zaś można osiągnąć jedynie wtedy, gdy wszystkie grupy współtworzące ową społeczność potrafią efektywnie wyrażać swoje potrzeby, opinie i oceny oraz mają poczucie partnerskiego współdziałania z resztą. Studenci muszą więc zostać potraktowani poważnie i wysłuchani. I tu leży główny problem.

Trzecia kwestia jest skomplikowana

Tocząca się wokół ankiet dyskusja sprowadza się właściwie do rozważenia trzech kwestii. Czy student powinien mieć możliwość oceny programu danego przedmiotu z planu swoich studiów (i w efekcie również – ekstrapolując – całego programu studiów)? Czy powinien móc oceniać to, jak konkretny wykładowca owe zajęcia prowadzi? I ostatecznie, czy ankiety mogą

być adekwatnym narzędziem do skutecznego i sprawiedliwego oceniania? O ile nie mam wątpliwości, że jedynie słuszny klucz odpowiedzi na pierwsze dwa pytania to dwa razy „tak” (wszak stanowisko przeciwne byłoby swoistym gwałtem na wolności akademickiej, która dotyczy całej społeczności i pozwala każdemu otwarcie wypowiadać się na temat pracy innej), o tyle trzecia kwestia jest nieco bardziej skomplikowana.

Zatrzymajmy się na chwilę przy sprawach oczywistych. Zatwierdzanie programu kształcenia zarówno na studiach, jak i w szkole doktorskiej dokonuje się uchwałą kompetentnego gremium (rada uczelni, senat, rada kierunku etc.). Jej podjęcie, zgodnie z prawem, wymaga uprzedniego formalnego zasięgnięcia opinii (a przynajmniej podjęcia jej próby) odpowiedniego organu samorządu studenckiego lub doktoranckiego. Już ustawodawca jest przekonany, że studenci in gremio nie tylko są upoważnieni, co wręcz zobligowani (choć bez znaczniejszej sankcji w przypadku niewywiązania się z tego obowiązku) wyrażać swoje zdanie w kwestii oferowanego im programu studiów. W praktyce różnie bywa z realizacją powyższego obowiązku. A szereg wad jak trapił, tak i trapi programy studiów. Są one zresztą nieodmiennie dobrze znane studentom, choćby nawet były przez nich nie w pełni profesjonalnie nazywane.

Nierzadko pierwszy rzut oka na program kształcenia na danym kierunku już pozwala stwierdzić: autor programu nie zna współczesnego programu nauczania w szkołach średnich i co najwyżej bazuje na swoich młodzieńczych wspomnieniach. Dlatego wielu początkujących studentów doświadcza przepaści między tym, czego uczyli się w szkołach średnich (będąc niekiedy świetnymi uczniami), i tym, od czego zaczyna się naukę na studiach. Jeśli różnica jest dotkliwa nawet dla bardzo dobrego abiturienta, to problem jest systemowy. Rzadziej zdarza się, że przedmioty początkowe na studiach powielają wiedzę licealną. To również źle. Dalej, niejednokrotnie układający program studiów II stopnia ograniczają się do porównania go z analogicznym dla studiów I stopnia jedynie na własnym wydziale. W efekcie student ukończywszy kierunek X na jednej uczelni na poziomie licencjackim, kontynuując go na tym samym kierunku uczelni Y ze zdumieniem odkrywa, że będzie kilku przedmiotów uczył się „jeszcze raz”. Dlaczego? Bo tak pasowało do tabelki, w której nie chodzi wcale o stworzenie spójnego programu, ale zaplanowanie pensum dydaktycznego określonym pracownikom, a nawet niekiedy efektywne wykorzystanie sal wykładowych. Studentów w tabelce nie ma. Nie ma więc również równomiernego rozłożenia trudniejszych egzaminów pomiędzy poszczególne semestry, prawidłowego uszeregowania przedmiotów, dzięki któremu przedmiot poprzedzający (prerekwizyt) przygotowywałby do następującego po nim. Klasyycznym przykładem jest tu kwestia rozdzielenia jednego przedmiotu na różne zajęcia: wykład, ćwiczenia/konwersatorium i/lub laboratorium. Logiczne wydaje się, by wykład z przedmiotu X, mający głównie teoretyczny charakter, odbył się w semestrze poprzedzającym realizację ćwiczeń czy laboratoriów, w trakcie których wiedza teoretyczna zostanie zastosowana praktycznie. Zazwyczaj zaś jest odwrotnie. Zaliczyć pozytywnie ćwiczenia i laboratoria należy przed zaliczeniem egzaminu, gdyż ten zdawany w sesji odbywa się już po końcowosemestralnych zaliczeniach. Nierzadko nawet uzyskanie zaliczenia z form aktywnych warunkuje możliwość przystąpienia do egzaminu. I choć jest to zupełnie nielogiczne, wynika z tradycji i konserwacji akademickiej hierarchii. Wykład prowadzi zwykle bardziej dystyngowany nauczyciel akademicki niż jakieś tam ćwiczenia czy laboratoria. A to przecież niedopuszczalne, żeby doktorant dawał wpis po profesorze.

Ktoś powie: studia mają uczyć samodzielności. I uczą. Ale ten slogan nie może być wytrychem zaklejania studenckimi

Aż się prosi o wprowadzenie powszechnego obowiązku wywieszania na każdym wydziale wielkiego wskaźnika procentowego, określającego odsetek absolwentów danego kierunku, którzy po roku i po pięciu latach od ukończenia studiów pracowaliby w zawodzie zgodnym z ukończonym kierunkiem. Ot taka „kategoryzacja dydaktyczna”.

dłoimi uczelnianych niedoróbek. Praktycznie każdy student zapytany o swoje studia bez problemu wskaże kilka przedmiotów, które byłyby przydatne, a w planie studiów ich brak. Oczywiście znajdą się i takie, które powszechnie są uznawane przez studentów za zbędne czy archaiczne. Aż dziw, że „przypadkiem” wydział znalazł kompetentne osoby do ich prowadzenia. No, chyba że nie szukano wykładowców do przedmiotów, a stworzono przedmiot dla wykładowcy. No i zawsze zastanawiało mnie jedno: czy wykładowcy ze sobą rozmawiają? Czy zdają sobie sprawę, że nierzadko to samo jest wałkowane trzy razy na różnych przedmiotach? Czegoś innego zaś nie było wcale, choć raz po raz wraca jak refren: „Jak to? Państwo tego jeszcze nie mieli?”

Popularnym ostatnio grzechem jest też tworzenie programów – humbugów. Na przykład wystarczy nieco odświeżyć starą, nudną chemię analityczną, by drzwiami i oknami walili chętni na nowe studia – chemii kryminalistycznej. Wszystko niemalże daje się też zmieszać z informatyką czy ekonomią, dając coraz ciekawsze nazwy kierunków studiów.

Szukano takich, którzy dobrze uczą

Do dzisiaj na jakości studiów odbija się w końcu to, jak niegdyś potraktowano wprowadzanie w Polsce systemu punktów ECTS. Jeśli na semestr przypada 30 punktów ECTS, każdy zaś z nich oznacza około 25-30 godzin całkowitego nakładu pracy studenta w semestrze, to uwzględniając jego 15-16-tygodniowy bieg, studia powinny zajmować studentowi średnio 53 godziny tygodniowo (zajęcia zorganizowane i praca własna łącznie). To jak to się dzieje, że niektórzy studiują na dwóch, a nawet trzech kierunkach studiów stacjonarnych jednocześnie? A jak z kolei obliczono owe 30 punktów na semestr na studiach niestacjonarnych, skoro ich uczestnicy zwykle bez problemu godzą się z pełnoetatową pracą zawodową (zwykle 40 godzin tygodniowo)? Polska to jeden z niewielu krajów, w których można uzyskać dyplom z identycznym tytułem zawodowym na studiach „dziennych” i „zaocznych” w tyle samo lat. Nie traktujemy tych narzędzi poważnie, a papier po prostu wszystko przyjmie. Tabelki i przelewy się zgadzają. Sapienti sat.

Zanim przejdę do kwestii ankietowego oceniania samych pracowników i tego, jak prowadzą zajęcia, chciałbym jeszcze wspomnieć dwie interesujące praktyki, które funkcjonowały w trakcie moich studiów na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Za tzw. moich czasów (studia 2004-2009) po przyjęciu na studia każdy otrzymywał gotowy plan zajęć na pierwszy semestr. Jednak już od drugiego semestru na każde zajęcia należało się zapisać samemu. Rozkład zajęć wskazywał, na jakie przedmioty należy się zapisać. Kolejność prawa do zapisów zależała zaś od wyniku rekrutacyjnego albo średniej ważonej ocen sprzed dwóch semestrów (czyli przy zapisach na III semestr od średniej z I semestru itd.). Choć wydział prowadził kilka kierunków, to z racji ich podobieństwa często na pierwszym i drugim roku pewne przedmioty podstawowe i wydziałowe odbywały się dla nich wszystkich. Wykład z podstaw chemii nieorganicznej prowadzony był przez kilku profesorów w kilku równoległych potokach. Odpowiednie ćwiczenia z chemii nieorganicznej odbywały się zaś w co naj-

mniej kilkudziesięciu grupach. Co jednak kluczowe, zaliczenie zarówno tych ćwiczeń, jak i egzamin z tych wykładów miały charakter „centralny”, tj. były wspólne dla osób ze wszystkich grup. Prowadzący ćwiczenia jedynie do zaliczenia dopuszczał na podstawie obecności. Uczył, ale nie oceniał. To powodowało, że przy zapisach żaden student nie szukał prowadzącego, u którego jest łatwo, który nie wymaga czy opowiada dowcipy. Wręcz przeciwnie, szukano takich, którzy dobrze uczą, wymagają i przez to dają gwarancję porządnego przygotowania do końcowego zaliczenia czy egzaminu. Już wtedy istniało będące oddolną inicjatywą studencką forum polwro, na którym studenci pisali opinie o prowadzących. A ich duża liczba czyniła je wiarygodnymi. Wielu zresztą prowadzących chętnie czytało opinie o sobie i brało wiele uwag do serca. Forum to istnieje do dzisiaj i cieszy się sporym zainteresowaniem. Jak to jest, że ci sami studenci, którzy nie chcieli wypełniać prostych anonimowych ankiet, potrafili pisać celne elaboraty krytyczne lub pochwalne na temat prowadzących?

Gdy moje studia zbliżały się do końca, a ja powoli żegnałem się z działalnością samorządową, na wydziale pojawił się znany z innych wydziałów zwyczaj prowadzenia tzw. narady posesyjnej. Była ona okazją do przekazania przez studentów opinii z minionego semestru władzom wydziału. Forma bywała różna. Zwykle jednak w jednej z największych sal wykładowych

zbierali się chętni studenci i przekazywali wszystkie pochwały i załe przedstawicielowi samorządu, który następnie jako gość na posiedzeniu kolegium dziekańskiego referował je władzom (uprzednio, z troski o wizerunek studenckiego stanu, odfiltrowawszy co głębsze uwagi i zarzuty). Zwykle się okazywało, że rozsądne obserwacje studenckie są bliskie dziekańskim. A problemy znane obustronnie. Tylko trzeba było impulsu, aby coś z nimi zrobić.

Oczywiście nie każdy wydział ma charakterystykę pozwalającą na praktykowanie powyższych schematów. Ale nie one są tu kluczowe, a fakt, że studenci są zdolni do wyrażania ocen dotyczących zarówno toku studiów, jak i konkretnych prowadzących. Gdy świat wokół nich skonstruowany jest tak, by wybory miały charakter projakościowy, natychmiast wskazują osoby najrzetelniej uczące.

Dlaczego jednak zwrotność ankiet studenckich jest dzisiaj tak niewielka, a dobrowolnie pisane opinie na polwro byłyby i zapewne nadal są wręcz masowe? Aby studenci brali udział w procesie oceny programu studiów i samych wykładowców, muszą być spełnione trzy warunki. Po pierwsze, student musi mieć poczucie bezpieczeństwa, że merytoryczna krytyka będzie doceniona jako wkład na rzecz społeczności, a nie atak personalny na kogokolwiek. Po drugie, sama forma ankietyzacji musi być poważna, pozwalająca na wyrażenie ważnych obserwacji,



rys. Sławomir Makal

a nie służąca jedynie „odbębnienu” przykrego obowiązku nałożonego na uczelnię. W końcu pozostaje jako ostatnie poczucie sprawstwa. Jeśli od dłuższego czasu studenci w ankietach wskazują na określony, ich zdaniem ważny problem z danym przedmiotem, a mimo to nic się nie zmienia, to następnym razem nie poświęcą ankiecie czasu. Pragmatyzm młodszych pokoleń jest tu bezłitosny.

Opinie na polwro miały bardzo konkretne skutki. Były nazwiska i grupy, które zapełniały się studentami w sekundę po otwarciu zapisów. Były też i takie szeroko omijane. Gdy te ostatnie u danego prowadzącego kolejny raz zostawały puste, był to w końcu powód do rozmowy z przełożonym. Rzadko, ale zdarzały się transfery na stanowiska naukowe lub techniczne bez obowiązków dydaktycznych a niekiedy nawet odejścia „za obopólną zgodą”. Byli też i tacy, którzy przełknawszy gorzką pigułkę studenckiej krytyki, zaczęli pracować nad sposobem prowadzenia swoich zajęć i powoli normalizowali swój status. A więc się da!

Kogo studenci omijali?

„Smutnych gburów”, których pokrętne tłumaczenia przyciszonym głosem trudno było zrozumieć; „profesorów-lektorów”, których wykłady sprowadzały się do odczytywania strona po stronie skryptu lub podręcznika; „pospiesznych biznesmenów”, którzy spóźnieni i nieprzygotowani wpadali na swoje zajęcia, na których realizowali przypadkowe treści, nierzadko komentując, ile to obecnie czasu zajmuje prowadzenie firmy, która kiedyś da studentom pracę. Zwykle powód był obiektywny, a był nim brak umiejętności metodyczno-dydaktycznych. Bowiemy na uczelniach błędnie się zakłada, że jeśli ktoś coś umie, to będzie potrafił przekazać. A nawet jeśli nie, to wracają słowa refrenu akademickiego hymnu „student ma się uczyć sam”.

Dobrnawszy do tego momentu, Czytelnik może mieć poczucie pewnego rozczarowania sporą liczbą oczywistych, acz przytoczonych tu dla pewnego porządku faktów. Z pewnością też zadaje sobie pytanie, jaki to wszystko ma związek z ankietami studenckimi? Otóż w dyskusjach na łamach FA padło już wiele

komentarzy wskazujących na, ogólnie mówiąc, niedoskonałości procesu ankietowej oceny przedmiotów oraz prowadzących. Pojawiły się próby wskazywania powodów tego stanu rzeczy. Ja chciałbym jednak dokonać pewnych wykluczeń i wskazać, że z pewnością do powodów nie zaliczają się sami studenci. Jeśli gdzieś lokalnie towarzyszą im niewłaściwe motywacje, to dlatego, że sama organizacja studiów nie promuje postaw projałkowskich. Jeśli ankiety są nieskuteczne, to dlatego, że mają nieadekwatną formę albo ich wynik pozostaje bez jakiegokolwiek wpływu na wydziałową rzeczywistość. I nie chodzi tylko o karanie, ale również docenianie najlepszych.

Finalnie trudno powiedzieć, czy fiasko studenckich ankiet jest dla akademii złe, czy dobre. Wszak same ankiety to tylko słabej jakości ersatz środowiskowej międzystanowej dyskusji na temat uprawiania nauki i prowadzenia zajęć dydaktycznych, która powinna odbywać się systematycznie na każdym wydziale. Otwarcie, twarzą w twarz. A jeśli konkretni studenci mieliby obawy, to odpowiednich zadań powinni się podjąć ich przedstawiciele, otwarcie wyrażając opinie o wszystkim i wszystkich na wydziale. Oczywiście wymaga to równocześnie otwartości na pewną krytykę „zwrotną”. Czy kiedykolwiek jednak stać nas będzie na taką dojrzałość i otwarcie? Trudno powiedzieć. Kluczowe, by system organizacji każdej akademii promował inicjatywy projałkowskie. Zarówno wśród kadry, jak i studentów. Ruchy bierki na szachownicy zależą nie tylko od graczy, ale przede wszystkim od samych zasad danej zabawy.

Jedno jest pewne. Jeśli zabraknie w akademii miejsca na głos studentów, głosować będą ich nogi, dokonując innego wyboru miejsca studiów. System boloński, który podzielił studia magisterskie na dwa stopnie, był przełomem. Na niektórych wydziałach po raz pierwszy posypały się czerwone kartki, spośród rzesz absolwentów studiów I stopnia niewielu pozostało na studiach II stopnia. Czy akademicy oczekują powtórkę?

Dr inż. Łukasz Wolański, chemik, adiunkt badawczy w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego. Z zamiłowania nauczyciel.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2024 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2024 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł; prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok i 90 zł za pół roku.

Redakcja



Rozmowa z prof. Sławomirem Kuszczakiem, kierownikiem Pracowni Rysunku Anatomicznego na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu

Siła gestu

Opanowanie procesu rysowania jest trudne i wymaga czasu, gdyż nasz mózg raczej chce „wiedzieć”, niż świadomie „widzieć”.

Jakie, pana zdaniem, powinno być miejsce rysunku anatomicznego na uczelni artystycznej?

Odpowiadając jednym słowem: ważne. Na początku należy jednak wyjaśnić, czym jest obecnie rysunek anatomiczny. Jest to realistyczne, rysunkowe studium z natury, wykonane na płaszczyźnie i najczęściej realizowane tradycyjnymi technikami rysunkowymi. Nazwa „rysunek anatomiczny” zaproponowana w Katedrze Rysunku poznańskiej uczelni na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku funkcjonuje do dziś, choć nie jest zbyt szczęśliwa, szczególnie teraz, kiedy wykłady teoretyczne z anatomii człowieka w programach studiów zostały znacząco ograniczone. W Niemczech podobne działania określa się jako „rysunek z aktu”. Zasadniczo rysunek powinien być traktowany przez prowadzących pracownie rysunkowe jako wypowiedź autonomiczna. Równocześnie trzeba pamiętać, że rysunek odgrywa bardzo ważną rolę w budowaniu świadomości wizualnej studentów, którzy obecnie coraz częściej zaczynają swoją edukację od jej zerowego poziomu. Z rysunkiem anatomicznym jest trochę tak, jak z nauką algebry dla matematyka – jej znajomość jest konieczna, by być wykształconym.

W jakim więc zakresie ten przedmiot powinien być prowadzony?

Zanim odpowiem na to pytanie, proszę zwrócić uwagę, że współcześnie twórczość artystyczna, która zasadza się na realizmie, znajomości anatomii, studiowaniu natury, powoli staje się efemeryczna. Świat Sztuki pasjonuje się czymś innym. I to jest bardzo dobra sytuacja dla mnie i dla kierowanej przeze mnie Pracowni Rysunku Anatomicznego, gdyż proces kształcenia studenta w pracowni jest neutralny, niezależny od mody i artystycznych tendencji. Tym samym daję wolność wyboru i decyzji. Taką niezależną formę edukacji postulowali twórcy Bauhausu już ponad sto lat temu. W mojej pracowni – mówiąc najprościej – studenci przekładają naturę, postrzeganą w 3D, na obraz 2D, tak powstaje rysunek, który powinien być świadomie zakomponowany i zrytmizowany. W żartach mówię studentom, że muszą się nauczyć dobrze kłamać wizualnie. I teraz, odpowiadając na pytanie: opisany powyżej prosty proces kształcenia wymaga w realizacji czasu i doświadczenia. Sprawdza się w pełni stare powiedzenie: „ćwiczenie czyni mistrza”, więc byłoby dobrze, by każdy student spędzał około sześciu godzin tygodniowo w pracowniach rysunkowych przez wszystkie lata studiów. Tu wchodzimy w realia kształ-

cenia przyszłych artystów. Mój ulubieniec Johannes Itten, malarz i wykładowca Bauhausu, który miał także wyższe wykształcenie pedagogiczne, dostosowywał program kształcenia do potrzeb poszczególnych studentów, stosując analizę psychologiczno-pedagogiczną. Wyodrębnił trzy pierwiastki: racjonalny, empiryczny i ekspresyjny, które są zakorzenione w każdej osobowości, ale w różnych proporcjach, przeważnie jeden z nich dominuje. Sztuka kształcenia polega według niego na określeniu tych proporcji i – co za tym idzie – predyspozycji studenta, a potem na zastosowaniu odpowiedniego procesu kształcenia.

Nielatwa sprawa, wykładowca musi być wymienionym psychologiem.

Przede wszystkim dydaktykiem. Kształcenie w zakresie rysunku studyjnego wydaje się takie proste, wystarczy ustawić modela. Rysowanie z natury polega na tym, że rysuje się to, co się widzi, co ma się przed sobą. Zakres podstawowych sprawności i wykorzystywanych narzędzi jest w zasięgu praktycznie każdej osoby, nie tylko tej utalentowanej, gdyż rysować można właściwie wszystkim. Problem jest inny: trzeba wiedzieć, co się rysuje, należy świadomie postrzegać rzeczywistość, później wprowadzić tak uzyskane dane do świadomości, wyobrazić sobie to, co chcemy narysować i na koniec stworzyć dwuwymiarowy obraz, którego przestrzeń i materia będą, tam gdzie tego zechcemy, iluzoryczne. Opanowanie tego procesu jest trudne i wymaga czasu, gdyż nasz mózg raczej chce „wiedzieć”, niż świadomie „widzieć”. Oczywiście cały ten proces różnicują i modyfikują indywidualne predyspozycje studentów, a do tego jedną z najtrudniejszych form rysunkowych studiów z natury jest rysowanie ludzkiej postaci. Ludzkie ciało ma skomplikowaną formę i człowiek jako temat wywołuje w nas, ludziach, dużo emocji. Jeśli jednak świadomie i z sukcesem przeprowadzimy realistyczne rysunkowe studium z natury, to można stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że nic co rysunkowe nie będzie nam już straszne ani obce. Dopiero wówczas będzie można podjąć świadomą decyzję nawet o odrzuceniu takiego sposobu rysowania.

Próby zmniejszenia liczby godzin przeznaczonych na uczelniach artystycznych na rysunek wiążą się zapewne z ekspansją nowych technologii. Pewne czynności, które projektant niegdyś wykonywał ręcznie, obecnie może wykonać w sposób skrótowy, za

pomocą programów wspierających projektowanie. Algorytm wypiera powoli gest rysownika...

Ten proces obserwuję od wielu lat, dotyka on jednak problemu ekskluzywności i jakości wykształcenia. Nawiążę do moich obserwacji i doświadczeń, których dokonywałem, włączając się po uczelniach Europy Środkowej i Zachodniej. W 2001 roku wyjechałem na stypendium dydaktyczne do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Brunszwiku. Gdy zaprezentowałem prace moich studentów z Polski, Ute Helmbolt, dziekan Wydziału Komunikacji Wizualnej, poprosiła, abym zrobił dwie rzeczy: poprowadził samodzielnie zajęcia z rysunku z jej studentami i pokazał koledze, który w Brunszwiku wykładał rysunek, jak ją prowadzę zajęcia w Polsce. Chciała żebym trochę „ustawił” jego program nauczania. Zacząłem wspólnie z tym wykładowcą robić korekty. W trakcie tych działań analizowałem pracę studentki z grafiki, która na dużej kartce narysowała małą, nieproporcjonalną postać. Szokujący był nie tylko niski poziom rysunku, ale i to, że dziewczyna studiowała już na czwartym roku i niebawem miała robić dyplom. Poziom świadomości rysunkowej ówczesnych studentów poznańskiej ASP był radykalnie wyższy. Przypadek tej studentki bardzo mnie zainteresował, próbowałem się dowiedzieć, w jaki sposób znalazła się na czwartym roku.

Jak w ogóle dostała się na studia?

Właśnie, u nas taka osoba nie zdałaby egzaminu wstępnego. Mówię: „Poradzimy sobie z twoim rysowaniem, ale jak to jest możliwe, że rysujesz jak rysujesz? Sama przecież widzisz, że to nie jest doskonałe?”. Ona na to: „...a bo my wszystko robimy na komputerze, w różnych programach i ja posługuję się też kolorem”. Czyli studentka z Niemiec posługiwała się gotowym, wykreowanym obrazem 2D, którego nie była autorką. Dziś to zjawisko się nasila, można nie mieć świadomości, jak zbudować na płaszczyźnie iluzoryczne przedstawienie trójwymiarowej formy, np. ludzkiego ciała, i funkcjonować jako student uczelni artystycznej. I dotyczy to nie tylko kierunków projektowych. Proszę zwrócić uwagę, że we współczesnym malarstwie często mamy do czynienia z powtórzeniem już istniejących

obrazów, wyprodukowanych przez różnego rodzaju zaprogramowane automaty, które my tylko obsługujemy. Takie obrazy mają swoje korzenie w fotografii.

To zjawisko sięga jeszcze amerykańskiego hiperrealizmu, a nawet używanej już przed wiekami camera obscura.

Oczywiście tak, przed laty pojawiło się opracowanie Davida Hockneya pt. *Wiedza tajemna...*, w którym opisuje różnego rodzaju przyrządy optyczne wykorzystywane przez malarzy. Jednak stworzenie w oparciu o własną wyobraźnię dwuwymiarowego obrazu, który tworzy iluzję trzeciego wymiaru, jest zupełnie czymś innym niż przekopiowanie już istniejącego dwuwymiarowego obrazu na drugi obraz dwuwymiarowy. Ten drugi, inny proces kreacji odbywa się bez podstawowych elementów świadomości wizualnej i możliwości twórczych.

Wracając do pana doświadczeń, czy umiejętności, jakie uzyskał pan w czasie studiów, wynikały m.in. ze szczególnego docenienia rysunku w poznańskiej uczelni, zwłaszcza po reformie przeprowadzonej przez rektora, prof. Jarosława Kozłowskiego?

Reforma dotyczyła całej uczelni, która w latach moich studiów (1985-1990) jawiła mi się jako oaza europejskości i jakości kształcenia. Skupmy się jednak na rysunku. Przed reformą w poznańskiej PWSSP pracownie rysunku, tak jak w innych tego typu uczelniach, były przypisane do poszczególnych wydziałów. Reforma polegała na otwarciu pracowni na wszystkich studentów, którzy odtąd mieli możliwość wyboru. Prof. Jarosław Kozłowski był ważnym bohaterem początku mojej kariery dydaktycznej. Po rozpoczęciu pracy w PWSSP w Poznaniu, gdy powierzono mi prowadzenie ćwiczeń z rysunku anatomicznego, dyskutowałem z prof. Kozłowskim nad sensem tego rodzaju zajęć. On był im przeciwny. Był to wielki i bardzo ciekawy spór o rysunek, który zainspirował mnie do odwiedzenia innych uczelni, gdyż chciałem zobaczyć, jak rysunek jest wykładany gdzie indziej. Po raz pierwszy wyjechałem do Szkoły Sztuk Pięknych w Berlinie, później była Szkoła Sztuk Plastycz-



Prof. Sławomir Kuszczak i student Bartosz Zarzycki, Wydział Artystyczny Uniwersytetu Zachodnich Czech w Pilźnie, odbiór II Nagrody im. Eгона Schiele



Wystawa końcoworoczna w Pracowni Rysunku Anatomicznego

nych w Brunzowiku, Akademia Sztuk Pięknych oraz Akademia Architektury i Designu w Pradze, Uniwersytet w Pilźnie, Akademia Sztuk Pięknych w Bratysławie i tak dalej.

Jaki charakter miały te wyjazdy?

To były różnego rodzaju stypendia dydaktyczne, w czasie których poznałem wielu wspaniałych wykładowców i mogłem zobaczyć, jak na różnych uczelniach kształcą się studenci w zakresie rysunku.

A jaka konkluzja?

O ho ho! Książkę można by napisać!

Domyślam się... Czy znalazł pan odpowiedź na wątpliwości zgłaszane przez prof. Kozłowskiego?

Prof. Jarosław Kozłowski z czasem chyba zaakceptował to, co robię. Zresztą zawarłem się, włożyłem dużo wysiłku w opracowanie skutecznej i prostej metodologii i programu nauczania czegoś, co u nas jest nazywane rysunkiem anatomicznym, a co jest po prostu realistycznym studium rysunkowym z natury. Przez kilka lat spod mojej ręki wychodził cały pierwszy rok uczelni, w szczytowym momencie w sześciu grupach miałem 161 studentów, a że jestem człowiekiem zawziętym, więc nie wyobrażałem sobie, żeby poziom nauczania mógł się obniżyć, nawet w tak ekstremalnej sytuacji. Potem obowiązek prowadzenia tych zagadnień rysunkowych został podzielony na wszystkie pracownie rysunku, a ja zacząłem prowadzić Pracownię Rysunku Anatomicznego jako otwartą dla studentów wszystkich lat. Teraz kształcę około czterdziestu studentów rocznie.

Rozmawiałam przed laty z prof. Jarosławem Kozłowskim, który stwierdził, że nie wszystkie pracownie kultuwają model rysunku oparty na studium postaci czy układów przestrzennych. Są pracownie bardziej konceptualne, w których nie definiuje się wyraźnie granic rysunku.

Owszem, był taki czas, kiedy efekty kształcenia, które ma zapewnić pracownia rysunku, nie były tak drobiazgowo

określone jak obecnie, było więcej miejsca na dydaktyczną indywidualność. Na początku lat dziewięćdziesiątych pracownie rysunku były nieformalnie podzielone na te tradycyjne, gdzie się rysowało, i konceptualne, w których nie było sztalug. Oczywiście to żart, bo we wszystkich pracowniach kształcono w zakresie rysunku i robiono to dobrze, choć w różny sposób. Ale spór o rysunek, spór o program kształcenia w zakresie rysunku istniał i kształtował mnie jako pedagoga. W pewnym momencie się okazało, że te dwie opcje, dwie wizje rysunku ze sobą współgrają, uzupełniają się. Są dwiema stronami tego samego medalu. Obecnie podobne spory nie istnieją, to, co było kilkadziesiąt lat temu uznane za awangardę, zostało już zakademizowane. Ten sam proces dotyczy zresztą wszystkich najnowszych tendencji pojawiających się w sztuce. Jest codziennością, że osoby studiujące w tym samym czasie realizują prace konceptualne, studyjne, abstrakcyjne, multimedialne. Wspomnę jeszcze o przemożnym działaniu Unii Europejskiej. Rozmawiając z pedagogami z Hiszpanii, Niemiec, Republiki Czech czy Słowacji, dowiaduję się, że wszędzie panują podobne zasady, wszyscy wypełniamy te same tabelki i dostajemy te same punkty. Tak naprawdę jedynym bardzo niezależnym podmiotem, który może robić jeżeli nie wszystko, to na pewno bardzo dużo, jest student. Byle tylko zdał sobie z tego sprawę i te możliwości wykorzystał. Współczesność chyba bardziej dyktuje konsolidację idei rysowania, akceptację wszelkich form poszukiwań w obszarze rysunku niż szukanie różnic albo wartościowania. Może jest to zwarcie szeregów w obliczu zagrożenia, którego aktualnym emblematem jest sztuczna inteligencja, eliminująca potrzebę twórczego bycia podmiotu.

Czy uważa pan, że sztuczna inteligencja może zagrozić rysunkowi?

W odpowiedzi posłużę się myślą Vilema Flussera, wspaniałego filozofa, który badał fotografię. Określał on fotografa jako operatora zaprogramowanego automatu – aparatu fotograficznego, który powołuje do życia obrazy fotograficzne. Można

zadać pytanie: Kim jest fotograf? Jeśli zabiorę mu aparat, niewiele wówczas może zrobić. Natomiast jeśli ktoś wyrwie mi ołówek z dłoni, to zrobię rysunek chociażby nogą w piasku albo cegłą na ścianie. Niestety obecnie człowiek często już nie jest nawet operatorem automatu, tylko widzem, gdyż sztuczna inteligencja sama wytwarza obrazy za pomocą automatu. Ta katastrofa paradoksalnie jest światelkiem w tunelu dla rysunku, bo człowiek może powrócić do budowania go w swojej świadomości. Być może to radykalne wyeliminowanie człowieka, które obserwujemy na przestrzeni ostatnich lat, otrzeźwi nas. Odczujemy ponownie potrzebę zajęcia się rysunkiem, który „wyciągamy” z własnej świadomości i który realizujemy przy pomocy naszego ciała, ujawnia się przy tym nasza indywidualna ekspresja. Pamiętam jak kiedyś, w czasie wizytacji komisji akredytacyjnej, zrobiłem wystawę prac moich studentów. Jeden z członków komisji podszedł do mnie i mówi: „Gratuluję panu, świetne rysunki. Jak wspaniale wydobył pan indywidualność studentów”. A ja na to: „Cieszę się, że pan to mówi, ale mózół rysowania studyjnego i zbudowania świadomości studenta jest tak duży, że ja za bardzo na kształtowanie indywidualności nie mam czasu”. To wychodzi automatycznie, ale są przecież tendencje do promowania przedstawień realistycznych jako adekwatnych do współczesności czy przyjmowanie założeń, że przedstawienia figuratywne zdominują współczesną sztukę. A to jest bardzo niebezpieczne, gdyż w sztuce ważna jest niezależność. Jeśli student będzie chciał wyrazić siebie poprzez figurację, proszę bardzo, ale to musi być jego wybór, wynikający z jego potrzeby, a nie z próby przyporządkowania studenta jakiemuś trendowi czy modzie. Jakkolwiek spojrzeć na rysunek czy na poszukiwanie jego granic, jest to pasjonujący i wiecznie żywy problem.

Jak porówna pan kształcenie w zakresie rysunku w UAP i w innych uczelniach, które pan odwiedził?

Nasza uczelnia w obszarze rysunku ma ogromne doświadczenia i osiągnięcia, są to dokonania na skalę europejską, jeśli nie światową. Niestety nigdy te osiągnięcia nie zostały odpowiednio zebrane i wypromowane. Nadal nie działa kierunek studiów rysunek. Uważam, że jest to negatywne pokłosie wspomnianego wcześniej sporu, coś zostało zaprzepaszczane, a szkoda.

Od kilku lat, gdy umocniła się niezależność wydziałów, ilość godzin przeznaczonych na rysunek dla studentów na większości wydziałów jest ograniczana. Jeszcze kilkanaście lat temu rysunek był podstawową osią kształcenia świadomości wizualnej i postawy artystycznej w Poznaniu, więc jego znaczenie było oczywiste. Pamiętam, jak w czasie wizyty w rumuńskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kluż Napoka przedstawiałem naszą Katedrę Rysunku. Choć mojego wykładu w auli słuchało ponad sto osób, przez przeszło godzinę panowała cisza – nasze osiągnięcia robiły ogromne wrażenie. Rysunek jest najłatwiej dostępnym medium, nie wymaga szczególnych środków, nie generuje dużych kosztów. Mogę tu posłużyć się własnym przykładem, kiedy ukończyłem studia malarskie, pojechałem studiować malarstwo do Lublany. Właśnie zaczynała się wojna, pod Vukovarem toczono już ciężkie boje, a w słoweńskiej uczelni coś przekreślono i na miejscu zostałem poinformowany, że owszem mogę studiować, ale grafikę. W wojennych okolicznościach za bardzo nie protestowałem. Pół roku spędziłem w „pracowni metalu”: suche igły, akwaforty, tinty – to było pasjonujące. Po powrocie do Poznania chciałem pracować dalej, korzystając z prasy w uczelnianej pracowni, ale skończyło się to katastrofą. W kulminacyjnym momencie, gdy przygotowałem płytę do druku, asystent w pracowni metalu ściągnął filc z prasy graficznej, schował go i poszedł do domu. Trzasnąłem

więc płytę do szafy (leży tam pewnie do dzisiaj, natarta farbą) i chwilę później, „siedząc” na egzaminach wstępnych (wielogodzinne pilnowanie kandydatów przez asystentów było ogromną nudą), pożyczylem od kandydatów ołówek i farbę, wyciągnąłem ze śmietnika kawałek papieru i zrobiłem rysunek, po czym stwierdziłem, że to jest właśnie to, czego chcę. Nagle okazało się, że wcale nie potrzebuję ani prasy, ani pracowni graficznej. Co pokazuje ten przykład? Właśnie dostępność rysunku, medium, za pomocą którego można się doskonale wypowiedzieć. Najstarsze znane nam rysunki zrobiono węglem drzewnym i gliną na ścianach jaskiń około 32 tysiące lat temu i są to doskonałe prace. Rysunek działa właściwie od zawsze.

Mamy więc ciągłość cywilizacyjną, ale być może właśnie grozi jej przerwanie, skoro dla młodych ludzi bardziej dostępny staje się algorytm.

Nie mam aż takich obaw. Teraz mamy rewolucję technologiczną, wcześniej pojawił się na uczelniach rewolucyjny konceptualizm, który rugował klasyczny rysunek studyjny. Pamiętam rozmowy z moimi kolegami profesorami z ASP w Bratysławie i AAiD w Pradze, gdzie chciano zlikwidować pracownię rysunku studyjnego. Konflikt był tak ostry, że prawie dochodziło do rękoczynów. Te napięcia trwały przez kilka lat. Później zaczął „wchodzić” postmodernizm i sytuacja zupełnie się uspokoiła. Nagle w uczelniach zaakceptowano, że umiejętność tradycyjnego rysowania jest potrzebna. Powoli też zaczynał pojawiać się walec europejski, który wszystko wyrównywał, pokazywał, że kształcenie musi być całościowe, nie można kształcić tylko postawy artystycznej, że muszą być osiągnięte określone efekty kształcenia i pewne aspekty – nazwijmy to – kształcenia akademickiego powinny pozostać. Teraz, w postmodernistycznej rzeczywistości, mamy do czynienia już z innymi studentami. Taki młody człowiek jednego dnia może być conceptualistą, a następnego może chcieć przeprowadzić realistyczne studium w pracowni malarstwa. W gruncie rzeczy ta płynność jest doskonała, bo prędzej czy później zmusi studenta do samookreślenia się. Do odpowiedzi na pytanie: kim jestem? A odpowiedź na takie pytanie powinien znać każdy artysta, inaczej jest się tylko marionetką działającą pod czyjeś dyktando.

Od wielu lat uczestniczy pan wraz ze studentami w FIGURAMIE – Międzynarodowym Przeglądzie Studenckiego Rysunku Figuratywnego Wyższych Uczelni Artystycznych. Jakie jest znaczenie tego projektu?

Do Figuramy jako uczelnia przystąpiliśmy w 2009 roku. Figurama jest płaszczyzną upubliczniania prac w zakresie rysunkowego studium ludzkiej postaci z natury, które powstają w pracowniach rysunkowych wyższych uczelni artystycznych. Zależy nam na tym, aby przedstawiać jak najszersze spektrum postaw, sposobów rysowania. Co roku wydawany jest bardzo profesjonalny katalog, no i oczywiście odbywają się duże wystawy. Jak dotąd Figurama gościła w Poznaniu trzykrotnie, kolejną wystawę planujemy zorganizować u nas w tym roku. Program ewoluuje, ostatnio formuła poszerza się o prezentowanie figuratywnego malarstwa i rzeźby, ale podstawa to rysunek. „Walec europejski” również i tu zaznacza swoją obecność. W większym niż dotąd zakresie pokazywane są prace pedagogów. Figurama powinna „produkować” tego rodzaju wystawy, by władze uczelni chętniej ją finansowały.

To kwestia „punktozy”

Tak, wystawa prac profesorów jest już punktowanym „wydarzeniem artystycznym”, a reszta to niepunktowana działalność dydaktyczna. Figurama jest ciekawą możliwością wymiany



Rysunek studentki Pracowni Rysunku Anatomicznego Zofii Słupczyńskiej

doświadczeń między pedagogami, a przede wszystkim doskonałe stymuluje rozwój i pracę studentów.

Studia ukończył pan w pracowni malarstwa prof. Jana Świtki w poznańskiej PWSSP. Jakie doświadczenia wyniesione z tej pracowni są dla pana istotne jako twórcy i dydaktyka?

Gdybym miał konfrontować moje doświadczenia w prowadzeniu pracowni z doświadczeniami wyniesionymi z pracowni prof. Świtki, to jest to nieco inna rzeczywistość. Pracownia Rysunku Anatomicznego ma w dużej mierze charakter propedeutyczny, natomiast pracownia prof. Świtki interesowała mnie jako przestrzeń do kształtowania postawy artystycznej. Kształtowanie postawy artystycznej zachodzi w mojej pracowni peryferyjnie, gdy zdarza mi się prowadzić dyplomy magisterskie i licencjackie. W takiej sytuacji dochodzi do wniosku, że ja swoim studentom prawdopodobnie za bardzo ojcuję i matkuję, i chyba za dużo pomagam. Zdecydowałem się wybrać pracownię prof. Świtki, dlatego że na wystawie końcoworocznej zobaczyłem dużą różnorodność postaw jego studentów; każdy robił coś innego i to mnie ciekawiło. Uznałem, że przy prof. Świtce będę miał szansę bycia sobą, że nie będę dopasowany

do jakiejś koncepcji czy wizji sztuki. Współpraca z profesorem nie była łatwa, to był profesor, który mógł „zaatakować dydaktycznie” studenta, nie za bardzo chciał wyciągać rękę, chyba oczekiwał od nas twórczego i intelektualnego partnerstwa. Jak ja widzę w Pracowni Rysunku Anatomicznego, że student się topi, to zaraz złapię go za kołnierz i wyciągam. Profesor Świtka raczej nie pozwoliłby się nikomu utopić, ale student długo by się męczył, a najlepiej, żeby jednak sam się wyratował. Gdy kiedyś zapytałem go, w którym kierunku ma „iść” moje malarstwo, on natychmiast wpuścił mnie w maliny, od tego czasu już nigdy nikomu nie zadałem podobnego pytania. Miewałem więc sytuacje, kiedy wyprawiałem się do malinowego chruśniaka, pan profesor patrzył na to z uśmiechem na ustach i czekał aż się dobrze wydrapię i sam stamtąd wyleżę. Jak sobie wylazłem i zmądrzałem, to kontynuowaliśmy pracę. Na dwa tygodnie przed obroną dyplomu, gdy prace miałem gotowe, profesor powiedział mi, że właściwie połowę obrazów powinienem przemalować. Na szczęście byłem już tak w bojach o swoje zatwardziały, że odłożyłem pędzel, nie dotknąłem żadnego płótna i poszedłem się bronić.

Ekstremalne doświadczenie... i z jakim skutkiem?

Celującym! Może to miała być prowokacja, rzucenie na głęboką wodę... Za to po ukończeniu studiów nigdy, w żadnej z tych kilkunastu uczelni, w których pracowałem, nie czułem kompleksów, nie obawiałem się, że znajdę się w sytuacji, w której nie będę umiał sobie poradzić. Miałem świadomość, że zostałem dobrze wykształcony i czułem się pewnie. Po dyplomie zostałem asystentem w XII Pracowni Rysunku prof. Ireneusza Domagały. Pierwsze pięć lat pracy to były moje drugie studia, które przerobiłem sam ze sobą. Pewna refleksja, która w twórczości inspirowała mnie do dzisiaj, nastąpiła pół roku po dyplomie.

Przeżyłem wówczas coś z pozoru banalnego:jechałem zatłoczonym tramwajem, który zatrzymał się naprzeciwko dworca kolejowego. I nagle zdałem sobie sprawę, że postrzegam bryłę dworca na dwóch poziomach: na poziomie empirycznym – wzrokowym, ale w interakcji z racjonalną analizą formy tej bryły. Nawet dziś mam gęsią skórę, gdy o tym myślę. W tym momencie moja studencka uczelnia przestała istnieć, byłem gotowy do samodzielnej pracy, zaczęła się cała moja przygoda z epistemologią, z twórczością. Właściwie sprawdziły się słowa profesora Jana Świtki. Profesor z nami, studentami utrzymywał zdrowy dystans, rzadkie były rozmowy poza korektami prac, może dlatego dobrze je pamiętam. Pewnego dnia profesor zaprosił czterech nowo zapisanych do pracowni studentów (w tym mnie) do rozmowy. Usiedliśmy na podium modelki w pracowni, a profesor opowiedział nam historię. Stwierdził, że istnieją trzy rodzaje studentów: jedni nie dotrą do dyplomu, dla drugich dyplom magisterski będzie największym osiągnięciem twórczym, a dla trzecich wszystko zacznie się dopiero po obronie dyplomu. No i ja jestem ten trzeci. Przygoda trwa.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Ghost in the machine

Niedopuszczalne jest, by autorzy traktowali narzędzia SI jako rodzaj „czarnej skrzynki”, którą karmimy danymi, ona coś generuje, a my nie wiemy, skąd dokładnie wziął się rezultat, gdyż takie postępowanie zaprzeczałoby innej ważnej kategorii w nauce – możliwości powtórzenia tej samej sekwencji czynności w tych samych warunkach i sprawdzenia, czy da to takie same lub przynajmniej zbliżone rezultaty.

W 1970 roku Alvin Toffler opisał w *Szoku przyszłości* stan psychiczny jednostek i grup (a nawet całych społeczeństw) w okresie przyspieszenia zmian społecznych. Nowe instytucje społeczne czy nowe technologie mogą się rozwijać w tempie uniemożliwiającym rozumienie ich i przystosowywanie się do nich na bieżąco, co wywołuje napięcie psychiczne, ale też realne problemy, gdy niezrozumienie i nieprzystosowanie utrudniają funkcjonowanie społeczne lub zawodowe. Rozwój zarówno nauki, techniki, jak i społeczeństw nie odbywa się w jednostajnym tempie, a zmiany tego tempa mogą być trudne do przewidzenia. Szok przyszłości bywa wyraźnie widoczny w funkcjonowaniu konkretnych instytucji (państwowych, prywatnych, pozarządowych) czy konkretnych branż, gdy obowiązujące tam reguły lub szczegółowe, ale ważne, procedury przestają przystawać do szybko zmieniającego się świata. Dobrym przykładem są liczne regulacje prawne, które do teraz w niewielkim tylko stopniu uwzględniają to, jak bardzo życie ludzi w państwach rozwiniętych przeniosło się do cyberprzestrzeni, a szczególnie do mediów społecznościowych.

Redakcje czasopism naukowych – nawet jeśli nie są „miejscem” w fizycznym sensie – adaptowały się do niedawna do zmian na ogół z opóźnieniem i w nierównym tempie. Opory i sprzeciw wzbudzały open access, czasopisma wyłącznie elektroniczne, repozytoria czy preprinty (te ostatnie są zresztą przedmiotem kontrowersji do dziś). Jednak udostępnienie płatnych i bezpłatnych wersji narzędzi operujących różnymi postaciami sztucznej inteligencji, takimi jak choćby ChatGPT, sprawiło, że szok przyszłości dotarł także tu. Pojawiają się już artykuły naukowe, w których znaczna część treści została nie tyle napisana, co wygenerowana, a jednocześnie nie ma jeszcze narzędzi, które umożliwiłyby z wysoką skutecznością odróżnianie takich treści od tych napisanych przez człowieka od A do Z. Przede wszystkim zaś panuje głęboka konfuzja co do tego, jak odnieść się do tego zjawiska na poziomie wartości i wpływających z nich ogólnych reguł, szczególnie etycznych. Podczas ich omawiania będę posługiwał się ogólnym sformułowaniem „narzędzia SI”, w literaturze przedmiotu często spotykane jest pojęcie dużych modeli językowych (large language models – LLMs), ale nie chcę posługiwać się fachową terminologią, nie mając pewności, że używam jej poprawnie.

SI jako podmiot?

Najważniejsza kontrowersja związana jest z zagadnieniem autorstwa: jeśli jakaś część artykułu została wygenerowana przez narzędzie SI (i potem ewentualnie jedynie nieznacznie zmieniona przez ludzi), to czy narzędzie (np. ChatGPT) można traktować jako współautora na równi z „białkowymi” autorami? Na tym etapie debaty wydaje się dominować pogląd, że nie, gdyż autorstwo jest również kategorią prawną i wiąże się z odpowiedzialnością za własne działania, zarówno naukową, prawną, jak i moralną (po angielsku używane są tu pojęcia responsibility i accountability o innych zakresach znaczeń, to drugie oznacza przede wszystkim odpowiedzialność w rozumieniu prawnym). Tymczasem narzędzia nie można pociągnąć do odpowiedzialności, gdyż nie jest ono samoświadome, a zatem nie jest w stanie kierować swoim postępowaniem i odpowiadać za swoje czyny (z tego m.in. powodu istnieją kategorie osób, którym nikt nie odmawia bycia ludźmi, ale których nie można pociągnąć do odpowiedzialności ani karnej, ani cywilnej).

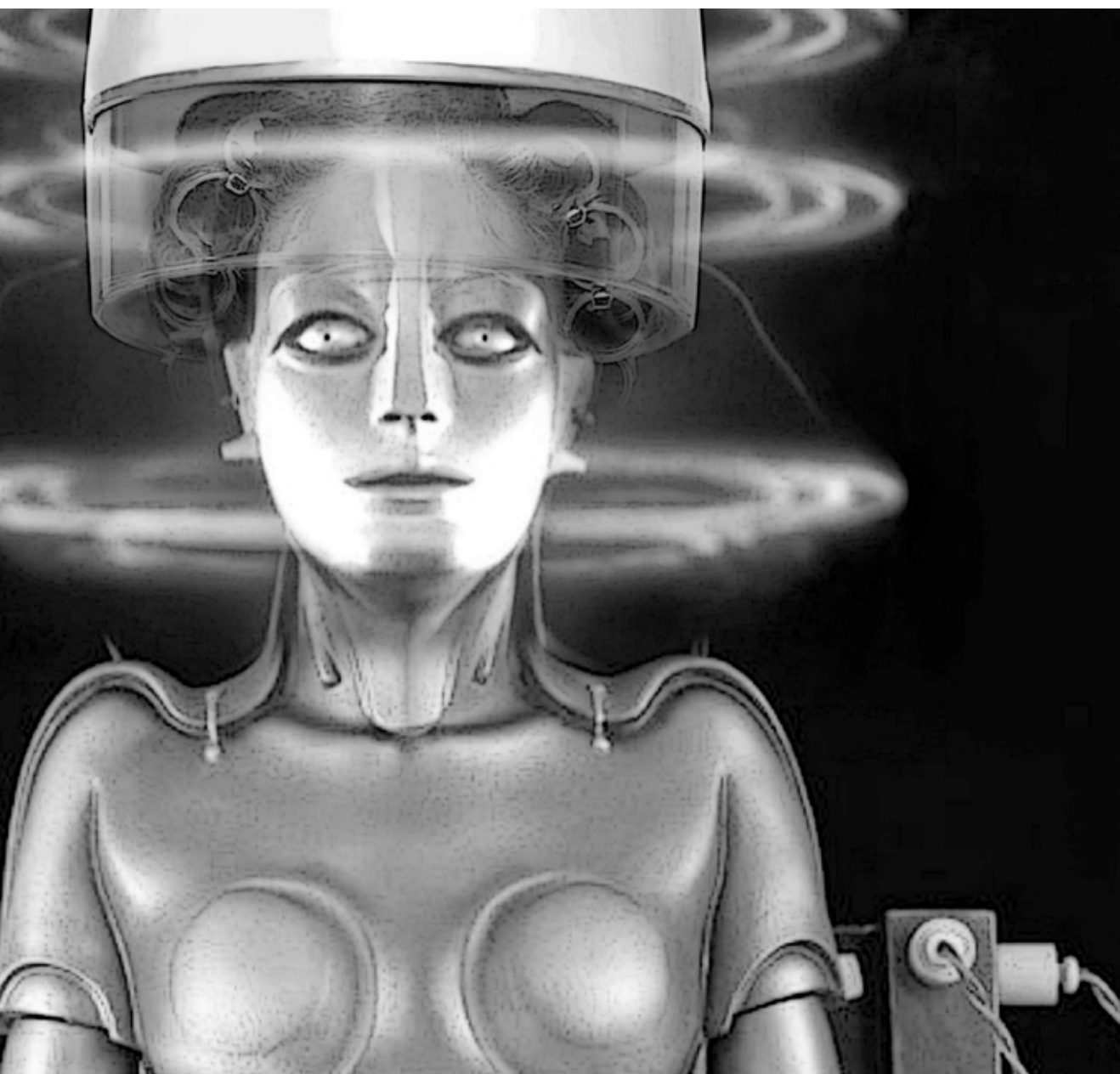


Jest to rzecz jasna problem filozoficzny, przed którym prędzej czy później nasza cywilizacja stanie w różnych kontekstach: czy SI może być samoświadoma, a zatem czy może być podmiotem, w tym moralnym?

Z tego samego powodu kwestionowane jest też podawanie informacji o korzystaniu z pomocy narzędzia lub narzędzi SI w podziękowaniach (acknowledgements), gdyż pojawienie się w takim miejscu pracy naukowej również oznacza jakiś zakres odpowiedzialności za jej kształt, choć daleko mniejszy niż w przypadku współautorów. Czasem wysuwany jest argument, że za współautorów lub odbiorców podziękowań mogą być uznawane instytucje, ale taka analogia jest bardzo powierzchowna, gdyż instytucje mogą mieć osobowość prawną (a zatem można je pociągnąć do odpowiedzialności), a ponadto nie są abstrakcjami, ale grupami ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność zespołowo lub indywidualnie. Ryzykowne jest także sugerowanie, by informację o użyciu narzędzia SI umieszczać w odniesieniach bibliograficznych, gdyż istotą pozycji piśmiennictwa jest możliwość odnalezienia (w formie elektronicznej lub papierowej) treści, na którą powołuje się autor – takie narzędzia nie są stabilnym źródłem,

a sama informacja o użyciu narzędzia bez szczegółów nic nie mówi i nie umożliwia żadnej weryfikacji. American Psychological Association (APA) opublikowało już wskazówki, jak powoływać w piśmiennictwie ChatGPT (ogólnie: podobnie jak oprogramowanie), być może z czasem bardziej popularne narzędzia SI doczekają się takich regulacji, a sposób notacji bibliograficznej do nich się odnoszący upowszechni się.

Chodzi o to, by uniemożliwić sytuację, w której autor artykułu spycha odpowiedzialność na narzędzie i powstaje rodzaj luki prawnej, gdyż od narzędzia nie uzyskamy wyjaśnień (przynajmniej na tym etapie rozwoju SI). Niedopuszczalne jest także, by autorzy traktowali narzędzia SI jako rodzaj „czarnej skrzynki”, którą karmimy danymi, ona coś generuje, a my nie wiemy, skąd dokładnie wziął się rezultat, gdyż takie postępowanie zaprzeczałoby innej ważnej kategorii w nauce: możliwości powtórzenia tej samej sekwencji czynności w tych samych warunkach i sprawdzenia, czy da to takie same lub przynajmniej zbliżone rezultaty. Tymczasem narzędzia SI cały czas ewoluują i nie ma żadnej pewności, że po kilku miesiącach efekt będzie porównywalny.



Rys. Sławomir Makal

Można zabronić, ale...

Nie chcę wchodzić w te problemy głębiej, rozważam je z punktu widzenia redaktora, a zatem mając na uwadze politykę, jaką powinna przyjąć redakcja czasopisma naukowego wobec fenomenu narzędzi SI stosowanych na różnych etapach powstawania pracy naukowej. Ujmując rzecz ogólnie, możliwe są cztery podejścia:

- zakazać w wytycznych dla autorów generowania tekstu za pomocą narzędzi SI (przy umożliwieniu stosowania SI na wcześniejszych etapach; w kwestii użycia SI w trakcie samych badań wypowiedać się mogą specjaliści w danej dziedzinie, nie redaktorzy);
- zezwolić na uznawanie narzędzi SI za współautorów;
- wymagać umieszczania informacji o użyciu narzędzia SI w podziękowaniach;
- wymagać zamieszczania takiej informacji w precyzyjnie wskazanej sekcji artykułu (np. Material and methods lub Ethical considerations).

Pierwsza możliwość pozwala nie zastanawiać się (przynajmniej na razie) nad dalszymi implikacjami problemu, ale dostępne narzędzia weryfikacji oryginalności tekstów nie wykryją, że danego fragmentu nie napisał człowiek (o ile narzędzie SI nie wykorzystało słowo w słowo fragmentu materiałów, do których ma dostęp), a naprawdę skutecznych narzędzi wykrywających takie pochodzenie tekstu jak dotąd nie ma (choć niektóre są tak reklamowane). Można zatem zabronić, ale nie będzie możliwości wyegzekwowania takiego zakazu, a może to prowadzić do rozwijania przez mniej uczciwych autorów technik maskowania udziału SI. Natomiast ostatnia opcja wymaga przede wszystkim precyzyjnego zdefiniowania: o jakie zastosowania narzędzi SI chodzi, w jakim stałym miejscu w artykule o ustalonej strukturze ma się znaleźć ta informacja oraz co konkretnie należy ujawnić, czyli np. do czego użyto SI, nazwę narzędzia i jego wersję oraz dokładną datę zastosowania (z uwagi na szybką ewolucję takich narzędzi).

Ostatni punkt prowokuje jednak kolejne pytanie: Jak szczegółowych informacji wymagać? Różnorodność narzędzi SI sprawia, że te same dane będzie można podać w odniesieniu do niektórych, a przy innych już nie. Warto też mieć na uwadze możliwości autorów – muszą to być informacje, do których ma dostęp zwykły użytkownik danego narzędzia. Pozostaje rzecz jasna pytanie, co redaktor ma potem z taką informacją zrobić. Nie wypracowano jak dotąd kryteriów, które pozwalałyby transparentnie podejmować decyzje, jakie zastosowanie narzędzi SI jest dopuszczalne, a jakie stanowi już profesjonalne i/lub etyczne nadużycie. Proste zabranianie jest przeciwnie skuteczne i takie kryteria trzeba będzie sformułować, podobnie jak organizacje takie jak COPE (Committee on Publication Ethics) wypracowują uniwersalne kryteria etyczne w publikowaniu naukowym, wciąż je doprecyzowując i dostosowując do zmian w świecie nauki.

SI zamiast nauki angielskiego

W publikacjach na temat zastosowania narzędzi SI przy tworzeniu publikacji naukowych pojawia się jednak jeden argument, który mnie osobiście – jako redaktora – bardzo niepokoi. Regularnie powtarzana jest teza, że możliwość generowania tekstu za pomocą takich narzędzi umożliwi pełniejsze uczestnictwo w światowym obiegu naukowym badaczom nieznanym biegłym angielskiego. Przede wszystkim należałoby tu odróżnić, czy mówimy o narzędziach sprawdzających poprawność gramatyczną i leksykalną anglojęzycznego tekstu, czy o tych, które do pewnego stopnia napiszą niektóre partie pracy za autora, który będzie modyfikował tak wytworzony tekst, a nie pisał go w takim sensie, w jakim ja piszę teraz ten artykuł. Ta pierwsza możliwość to ważne ułatwienie, choć i ono pociąga

za sobą pewne pułapki (o czym niżej). Druga opcja zaś związana jest z niebezpieczeństwem, jakie pociągają za sobą wszelkie sztuczne ułatwienia: jeśli są źle pomyślane, będą utrwaląc braki, które mają kompensować, a nie zawsze jest możliwość funkcjonowania w odpowiednio zaaranżowanym środowisku, gdzie poziom wymagań jest dostosowany do poziomu naszych umiejętności. Autor, który zbyt ekstensywnie będzie korzystał z narzędzi SI zamiast nauki angielskiego, a nie oprócz takiej nauki, nie będzie potem w stanie choćby poprawiać błędów w swoim tekście, które mu wskażą, gdyż tego narzędzie SI może już za niego nie zrobić. Jest to sytuacja podobna do tej, gdy autorzy zlecają różne aspekty powstawania ich artykułu zewnętrznym podmiotom, jednak usługa nie obejmuje swoistej ręką, czyli współpracy we wprowadzaniu poprawek recenzentów czy redaktorów językowych. Najczęściej chodzi tu albo o korzystanie z usług zewnętrznych statystyków, albo z oferty firm zajmujących się scientific writing. Gdy redaktor statystyczny lub językowy żąda poprawek, okazuje się, że autor nie umie ich wprowadzić albo nawet nie rozumie ich treści.

Jeśli artykuł jest napisany poprawną, choć nieidealną angielszczyzną, a autor komunikuje się ze mną angielszczyzną nieporadną, często na granicy zrozumiałości, jest to dowód braku wyobraźni lub orientacji w mechanizmach publikowania w czasopiśmie naukowym. Nie można zakładać, że przygotujemy daną pracę, także pod względem językowym, tak dobrze, że nie będzie wymagała żadnych istotnych korekt. Na tym etapie ich rozwoju żadne narzędzia SI takiego tekstu nie wygenerują. To, że istnieją narzędzia SI, z którymi możemy komunikować się w języku naturalnym (angielskim lub innym), nie znaczy, że sami możemy zaniebierać naukę języków naturalnych i staranne z nich korzystanie. Użyję teraz sformułowania dość kategorię, ale precyzyjnie oddaje ono to, co chcę wyrazić: nadal nie ma ucieczki przed nauką języków obcych i jeszcze długo nie będzie. Aplikacje rozpoznające mowę i tłumaczące ją, bezpłatne i płatne translatory dostępne w Internecie czy wreszcie narzędzia SI mogą nas wspomóc, ale prawdziwe komunikowanie się w innym języku naturalnym wymaga jego dobrej znajomości, gdyż tylko wtedy będziemy rozumieć wieloznaczności, niepełną odpowiedniość wyrazów i wyrażeń w różnych językach czy konteksty kulturowe. Nic nie zwolni nas z rozumienia tekstu, który tworzymy, nawet jeśli częściowo go piszemy, a częściowo generujemy. Jeśli nie rozumiemy w stu procentach tego, pod czym się podpisujemy, to zarówno responsibility, jak i accountability stają się równie niepełne, jak nasze rozumienie. Dlatego argumenty, jakoby używanie tego rodzaju narzędzi sprzyjało promowaniu sprawiedliwości (equity) w nauce, uważam za trafne tylko wówczas, gdy chodzi o instrumenty kontrolujące poprawność językową; te zastępujące w pisaniu zniechęcają do rozwijania kompetencji. Trzeba to sobie jasno powiedzieć: dobra znajomość angielskiego, tj. umożliwiająca samodzielne pisanie prac naukowych w tym języku, jest niezbędną umiejętnością u każdego badacza, który chce uczestniczyć w światowym obiegu nauki.

Nie mam temperamentu futurologa i nie wiem, na ile prawdopodobne są wizje niezycielwych, że rozwój SI sprawi, iż redaktorzy językowi staną się niepotrzebni, gdyż artykuły naukowe będą pisane, sprawdzane, a częściowo również czytane wyłącznie przez SI. Już teraz rocznie publikowanych jest przecież tyle prac, że wielu z nich nie tylko nikt nie cytuje, ale też najprawdopodobniej nikt nie zapoznaje się z ich treścią. Narzędzia SI mogą pomóc w przygotowaniu artykułu, dopóki jednak to człowiek prowadzi badania, a SI pełni taką lub inną funkcję służebną, odpowiedzialność za kształt tekstu – zarówno merytoryczny, jak i językowy – także musi wziąć na siebie człowiek.

Artur Wolski

Coraz bliżej do hibernacji człowieka

Hibernacja to skomplikowany proces biologiczny, który wymaga precyzyjnej koordynacji na poziomie komórkowym i molekularnym. W jego sercu leży aktywacja specyficznych szlaków reagujących na stres, które przygotowują organizm do przetrwania w niskich temperaturach.

Kiedy 14 maja 1984 r. odbyła się światowa i polska premiera kinowa *Seksmisji* Juliusza Machulskiego, widzowie odebrali fabułę filmu jako komedię science fiction. Eksperyment dwóch śmiałków, Maksa (Jerzy Stuhr) i Alberta (Olgierd Łukaszewicz), poddanych hibernacji wydawał się tylko scenariuszem kina fantastycznonaukowego. Dziś, pomimo braku naturalnej zdolności do hibernacji u ludzi, nauka poszukuje sposobów na naśladowanie tego stanu. Pomaga w tym wiedza z kriobiologii, zajmującej się badaniem wpływu niskich temperatur na organizmy oraz poznanie zjawisk anabiozy, czyli życia utajonego, przejściowego i odwracalnego stanu skrajnego obniżenia aktywności życiowej organizmu, będącego odpowiedzią na niekorzystne warunki środowiska naturalnego. Dowiadujemy się coraz więcej o tym, jak manipulowanie metabolizmem oraz minimalizacja uszkodzeń spowodowanych przez chłód mogą chronić tkanki przed urazami i wydłużać czas interwencji chirurgicznych.

W świecie zwierząt strategią na przetrwanie trudnych zimowych warunków, poza migracją, którą stosują niektóre zwierzęta, jest zapadanie w sen zimowy. Wariant ten wybiera część ssaków oraz gady i płazy, jak również większość bezkręgowców naszego klimatu. Sen zimowy przybierać może różne formy: od płytkiego, killudniowego, po głęboki ze sporadycznymi przebudzeniami. W czasie snu następuje szereg zmian fizjologicznych, a procesy życiowe ulegają spowolnieniu. Obniża się temperatura ciała, oddech jest płytszy i rzadszy, spada liczba uderzeń serca. W sen zimowy zapadają np. borsuki czy niedźwiedzie. Dzięki obniżeniu temperatury znacząco zwalnia metabolizm i w znacznie wolniejszym tempie zużywane są rezerwy energetyczne. Dzięki temu zwierzęta, nawet mając mało pokarmu, są w stanie przetrwać niekorzystne warunki – wyjaśnia dr Robert Meronka z Zakładu Ekologii Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego.

W przypadku takich zwierząt jak jeź, świstak, popielica, chomik europejski, nietoperze oraz gady i płazy możemy już mówić o hibernacji. U zwierząt tych w okresie zimy następuje o wiele większe spowolnienie metabolizmu, obniżenie temperatury ciała (w przypadku jeży i nietoperzy nawet do 1-2°C!), zmniejszenie liczby oddechów i uderzeń serca (w przypadku jeży ze

181 do około 20 na minutę!). Zwierzęta hibernujące sporadycznie przebudzają się w czasie takiego letargu w celu uzupełnienia wody lub przemieszczeniu się w obrębie kryjówek. Jest to dla nich ogromny wysiłek energetyczny. Wymuszone wybudzenie może okazać się dla nich tragiczne w skutkach. Mówiąc o diapauzie, mamy z kolei na myśli rodzaj letargu, podczas którego następuje zahamowanie rozwoju i wzrostu. Najczęściej dotyczy ona bezkręgowców a w szczególności owadów. I w taki sposób najczęściej zimują jaja, larwy czy poczwarki.

Naukowcom kierowanym przez Honga Chena z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Saint Louis udało się wprowadzić myszy i szczury w stan hibernacji za pomocą ultradźwięków. To odkrycie, potencjalnie przełomowe dla medycyny i kosmonautyki, zostało opisane w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Nature Metabolism”. Jeśli da się je powtórzyć u ludzi, możemy sobie wyobrazić, że przyszli astronauta będą nosić na głowach urządzenia przypominające hełmy – powiedział Hong Chen dla „Guardiana”. – Będą one indukować hipotermię i obniżać metabolizm – dodał naukowiec w wywiadzie opublikowanym w „National Geographic Polska”.

Podstawy naukowe hibernacji ludzi

Badania nad hibernacją i wpływem zimna nagrodzone grantem Narodowego Centrum Nauki PRELUDIUM BIS prowadzi dr hab. Wojciech Pokrzywa, kierownik Laboratorium Metabolizmu Białek z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. I chociaż hibernacja ludzi może być kojarzona nadal głównie z literaturą fantastycznonaukową, jednak opiera się na solidnych podstawach naukowych, które wskazują na możliwość adaptacji ludzkiego organizmu do niskich temperatur.

Panie profesorze, na jakich modelach prowadzone są badania?

Na modelach zwierzęcych, w tym na nicieniach *C. elegans* o wielkości ok 1 mm. Dostarczają one cennych wskazówek na temat mechanizmów umożliwiających przetrwanie w bardzo niskich temperaturach. Te mechanizmy, obejmujące między



Dr hab. Wojciech Pokrzywa

innymi zmiany ekspresji genów, stabilności białek i regulacji metabolicznej, mogą znaleźć zastosowanie u ludzi, choć wymaga to jeszcze dalszych intensywnych badań. W tym kontekście NASA wywołała łagodny stan hipometaboliczny u wybranych osób, a badanie to nie wykazało żadnych szkodliwych skutków przez okres do czternastu dni. Obserwacja ta wskazuje na możliwość zastosowania hipotermii terapeutycznej u ludzi.

Zakładając, że ludzka hibernacja jest możliwa, to np. schładzanie do osiągnięcia stanu hipertermii, gdy temperatura głęboka organizmu to 28–32°C (hipotermia umiarkowana), mogłoby znacznie zmniejszyć obrażenia wywołane niedotlenieniem, takie jak uszkodzenie mózgu i uszkodzenie niedokrwiennie-reperfuzyjne (powstaje po przywróceniu czasowo przerwanej krążenia krwi w tkance lub narządzie; podczas niedokrwienia może dojść do śmierci komórek i nieodwracalnego uszkodzenia tkanek, a to zależy od ciężkości i czasu trwania zaburzeń przepływu).

Czy nauka jednoznacznie zdefiniowała hibernację?

Do tej pory dokładne fizjologiczne definicje hibernacji pozostają nieznanymi. Hibernacja to skomplikowany proces biologiczny, który wymaga precyzyjnej koordynacji na poziomie komórkowym i molekularnym. W jego sercu leży aktywacja specyficznych szlaków reagujących na stres, które przygotowują organizm do przetrwania w niskich temperaturach. Kluczowe tkanki, takie jak brązowa tkanka tłuszczowa, wątroba i mięśnie szkieletowe, wchodzi do gry, inicjując termogenezę, czyli fizjologiczną reakcję termoregulacyjną zwierząt stałocieplnych na zimno w postaci drżenia mięśniowego lub nasilenia procesów przemiany materii w tkankach, zapobiegając w ten sposób ochłodzeniu ciała w niskiej temperaturze otoczenia. Tkanki te są również odpowiedzialne za utrzymanie optymalnej temperatury ciała w trakcie hibernacji i sprawnego jej podniesienia podczas procesu wybudzania.

Ale jak dokładnie organizmy hibernujące zarządzają tym procesem?

Kluczowym elementem jest zmiana profilu białek w różnych tkankach, co jest niezbędne dla efektywnej reakcji na stres komórkowy i adaptacji metabolizmu energetycznego do zmienionych warunków. Organizmy hibernujące mają zdolność do precyzyjnej regulacji aktywności genów, co pozwala im na „wylączenie”

i „wylączenie” określonych szlaków w zależności od potrzeb. I dlatego hibernacja, co warto jeszcze raz podkreślić, nie jest pasywnym stanem spoczynku a dynamicznym procesem biologicznym.

A konkretnie, które białka powodują, że hibernacja to proces dynamiczny?

Tu kluczową rolę odgrywają białka wiążące RNA. Są nie tylko strażnikami stabilności mRNA, a tym samym transferu informacji genetycznej w czasie hibernacji, ale także decydują o tym, które transkrypty, molekuly RNA są przechowywane w granulach stresowych na „lepsze czasy”, a które są degradowane. To dzięki nim, nawet w najgłębszym letargu, komórki mogą szybko reagować na zmieniające się warunki, przywracając normalną funkcję, gdy tylko organizm zaczyna się wybudzać.

Co wynika z przeprowadzonych eksperymentów?

Kiedy organizmy wpadają w zimowy sen, naturalnie ograniczają aktywność synaptyczną, by oszczędzać energię. Okazuje się, że białko wiążące RNA, RBM3, odgrywa centralną rolę w tym procesie, umożliwiając nie tylko demontaż, ale i ponowne tworzenie synaps, gdy organizm się wybudza. Eksperymenty przeprowadzone na myszach, schłodzonych do temperatur typowych dla hibernujących małych ssaków, potwierdziły, że to właśnie RBM3 jest kluczem do odbudowy połączeń nerwowych. Giovanna Mallucci i jej zespół odkryli, że RBM3 nie tylko wspiera proces hibernacji, ale może również mieć zastosowanie terapeutyczne, oferując nowe sposoby leczenia chorób neurodegeneracyjnych, takich jak choroba Alzheimera. Przywracając plastyczność synaptyczną, RBM3 otwiera drzwi do regeneracji układu nerwowego bez konieczności wprowadzania organizmu w stan hipotermii.

Czy mechanizm hibernacji przebiega podobnie u mniejszych organizmów?

Hibernacja, znana u ssaków, występuje również u mniejszych organizmów, takich jak nicienie *C. elegans*, które są w stanie przetrwać temperatury bliskie zeru. W naszym laboratorium skupiamy się na badaniu tych właśnie mechanizmów, z nicieniem jako głównym modelem zwierzęcym, by zrozumieć, jak organizmy na różnych poziomach ewolucyjnych adaptują się do życia w warunkach, które dla wielu innych byłyby śmiertelne. Poprzez głębsze zrozumienie procesów zachodzących w nicieniach *C. elegans* dążymy do odkrycia uniwersalnych strategii adaptacyjnych, które mogą również istnieć u ssaków.

Jaką rolę w przetrwaniu organizmów, gdy znajdują się w niekorzystnych dla nich warunkach, odgrywa żelazo i reaktywne formy tlenu?

Aby przetrwać ekstremalnie niskie temperatury bez uszkodzeń, organizmy wykorzystują pewien wyjątkowy mechanizm obronny, który ma dużo wspólnego z żelazem i pewnymi cząsteczkami, zwanymi ROS (reaktywne formy tlenu). Nasze badania, prowadzone we współpracy z prof. Rafałem Cioskiem z Uniwersytetu w Oslo, rzucają nowe światło na te zjawiska. Żelazo – ten powszechny metal – w nadmiarze może być szkodliwe dla komórek, zwłaszcza w chłodzie. Zimno, jak się okazuje, może prowadzić do gromadzenia się toksycznych form żelaza w komórkach. Tutaj z pomocą przychodzi ferrytyna, specjalne białko magazynujące nadmiar żelaza i uwalniające je tylko wtedy, gdy jest potrzebne. Dzięki temu komórki są chronione przed szkodliwym działaniem nadmiaru żelaza w trudnych warunkach hibernacji.

Ale dlaczego zimno zwiększa poziom żelaza w komórkach?

Ma to związek z pewnymi enzymami potrzebnymi żelaza do działania. Gdy temperatura spada, te enzymy mogą uwal-

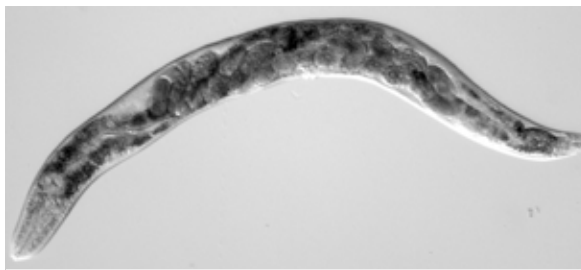
niać żelazo, co prowadzi do jego nagromadzenia. Co więcej, to żelazo może przyczynić się do powstawania wspomnianych ROS, które w nadmiarze są szkodliwe, atakując białka, kwasy nukleinowe i lipidy.

Jakie jest praktyczne wykorzystanie tej wiedzy?

Okazuje się, że specyficzne użycie przeciwutleniaczy do leczenia ostrego udaru niedokrwiennego (Edaravone), encefalopatii niedotlenieniowo-niedokrwiennnej (NAC) i uszkodzenia niedokrwiennego mózgu wywołanego żelazem (TEMPOL) może nie tylko zmniejszyć poziom szkodliwych ROS w tych schorzeniach, ale także ograniczyć ilość wolnego żelaza, chroniąc komórki przed zimnem. To odkrycie może mieć znaczące konsekwencje nie tylko dla zrozumienia hibernacji, ale także dla leczenia różnych stanów związanych z uszkodzeniami komórek.

W innych badaniach skoncentrowaliśmy się na systemie ubikwityna – proteasom, który jest niezbędny do zachowania równowagi białkowej w komórce, znanej jako proteostaza. System ten odgrywa kluczową rolę w usuwaniu uszkodzonych lub zbędnych białek, co jest fundamentem dla zdrowia komórkowego i odporności na różnorodne formy stresu, w tym niskie temperatury.

W naszym modelu, nicieniu *C. elegans*, zaobserwowaliśmy, że specyficzne składniki systemu ubikwityna – proteasom są związane z przetrwaniem w niskich temperaturach. Przewodzone eksperymenty w ramach finalizowanego polsko-norweskiego grantu badawczego Grieg (Narodowego Centrum Nauki) ujawniły również, że floksurydyna (FUdR), lek zazwyczaj stosowany w terapii antynowotworowej, może wzmacniać system ubikwityna – proteasom, wspierając adaptację do zimna. Odkryliśmy również, że FUdR aktywuje specyficzny szlak detoksykacji, szczególnie w neuronach, z białkiem GST-24 jako kluczowym mediatorem tego procesu. Te odkrycia otwierają nowe perspektywy dla zrozumienia, jak interwencje farma-



Nicień *C. elegans*

kologiczne mogą modulować mechanizmy odporności na stres i przetrwania, nawet w ekstremalnych warunkach, takich jak niskie temperatury.

Jakie są plany przyszłych badań finansowanych w ramach grantu PRELUDIUM BIS?

Białka zwane fosfatazami odgrywają istotną rolę w kontrolowaniu sygnalizacji komórkowej. Utrzymują one równowagę poprzez usuwanie grup fosforanowych z innych białek. Dwie fosfatazy, PAA-1 i VHP-1, są główną osią naszych badań, ponieważ wydają się kluczowe dla regeneracji nicieni po hibernacji wywołanej zimnem. Nasze wstępne dane pokazują, że PAA-1 odgrywa znaczącą rolę w regulacji określonych białek podczas wczesnych etapów adaptacji do zimna. Z kolei VHP-1 zaczyna działać dopiero podczas fazy regeneracji. Razem fosfatazy te pomagają nicieniom przystosować się do zimna i zregenerować w wyniku działania złożonej sieci regulacji komórkowej.

Dlaczego ma to znaczenie?

Zarówno PAA-1, jak i VHP-1 są ewolucyjnie zachowane, co oznacza, że mają swoje odpowiedniki u ludzi. Odkrycie ich molekularnych mechanizmów działania może uutorować drogę do zrozumienia ludzkich odpowiedzi komórkowych na stres i potencjalnie pomóc zidentyfikować nowe cele terapeutyczne.

Jakie zyski widzi pan z prowadzonych badań w zakresie nauk podstawowych, ale i nauki innowacyjnej?

Dzięki głębokiemu zrozumieniu mechanizmów adaptacji do zimna możliwe staje się odkrywanie nowych ścieżek w leczeniu chorób, ochronie przed stresem oksydacyjnym i nawet w tworzeniu nowych metod terapii regeneracyjnej. Nasze badania na *C. elegans* to dopiero początek podróży do odkrywania tajemnic życia na poziomie molekularnym. Jednak przeniesienie tych odkryć na potencjalne zastosowania kliniczne, w tym hibernację ludzi, wymaga dalszych interdyscyplinarnych badań i współpracy w dziedzinie biologii, medycyny i bioinżynierii.

Artur Wolski, komentator naukowy



Laboratorium i stanowisko z preparatem z hodowlą nicieni

Zespół pod kierunkiem dr. hab. Wojciecha Pokrzywy z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie został uhonorowany Nagrodą Ministra Nauki za znaczące osiągnięcia naukowe, które otwierają nowe horyzonty w zrozumieniu procesów komórkowych, kluczowych dla naszego zdrowia.

Wyróżnienie jest potwierdzeniem znaczenia prowadzonych badań, rzucających światło na skomplikowane mechanizmy degradacji białek i ich wpływu na różne aspekty funkcjonowania organizmów żywych. Dr hab. Wojciech Pokrzywa odebrał w imieniu zespołu nagrodę za znaczące osiągnięcia naukowe podczas Gali Nauki Polskiej 18 lutego 2024 roku, która odbyła się w przeddzień Dnia Nauki Polskiej.

Opinia publiczna online

Zaproponowałam pojęcie opinii publicznej online rozumianej jako: „proces komunikacji i dyskusji mającej miejsce w sieci oraz obejmującej różne formy jej powstawania i demonstrowania się”.

„Opinia publiczna panuje, ale nie rządzi” ten cytat z Jürgena Habermasa (2007) porównujący to zjawisko do pozycji ustrojowej króla lub królowej monarchii brytyjskiej, może trafnie charakteryzować jego naturę.

Czy z opinią publiczną trzeba się liczyć, ale nie można jej pozwolić, żeby ‘wtrącała się’ bezpośrednio w politykę? Na takie pytanie oraz wiele innych staram się odpowiedzieć w mojej świeżo wydanej książce pt. *Opinia publiczna online* (Wydawnictwo UMCS, Lublin 2023). Idea przygotowania książki powstała, jak to zwykle bywa, w trakcie przygotowywania dla studentów zajęć dotyczących opinii publicznej funkcjonującej w warunkach rozwoju nowych mediów. Okazuje się, że to pole badawcze jest bogate i ciągle uaktualniane w literaturze zachodniej, natomiast w Polsce jest zaskakująco mało opracowań obejmujących zagadnienie opinii publicznej w sposób kompleksowy. Potrzeba realizacji tego typu badań jest także ściśle związana z szybkim rozwojem technologii i mediatyzacją sfery publicznej.

Miejsce badań dotyczących opinii publicznej w ramach nauk o mediach i komunikacji społecznej jest trudne do ustalenia, ponieważ nauki te są sfragmentaryzowane i oparte na wielodyscyplinarności, natomiast szczegółowe opracowania przyznają badaniom opinii publicznej miejsce w ramach nauk o mediach, w powiązaniu z takimi subdyscyplinami jak nowe media oraz public relations. Za najpopularniejsze kierunki badań medioznawczych odnoszące się do opinii publicznej należy uznać studia dotyczące efektów mediów oraz mediatyzacji, ponieważ łączą one sposoby i skutki korzystania z mediów z postawami i zachowaniami jednostek i grup tworzących opinię publiczną. Mediatyzacja jako teoria należy obecnie do najbardziej wpływowych podejść tłumaczących funkcjonowanie współczesnych mediów i wielu domen życia społecznego, w tym opinii publicznej. Zakłada ona istnienie zależności pomiędzy transformacją mediów i komunikacji oraz zmianami zachodzącymi w kulturze i społeczeństwie. Kluczowa jest w tym zakresie rola internetu i nowych mediów, które stały się aktualnie najważniejszym ‘miejscem’ powstawania, kształtowania się i wpływania na opinię publiczną.

Interaktywny proces społeczny

Biorąc pod uwagę centralną rolę mediów, a w szczególności nowych mediów i ich społecznościowej formy w ramach współczesnej opinii publicznej, w publikacji zaproponowałam pojęcie opinii publicznej online rozumianej jako: „proces komunikacji i dyskusji mającej miejsce w sieci oraz obejmującej różne formy jej powstawania i demonstrowania się”. Uwzględniając jednak fakt, że opinia publiczna powstaje i funkcjonuje zarówno w sieci, jak i poza nią, proponuję także następującą definicję opinii publicznej jako takiej: „opinia publiczna jest interaktywnym procesem społecznym, w ramach którego indywidualne i grupowe postawy obywateli dotyczące spraw publicznych są formowane (na podstawie ich wiedzy, wartości, norm, emocji i doświadczeń), kształtowane (przez inne osoby, grupy, organizacje i instytucje, w tym media tradycyjne, nowe i społecznościowe) oraz krystalizowane i publicznie wyrażane” (w przestrzeni świata rzeczywistego oraz w sferze medialnej i wirtualnej).

Opinia publiczna funkcjonuje obecnie głównie w przestrzeni wirtualnej, a nowe media są nie tylko narzędziami jej wyrażania, ale wręcz ‘organami’. Dlatego wyjaśniając sposoby funkcjonowania opinii publicznej, opieram się w dużej mierze na teorii mediatyzacji. Przy czym mediatyzację opinii publicznej definiuję jako: „proces formowania się, kształtowania i wyrażania opinii publicznej za pośrednictwem medialnie, który to proces staje się w swoim przebiegu coraz silniej osadzony i uzależniony od technologii medialnych”. Sieć staje się obecnie podstawowym forum ekspresji opinii publicznej, natomiast jej formowanie się i kształtowanie opiera się coraz częściej na datafikacji i algorytmizacji komunikacji publicznej. Przy czym datafikacja to rodzaj zasady, zgodnie z którą funkcjonuje sieć, a której przejawem jest gromadzenie i analizowanie wielkich zestawów danych (big data) w celu określania zależności między zmiennymi odzwierciedlającymi zachowania użytkowników w tej sieci. Natomiast algorytmizacja to zasada, zgodnie z którą filtrowanie i priorytetyzowanie treści medialnych przedstawianych użytkownikom internetu odbywa się w sposób zautomatyzowany i oparty na big data.



Obie te zasady wskazują na sposoby funkcjonowania nowych mediów, ale mniej wiadomo o ich efektach dla komunikacji i opinii publicznej. Nie jest to badawczo proste zadanie ze względu na tajność algorytmów i konieczność analiz wielkich zestawów danych. Jednak w monografii podejmuję próbę scharakteryzowania natury opinii publicznej funkcjonującej w warunkach zaawansowanych procesów mediatyzacji, rządzących się między innymi wskazanymi zasadami.

W monografii wskazane zostały kluczowe cechy charakterystyczne, które określają istotę i sposób funkcjonowania opinii publicznej w zmediatyzowanym środowisku informacyjnym. Obejmują one m.in. następujące obserwacje:

Wnioskiem wspólnym, także dla pierwszych rozważań naukowych dotyczących opinii publicznej, a podejmowanych na świecie i w Polsce, było spostrzeżenie, że opinia publiczna ma znaczenie dla rządzenia państwem i choć jest często nieracjonalna, to jednak nie można jej ignorować.

Globalna i europejska sfera publiczna nie jest postrzegana jako zjawisko względnie trwałe, lecz jedynie pojawiające się w pewnych momentach historycznych, zwłaszcza tych kryzysowych lub o wielkim znaczeniu dla szerokich grup społecznych.

Następuje przyspieszenie przebiegu etapów kształtowania (się) opinii publicznej, co wynika z „szybkości” funkcjonowania mediów online.

Głęboka mediatyzacja komunikacji politycznej i opinii publicznej opiera się dziś głównie na datafikacji i algorytmizacji przekazywania informacji w przestrzeni publicznej, a zachowania w sieci odczytywane i wykorzystywane do komunikacji przez algorytmy nowych mediów stanowią podstawowy mechanizm kształtowania postaw elektoratu.

Obserwujemy obecnie personalizację „diety” informacyjnej (daily me), co prowadzi do rosnącej polaryzacji i fragmentaryzacji sfery publicznej oraz do nasilania się konfliktów społecznych.

W związku z rozproszeniem „władzy mediów”, związanym z wielokanałowością i personalizacją komunikowania, istnieją obawy o osłabienie tzw. common core, czyli wspólnego rdzenia opinii publicznej, które mogą prowadzić do zaniku generalnej opinii publicznej. Zamiast tego otrzymujemy mozaikę wielu nakładających się sfer i opinii publicznych, których cechą jest nietrwałość i epizodyczność.

W monografii zaproponowano również rozwiązania teoretyczno-badawcze oparte na teorii mediatyzacji oraz na połączeniu elementów składowych figuracji komunikacyjnych (aktory, ramy, praktyki) z konstelacjami medialnymi (środowiska medialne, zespoły mediów i ich repertuar). Elementy te pozwalają stworzyć model służący analizie empirycznego wymiaru procesów mediatyzacji zachodzących w różnych domenach społecznych. Model taki może być pomocny w obserwowaniu procesów mediatyzacji także w domenie opinii publicznej, w tym stopnia nasycenia technologiami medialnymi poszczególnych praktyk komunikacyjnych związanych z formowaniem się opinii publicznej.

Artykuł oparty na badaniach opublikowanych w monografii *Opinia publiczna online*, Lublin 2023.

*Dr hab. Ewa Nowak-Teter, prof. UMCS,
Instytut Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS w Lublinie*



Po prostu automatyka!

I cóż ma poczuć inżynier automatyk, pływając w swej szalupie po nieznanym morzach przemysłu, omijając rafy ignorancji, mielizny niewiedzy, targany wiatrami sztucznej inteligencji i zmagając się z własnymi wątpliwościami? Przecież się nie podda.

Automatyka, szczególnie ta w przemysłowym wydaniu, niejedno ma imię. Mówimy i uczymy o niej w różnych miejscach. W ramach automatyki rozważamy zagadnienia robotyki i automatyki procesowej, mechaniki i elektroniki. Możemy specjalizować się zarówno w algorytmach, jak i komputerowych systemach sterowania. Istnieje ogromna dziedzina technologiczna, tzw. obiektówki, czyli sprzętu automatyki wspierającego jej działanie, tj. urządzeń pomiarowych (pomiaru wszelkich wielkości elektrycznych i nieelektrycznych) oraz wykonawczych (zawory, pompy, silniki, serwomechanizmy, pozycjonery, chwytaki i inne). Automatykami są specjaliści od układania tras kablowych i ci, którzy zajmują się protokołami komunikacyjnymi czy też integracją systemów automatyki. Od automatyki już tylko jeden krok do automatyzacji procesów i budowy automatycznych systemów wytwarzania, linii produkcyjnych i zrobotyzowanych fabryk. Coraz większą popularność zdobywają i są wykorzystywane różne systemy i pojazdy autonomiczne, począwszy od zabawkowego drona, aż po łaziki marsjańskie. Do automatyki wdziera się obecnie drzwiami i oknami sztuczna inteligencja jak też wszelakiej maści uczenie maszynowe.

Automatyka niby jest, ale jej nie widać. Widzimy jedynie efekt jej działania w postaci instalacji, np. produkującej nawozy, robota lakierującego karoserię czy też rakiety trafiającej w cel. Aspekt ten ma ciekawą konotację historyczną. W czasach dawnych, w średniowieczu, najbardziej były szanowane zawody, które produkowały coś namacalnego. Krawiec szył ubrania, szewc robił buty, kowal kuł podkowy a zdun budował piece. Osoby wykonujące takie zawody zawsze cieszyły się poważaniem. Z drugiej strony byli handlarze i kupcy, którzy zarabiali nie wiadomo na czym. Kowal musiał się mocno namęczyć, aby wykuć lemiesz. Zaś kupiec, no cóż, pojechał do innego kraju, coś tam kupił, coś tam sprzedał, pogadał i zarobił mnóstwo pieniędzy z niczego. Jednak pomimo bogactwa, nie cieszył się szacunkiem. I łatwo go było wygnać, posądzić o zdradę lub spalić na stosie. Podobny los mógłby łatwo spotkać automatyka w tamtych czasach.

Kontynuując powyższą przypowieść, można podążać naracją trzema ścieżkami: szacunku do zawodu, nietechnicznego wymiaru pracy oraz samej historii automatyki. Pokróćce zajrzemy w każdą stronę.

Szacunek dla tytułu inżyniera

Dość często osoba wykonująca zawód automatyka ma ukończone studia i tytułuje się inżynierem. Jest to nawet bardziej

dobitnie dostrzegalne w nomenklaturze anglosaskiej, w której automatyk to po prostu control engineer, czyli inżynier automatyk (słowo automatician praktycznie nie funkcjonuje). Kiedy przypomnę sobie swoją młodość i dzieciństwo, w społeczeństwie zawsze istniał niekwestionowany szacunek dla tytułu inżyniera. Wspomnijmy chociażby legendarne zwołanie Maliniaka do inż. Karwowskiego z filmu *Czterdziestolatek*: „Panie inżynierze, panie inżynierze”! Studiując któryś z kierunków automatyki i kończąc studia wyższe na poziomie licencjackim, otrzymujemy tytuł inżyniera. Pozostaje pytanie, co to praktycznie oznacza. Kim właściwie jest inżynier? W literaturze można znaleźć popularną definicję, którą przytoczę: „inżynier w oparciu o swoje gruntowne wykształcenie i praktykę zawodową jest zdolny do stosowania metod naukowych i naukowego punktu widzenia, do analizy i rozwiązywania problemów technicznych. Jest w stanie przyjąć odpowiedzialność za rozwijanie i stosowanie nauki i wiedzy inżynierskiej w szczególności w pracy badawczej, produkcji, nadzorowaniu, zarządzaniu oraz kształceniu inżynierów. Praca jego jest w przeważającej części umysłowa i nieszablonowa, nie jest to praca umysłowa, której umiejętności nabywa się w drodze rutyny ani pracy fizycznej. Wymaga ona kierowania się własnym myśleniem i własnym sądem oraz umiejętnościami nadzorowania technicznej i administracyjnej pracy innych.

Wykształcenie i praktyka zawodowa inżyniera powinny dać mu szeroki pogląd na całość wiedzy technicznej, a zarazem gruntowną znajomość specyficznych zagadnień w swojej specjalności. Po zdobyciu odpowiedniego doświadczenia inżynier powinien być zdolny do dawania autoryzowanych wskazań technicznych i przejęcia odpowiedzialności za kierowanie ważnymi pracami w swojej gałęzi” (Hoser J., *Zawód i praca inżyniera*, Ossolineum, Wrocław 1970).

Jak widać, inżynier musi nie tylko mieć owe trzy literki przed nazwiskiem, ale musi mieć praktykę zawodową podbudowaną podejściem naukowym. Czyli musi wiedzieć, o co chodzi i dlaczego coś się dzieje. Po drugie musi być kreatywny. Owo nieszablonowe myślenie, niepodążanie na ślepo za wskazaniami innych czy też sztywnymi procedurami wymaga samodzielnego myślenia, rozsądku i roztropności. Te cechy pozwalają mu wziąć na siebie odpowiedzialność. Według mnie jest to najważniejsza cecha dobrego inżyniera, inżyniera automatyka również.

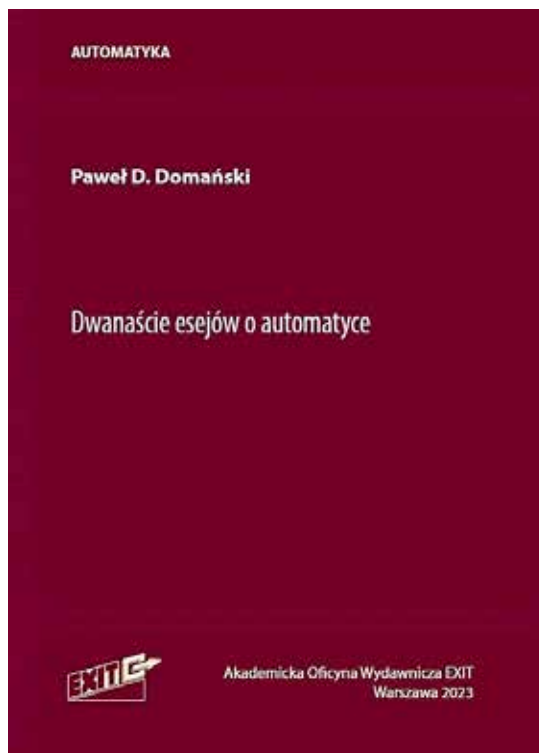
Tak jak inżynier budownictwa staje pod mostem swojej konstrukcji podczas prób obciążeniowych, tak samo inżynier

automatyk powinien umieć brać na siebie odpowiedzialność za swoje posunięcia. Błędne zestrojenie regulatora może doprowadzić do destabilizacji procesu i na przykład odstawienia instalacji czy wręcz jej uszkodzenia. Na tej instalacji pracują ludzie i jej uszkodzenie może stanowić zagrożenie dla przebywających tam pracowników. Bardzo łatwo o tym zapomnieć, siedząc przy klawiaturze stacji inżynierskiej w sterylnych, klimatyzowanych i wygłuszonych pomieszczeniach. Lecz z drugiej strony nie chodzi o strach przed decyzją. Strach paraliżuje. Lecz rzetelny inżynier wszystkie swoje decyzje potrafi uzasadnić wiedzą, praktyką i doświadczeniem. Zdaję sobie sprawę, że w obecnych czasach odpowiedzialność może być rzadkim dobrem, ale warto się z nią zmierzyć, gdyż satysfakcja z dobrze wykonanego skomplikowanego zadania jest tego warta. I właśnie za to powinniśmy szanować inżyniera, choć w obecnych czasach pojęcie szacunku mocno się wyswiechtało.

Poznać sam proces i obiekt

Praca inżyniera automatyka, w ogóle automatyka, wiąże się nie tylko z wąsko pojmowanym solowym działaniem. Automatyk, tak jak i system sterowania, nie działają w próżni. Układ regulacji raz utrzymuje temperaturę w reaktorze chemicznym, drugim razem utrzymuje pułap lotu samolotu, a jeszcze w innym przypadku zarządza systemem utrzymywania atmosfery w oranżerii ogrodu botanicznego. Żeby prawidłowo i adekwatnie dobrać taki układ sterowania, należy poznać sam proces. Nie można nadzorować reakcji chemicznych, nie znając technologii chemicznej. Nie poradzimy sobie z lotem samolotu, nie znając zasad aerodynamiki. Oranżeria niby jest prosta, ale w przypadku roślin egzotycznych łatwo je po prostu zniszczyć. Oczywiście nie ma ludzi, którzy znają się na wszystkim. Kiedy pierwszy raz byłem na bloku energetycznym, o spalaniu wiedziałem tyle co z wieczorów przy ognisku. Przed pierwszą wizytą w zakładzie chemicznym moja wiedza o reaktorach była nieskalana znajomością tematu. Ale nie o to chodzi. Nie zawsze mamy wymagany know-how, ale możemy mieć know-who. Nie jesteśmy sami, pracujemy w zespole, którego członkowie dysponują wymaganą wiedzą. Technolog zna proces, elektryk połączenia, informatyk protokoły komunikacyjne, dział utrzymania produkcji ma wiedzę o pomiarach i urządzeniach wykonawczych, księgowy o kosztach produkcji, a operator (taki pilot w zakładzie przemysłowym) potrafi nadzorować poprawne działanie procesu i zna go „od podszewki”.

Automatyk jest członkiem zespołu i musi umieć współpracować z pozostałymi członkami. Musi umieć rozmawiać, uczyć się od innych oraz samemu przekazywać współpracownikom swoją wiedzę. W ten sposób zdobywa zaufanie, zbiera bagaż doświadczeń oraz buduje swój prestiż, który towarzyszy mu przez całe życie. Tym samym nie może (w każdym razie nie powinien) dawać „plamy”, gdyż świat jest mały i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.



Zdolności miękkie, umiejętność prowadzenia rozmów o niczym, empatia, uśmiech i pomocna dłoń w połączeniu z zaangażowaniem i rzetelną pracą pozwolą na zrobienie projektu. Sama „gadka-szmatka” niepoparta wiedzą szybko ukaże, że „król jest nagi”. Zamknięty w sobie fachowiec będzie pracował, ale nie będzie lubiany i po prostu nie posiędzie wszystkich potrzebnych informacji. I jeden, i drugi będzie pracował, ale po prostu nie zrobi projektu. A nie o to chodzi, by coś zrobić (tryb niedokonany), ale żeby zrobić. O to chodzi w pracy inżyniera, automatyka również.

Musimy potrafić znaleźć złoty środek pomiędzy zdolnościami interpersonalnymi, wiedzą i pracą. W tym miejscu należy pamiętać, że praca to nie wszystko. Są jeszcze rodzina i pasje. A praca automatyka cechuje się jeszcze jednym

aspektem. System automatyki związany jest z obiektem, bez niego nie istnieje. Raz jest to elektrownia w Turcji, innym razem zakład chemiczny w Brazylii, innym razem coś tam w Chinach, Indiach czy też w Stanach Zjednoczonych, na przemian z Puławami, Opolem lub Ostrołęką. Projekt związany z automatyką przemysłową jest nieodłącznie związany z obiektem. Zdalnie wiele nie zrobimy. Trzeba pojechać na miejsce, zobaczyć, dotknąć, powąchać, spotkać się, porozmawiać z ludźmi.

Na początek wygląda to pociągająco, ale po pierwsze obiekty przemysłowe nie znajdują się w centrach turystycznych, lecz gdzieś pośrodku niczego. Po drugie ciągle podróżowanie wiąże się z nieobecnością w domu. To nie jest proste i wymaga bardzo wiele od obu stron. Ja w każdym razie nie byłbym tu, gdzie jestem, bez mojej Żony i Dzieci. Mam tego pełną świadomość.

Oczywiście można być również inżynierem automatykiem po tzw. drugiej stronie, czyli na obiekcie. Wtedy pracujemy w jednym miejscu, chyba że to korporacja i od czasu do czasu zechce nas przerzucić na inny, równie ważny front pracy. W każdym zakładzie przemysłowym jest wydział AKPiA (Aparatura Kontrolno-Pomiarowa i Automatyka). Kiedyś pracowało w nim wiele osób, które doskonale znały obiekt, opiekowały się nim na bieżąco i potrafiły samodzielnie rozwiązać wiele problemów. Ale te czasy dawno odeszły w niepamięć i nastąpiła doba outsourcingu. Większość tych fachowców została zwolniona lub wydzielona w zewnętrzne firmy, pozostawiliśmy tylko jedną bądź dwie osoby, a usługi są kupowane na tzw. rynku. W teorii wszystko wygląda świetnie, szczególnie z perspektywy Excela. Koszty obniżyliśmy, instalacja działa. W teorii wszystko powinno samo działać, ale teoria zgadza się z praktyką jedynie w teorii. Zawsze coś się zmieni, zepsuje lub wymieni, co wymaga interwencji automatyka.

Ta jedna osoba musi zarządzać całą instalacją. Po obrobieniu papierkowej roboty zostaje jej niewiele czasu na zajęcie się właściwym systemem automatyki. Może co najwyżej reagować na nadzwyczajne, awaryjne sytuacje. A w większości przypadków zrywa firmę zewnętrzną, czego oczywiście nie może nadużywać, gdyż to kosztuje. A owa firma zewnętrzna też tnie koszty. Kiedyś, gdy automatyk był na miejscu, znał doskonale obiekt

i bardzo szybko był w stanie zdiagnozować problem. Teraz nie wiadomo, kto przyjedzie. Raz pan X, raz pani Y, a kolejnym razem jeszcze inna osoba. I każda z nich za każdym razem musi się zapoznać z obiektem. I co ważniejsze, musi zakończyć swoją pracę jak najszybciej, bo to koszt w sumie dla obu stron.

Stąd też otrzymujemy jak najprostsze, uniwersalne rozwiązania (popularne szablon, ang. templates) strojone konserwatywnie i na najgorszy przypadek. Tak zestrojona instalacja pracuje daleko od optymalnych punktów pracy, ale tego raczej nie widać, a na pewno z perspektywy Excela. Rzadko kiedy są one specjalnie dopasowane do obiektu, bo przecież następnym razem przyjedzie inna osoba i musi zrozumieć strukturę. A po drugie dedykowane rozwiązania wymagają czasu. Tym samym wygrywa kilkanaście tysięcy wydane dziś, zamiast milionowych zysków za rok.

Inżynier na samym końcu łańcuszka

Z tą automatyką na obiekcie w ogóle jest „pod górkę”. Powyżej troszkę napisałem o codziennej pracy. Ale weźmy pod uwagę nowy obiekt. Założmy, że stawiamy nową instalację. Musimy zrobić projekt, zdobyć wszelkie pozwolenia, potem musimy wejść na plac budowy, przetrząść tony ziemi, wylać setki a może tysiące metrów sześciennych betonu, zbudować instalację, wszelkie rurociągi, okablowania, urządzenia pomiarowe, pompy i zawory. To wszystko kosztuje miliony, dziesiątki a może i setki. Potem pojawi się system sterowania, komputery i szafy systemowe, kilometry miedzianych kabli i światłowodów wszystko połączyć. Wydamy kolejne miliony. Ale to wciąż nie będzie działać. Trzeba zaprojektować, zaprogramować i uruchomić (zestroić) algorytmy sterowania. Wydawszy wcześniej ogromne pieniądze na te wszystkie tony stali i sprzętu, chcemy jak najszybciej przeciąć wstęgę i ogłosić sukces uruchomienia instalacji. A na samym końcu łańcuszka inwestycyjnego jest nasz inżynier automatyk, który pod presją opóźniających się harmonogramów musi wykonać swoje działania. One nie kosztują tych milionów. Wyników tej pracy również nie widać.

Zatem może po prostu trochę skróćmy czas, coś tam ograniczymy – byle uruchomić. Inżynier automatyk dobrze wie, że rzetelne wykonanie pracy wymaga czasu. Ale wiecie-rozumiecie i tak nigdy nie ma tego najradszego dobra, czyli spokojnego czasu na porządne dopracowanie automatyki. Oczywiście wszyscy niby wiedzą, że dobrze pracujący system sterowania przynosi zyski, a na pewno minimalizuje straty. Ale przecież tego nie widać. Instalacja pracuje i nic innego się nie liczy. Automatyka jako ostatnie ogniwo inwestycji bardzo często zmagą się z ograniczaniem budżetów i cięciem harmonogramów.

Skończmy jednak to narzekanie, wróćmy do automatyki jako takiej. Może jej nie widać, ale bez niej nie byłoby tego, co jest. Gdy spojrzymy wstecz, automatyka do XVIII wieku tak naprawdę nie istniała. Były maszyny proste, młyn, wiatraki i systemy nawadniania. One działały i przynosiły efekty. I dopiero w 1763 roku, gdy jak czytamy w podręcznikach historii, James Watt zbudował pierwszą maszynę parową, rozpoczęła się rewolucja przemysłowa. Tyle że sama maszyna parowa jako taka była znana już wcześniej. Już starożytni zdawali sobie sprawę z potencjału energii znajdującego się w parze wodnej. Największym osiągnięciem Watta nie była ta wielka maszyna, ale niewielki regulator odśrodkowy, który potrafił zapanować nad energią. Połączenie pomiaru prędkości obrotowej (przepływ) z zaworem wykonawczym umożliwiło automatyczne regulowanie obciążenia maszyny bez konieczności ingerencji człowieka. Po raz pierwszy pojawiło się *explicite* ujemne sprzężenie zwrotne. Zbyt duże obciążenie przynikało zawór, co je zmniejszało i vice versa.

Bez tego regulatora odśrodkowego maszyna parowa byłaby tylko kolejnym źródłem pary, takim ogromnym czajnikiem. Mówiąc dzisiejszym językiem, James Watt zbudował jednopętlowy układ regulacji przepływu z regulatorem proporcjonalnym (regulator P). To było jego osiągnięcie. I to zapoczątkowało rewolucję przemysłową. Nie chodzi o to, by generować energię, ale o to, by produkować jej tyle co trzeba, wtedy kiedy trzeba.

Algorytm PID

Na kanwie proporcjonalnego regulatora odśrodkowego zaczęła się rozwijać teoria automatyki, począwszy od pierwszego artykułu naukowego napisanego przez Maxwella w 1868. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat (w roku 1922) automatyka przyniosła rozwinięcie regulatora proporcjonalnego Watta do postaci algorytmu sterowania typu PID, czyli proporcjonalno-całkująco-różniczkującego.

I pomimo faktu, że od tego czasu ludzie napisali tysiące książek i bodajże milion artykułów naukowych o automatyce, opracowano ogromną ilość algorytmów sterowania oraz uruchomiono miliony układów sterowania, to algorytm PID wciąż ma się dobrze i jest niekwestionowanym liderem wśród struktur sterowania w przemyśle procesowym. Jego udział wynosi blisko 100%. Minęło już ponad sto lat rozwoju nauki, a na obiektach działa ten sam algorytm. Ciekawe dlaczego? Ja na swój własny użytek widzę trzy odpowiedzi: siła tradycji, edukacja automatyki oraz cechy samego algorytmu.

Kiedys w jednej z fabryk usłyszałem porzekadło: „Jak coś się przewróciło, to niech leży, bo jak spróbujemy podnieść, coś innego się może przewrócić”. Krótko mówiąc, jeśli coś działa, to tego nie zmieniamy, ponieważ działa. Nie dokonujemy zmiany



dla samej zmiany. Skoro PID działał sto lat temu, działał i pięćdziesiąt lat temu, i dziesięć, i wczoraj, to niech działa dalej. Każda zmiana wiąże się z ryzykiem awarii bądź pociąga za sobą cały łańcuszek kolejnych zmian. I tak nasz stulecie trwa.

Po drugie edukacja, tzn. jej poziom. I nie chodzi o to, że ona jest taka wspaniała, a wręcz przeciwnie. Problem jest uniwersalny na całym świecie. Edukacja albo skupia się (ale pobeżnie, bo po co mówić o stuletnim rozwiązaniu) na prostym PID, albo przeskakuje do różnych wymuskanych struktur regulacji zaawansowanej, obecnie oczywiście sztuczno-inteligentnych. Tymi zajmują się przecież naukowcy, gdyż oni muszą publikować, bo inaczej znikną. Zatem z jednej strony uczymy o jak najbardziej klasycznym PID, a potem przeskakujemy do zaawansowanych struktur sterowania predykcyjno-adaptacyjnego, które to możemy spotkać na obiekcie nad wyraz sporadycznie.

Powyższe dwa wyjaśnienia mają odcień pejoratywny. Ale na tym tle błyszczący argument nr 3. Algorytm PID jest świetny, jest prosty w zrozumieniu, jest odporny i po prostu działa. Wybacza pomyłki. Pracuje pomimo zmian na obiekcie, wszelkich zakłóceń, błędów ludzkich i awarii innego osprzętu. Czyż to nie jest wspaniałe? Współczesne wyżyłowane struktury sterowania zaawansowanego potrafią wycisnąć z obiektu wszystko, co się da. To fakt. Ale gdy na obiekcie coś się zmieni, np. punkt pracy lub choćby jej obciążenie, układ zaawansowany traci wszelkie przewagi i jego efektywność spada dramatycznie. Natomiast PID wciąż działa, z pewnością trochę gorzej, ale na pewno już lepiej od tej automatyki zaawansowanej. A dostrojenie automatyki zaawansowanej z jej optymalizacją modelami neuronowymi

wymi i czymkolwiek wymaga czasu eksperta. Jednak ekspertów jest mało i ich czas kosztuje wiele. Takie są fakty.

I cóż ma począć inżynier automatyki, pływając w swej szalupie po nieznanym morzu przemysłu, omijając rafy ignorancji, mielizny niewiedzy, targany wiatrami sztucznej inteligencji i zmagając się z własnymi wątpliwościami? Przecież się nie podda.

Być może z powyższego tekstu można by wysnuć wniosek, że sytuacja jest beznadziejna. Szczególnie że „legenda ludowa niesie”, iż automatyka jest trudna i „nie idzie” jej pojąć. Przez 30 lat walczyłem z tym przesądem i w końcu się poddałem. Nec Hercules contra plures. Ale skoro automatyka jest trudna, to właśnie dlatego należy się nią zajmować. Żadna sztuka i żadna satysfakcja przeskoczyć przez krawężnik, wystarczy mieć dwa lata. Ale pokonać poprzeczkę na wysokości dwóch metrów potrafi już bardzo niewielu. I przynosi to ogromną satysfakcję.

12 września 1962 w Houston, podczas przemówienia na Rice University, John F. Kennedy powiedział: „Dokonyjemy rzeczy nie dlatego, że są łatwe, ale właśnie dlatego, że są trudne, a przez to zmuszą nas do lepszej organizacji i wykorzystania wszystkich naszych umiejętności”.

I dlatego zajmujemy się automatyką.

Artykuł oparty na badaniach opublikowanych w monografii *Dwanaście esejów o automatyce*, Warszawa 2023.

Dr hab. inż. Paweł D. Domański, prof. PW, Instytut Automatyki i Informatyki Stosowanej, Wydział Elektroniki i Techniki Informatycznych Politechniki Warszawskiej



Zdjęcie: Opiencze/mach.pl

Etnografka

Cezaria Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa

Cezaria miała zdolności muzyczne i z wprawą grała na fortepianie. Nie planowała jednak rozwijać tego talentu, ponieważ już w gimnazjum wiedziała, że „chce zostać profesorem”. Jak wspominała w jednym z listów do swojej przyjaciółki Anieli Gruszeckiej (później Nitsch), karierę akademicką wybrała podświadomie, kierując się instynktem.

Cezaria Anna Baudouin de Courtenay przyszła na świat 2 sierpnia 1885 roku w Dorpacie. Była najstarszą córką Jana Baudouin de Courtenay (1845-1929) i Romualdy z Bagnickich (1857-1935). Miała trzy siostry i brata. Imię otrzymała na cześć pierwszej żony ojca Cezarii Pryfke (1841-1878), która zmarła bezdzietnie. Jan Baudouin był człowiekiem nieszablonywym i wybitnym językoznawcą. Matka była z wykształcenia historyczką, specjalistką od relacji polsko-rosyjskich. Nawet po założeniu rodziny nie zaniedbywała swojej pracy naukowej i społecznej. Rodzina ojca wywodziła się z francuskiej arystokracji z czasów Ludwika VI Grubego. Jeden z jego potomków przybył do Polski na przełomie XVII i XVIII wieku i służył jako pułkownik gwardii cudzoziemskiej na dworze króla Augusta II Mocnego.

Dorpackie dzieciństwo

Pierwsze lata życia Cezaria spędziła w Dorpacie (dziś estońskie Tartu). To szczególne miejsce, w którym można było usłyszeć wiele języków. W domu mówiono po polsku. Ojciec, profesor na Katedrze Gramatyki Porównawczej Uniwersytetu w Dorpacie, zajęcia prowadził po niemiecku. Wokół mieszkała większość estońska, a językiem urzędowym był rosyjski. Młodsza siostra Cezarii, Ewelina, wspominała, że dzieci posyłano do szkoły późno, w wieku 10-13 lat. Wcześniej oczekiwano od nich „chwytania wiedzy z powietrza”, z książek znajdujących się w mieszkaniu, od odwiedzających czy od służących, co czasem miało nieoczekiwane skutki (E. Małachowska, *Jan Baudouin de Courtenay w życiu prywatnym. Wspomnienia o moim ojcu*, „Przegląd Humanistyczny” nr 3/1973). Profesor miał silne przeświadczenie o wychowawczej roli pracy, dlatego starał się angażować dzieci do różnych zadań. Oddziaływał na nie głównie siłą swojej osobowości w mniejszym stopniu bezpośredniościami naukami.

Okres krakowski

Gdy Cezaria miała 8 lat, rodzina Baudouin przeniosła się do Krakowa, gdzie ojciec objął Katedrę Gramatyki Porównawczej Języków Słowiańskich na UJ. Jan i Romualda rzucili się w wir pracy społecznej. Byli aktywnymi działaczami Towarzystwa Szkoły Ludowej, Stowarzyszenia Pomocy

Naukowej dla Kobiet im. J.I. Kraszewskiego, Czytelni dla Kobiet oraz Towarzystwa Szkoły Gimnazjalnej Żeńskiej. Dzięki staraniom tego ostatniego uruchomiono szkołę średnią o profilu klasycznym dla dziewcząt, która dawała maturę i uprawniała do wstępu na austriackie uczelnie. Zaprzyjaźnili się też blisko z rodziną Bujwidów, którzy także służyli z aktywizmem. To wszystko wywarło wpływ na kształtowanie się charakteru i światopoglądu dziewczynki. Duże znaczenie miały też wpojone upodobanie do demokracji i laicki światopogląd. Przez tą mieszkankę rodzina wyróżniała się i nie była w pełni akceptowana w konserwatywnym środowisku Krakowa.

Cezaria rozpoczęła edukację formalną w wieku około 13 lat. Uczęszczała do Gimnazjum Żeńskiego, które otwarto m.in. staraniem rodziców. Nie miała najlepszych ocen, ponieważ ojciec nie pozwalał dzieciom uczyć się w nocy, sądząc, że to niehygieniczne. Cezaria miała także zdolności muzyczne i z wprawą grała na fortepianie. Nie planowała jednak rozwijać tego talentu, ponieważ już w gimnazjum wiedziała, że „chce zostać profesorem”. Jak wspominała w jednym z listów do swojej przyjaciółki Anieli Gruszeckiej (później Nitsch), karierę akademicką wybrała podświadomie, kierując się instynktem (por. D. Zamojńska, *Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa*, w: A. Żarnowska, A. Szwarc (red.): *Kobiety i kultura*. Warszawa 1996).

Sprawa „fałszywej fasji” i przeprowadzka do Petersburga

W 1900 roku ojciec Cezarii został pozbawiony katedry na uczelni. Chodziło o to, że publicznie zaprotestował przeciwko oszustwom podatkowym polskiej szlachty, która wynajmowała kamienice. Kazano mu przeproszać pomówionych i uznać, że sprawa „fałszywej fasji” (określenie Jana Baudouin) to kwestia patriotyzmu, czego oczywiście nie zrobił. W tym samym czasie został pozbawiony katedry także jego przyjaciel, bakteriolog Odo Bujwid (1857-1942). Rodzina przeniosła się do Petersburga, gdzie na tamtejszym uniwersytecie była dla językoznawcy Katedra Gramatyki Porównawczej i Sanskrytu. Cezaria w Petersburgu zdała maturę i zapisała się – jak wcześniej matka – na Kursy Bestużewskie.



Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejewiczowa

Nie przepadali za „wstrętnym Pitrem”, jak nazywali to miasto, ale rewolucja 1905 roku otworzyła dla kobiet bramy uczelni, z czego skwapliwie skorzystała Cezaria. Początkowo studiowała głównie językoznawstwo (zapewne pod wpływem ojca), ale też filologię, historię i nauki społeczne. W 1910 roku udało jej się uzyskać dyplom I stopnia Uniwersytetu Petersburskiego na podstawie rozprawy *Język modlitewnika maryjnego wieku XVI* wydanego przez prof. Ptaszyckiego.

W trakcie studiów Cezaria angażowała się w pracę stowarzyszenia o feministycznym zabarwieniu o nazwie „Spójnia” (1909). Obok Zofii Sadowskiej (1887-1960), Stanisławy Adamowiczowej (1888-1965), Kazimierzy Iłakowiczówny (1892-1983) Cezaria była jedną z założycielek. Celem organizacji była wzajemna pomoc, integracja życia towarzyskiego uczących się kobiet w Petersburgu (nie tylko studentek). Prowadzono samokształcenie w kierunku przyszłego życia publicznego. Działaczki były zdeterminowane, żeby walczyć o poprawę warunków życia wszystkich kobiet. Kluczowe było przekazywanie informacji o stypendiach, dostępnych formach kształcenia i zatrudnienia dla kobiet.

W 1910 roku w życiu Cezarii zaszła kolejna zmiana. Wyszła za mąż za sławistę i etnologa, następcę Aleksandra Brücknera (1856-1939) na Uniwersytecie Berlińskim i jednocześnie ucznia ojca, Maximiliana Vasmera (1886-1962). Małżonkowie wybrali się najpierw w podróż do Grecji, gdzie obydwójce prowadzili badania naukowe. Owocem były dwie publikacje Cezarii: *Albanja i Albańcy* (Petersburg 1913) oraz *Kamień Latyr i Gorod Altyr* (Petersburg 1914). Vasmerowie przebywali też przez pewien czas w Austro-Węgrzech, gdzie Cezaria uczyła na wykłady w Grazu (do Rudolfa Meringera) i Wiedniu (do psychiatry Ernsta Kretschmera). Między młodymi małżonkami doszło do konfliktu dotyczącego aktywności zawodowej Cezarii. Ona dążyła do kariery akademickiej, on – by żona pełniła rolę pani domu. Ostatecznie para rozstała się po trzech latach. Rozwód ułatwiło protestanckie wyznanie męża. Wiązało się to także z tym, że Cezaria zdecydowała się nie wracać do rodziców i Petersburga. Zamieszkała w Warszawie.

Od 1913 roku pracowała jako nauczycielka w prywatnych szkołach żeńskich. Uczyła języka polskiego, rosyjskiego i łaciny. Angażowała się też w życie społeczne. Cieszyła się z „wartkiego życia narodowego, wyzwolenego, młodego, pełnego wiśniowych pędów” (tak pisała do swojej przyjaciółki Anieli Gruszc-

kiej-Nitschowej w liście z maja 1913 roku). Bliskim sugerowała, że pracuje w konspiracji, dlatego podczas wojny nie chciała jechać do rodziny. Rzekomo w podziemiu poznała przyszłego męża Stefana Ehrenkreutza (1880-1945). Wtedy był to wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, Uniwersytetu Warszawskiego, działacz PPS. Ehrenkreutz z wykształcenia był historykiem prawa, później będzie ostatnim rektorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Okres wileński

Ehrenkreutzowie pobrali się w 1916 roku. Rok później urodziła się córka Krystyna. Stefan miał jeszcze starszą córkę z pierwszego małżeństwa – Emilię. Później Cezaria urodziła jeszcze dwóch synów, Tadeusza (1919-1976) i Andrzeja Stefana (1921-2008). Córka zmarła w wieku 10 lat, co było tragedią dla rodziny. Młodszy bracia dożyli wieku dorosłego. Najmłodszy był wieloletnim profesorem historii i orientalistyki, działaczem polonijnym w Ann Arbor w stanie Michigan w USA.

W 1920 roku rodzina przeniosła się do Wilna (według Henryki Ilgiewicz było to dwa lata później), gdzie Stefan był jednym z organizatorów uniwersytetu (*Profesor Cezaria Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutzowa-Jędrzejewiczowa*, „Annales Collegii Nobilium Opolienses” 2022/11, s. 36). Cezaria pracowała nadal jako nauczycielka, tym razem w Państwowym Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej, ale marzyła o habilitacji. Miała nadzieję, że otworzy jej ona drogę do zatrudnienia akademickiego, co dawałoby większe wsparcie dla badań naukowych. Miała zresztą dużo materiału własnego, żeby przygotować rozprawę habilitacyjną z dziedziny etnologii. Środowisko akademickie było jej niechętnie z trzech powodów: ponieważ była kobietą, ze względu na nietypową dyscyplinę, którą wówczas w Polsce mało kto się zajmował i wreszcie ze względu na zaplecze rodzinne w postaci męża i ojca. Budziło to podejrzanie o nepotyzm. Ostatecznie Cezaria uzyskała habilitację na Uniwersytecie Warszawskim w 1922 roku. Uzyskała ją na podstawie pracy *Święta Cecylia. Przyczynek do genezy apokryfów* (Lwów 1923). Książka dotyczyła klasycznej Europy. Omawiała też problemy teoretyczne z zakresu historii i etnologii.

Od 1923 roku Cezaria prowadziła na USB wykłady zleczone, podjęła się scalania bibliotek i kolekcji artefaktów o charakterze etnograficznym, które odnosiły się do tradycji ludowych Wileńszczyzny. W 1925 roku zorganizowała wystawę tkanin ludowych. Doprowadziła do utworzenia Muzeum Etnograficznego, którego celem było „gromadzenie zabytków kultury technicznej, społecznej i duchowej regionu wileńskiego” (Zamojska 1996: 166). Do tak nietypowej kolekcji trzeba było opracować zasady reguł gromadzenia i opisywania eksponatów. W 1926 roku Cezaria wydała *Wskazówki dla zbierających przedmioty dla Muzeum Etnograficznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie*. Przy muzeum prowadzono też archiwum, gdzie gromadzono materiał z badań terenowych. Cezaria organizowała liczne wycieczki do okolicznych wsi i fotografowała zabudowę, narzędzia, ludzi. Etnografię popularyzowała poprzez omawianie obrzędowości i „etykiety” ludowej. Na przykład obrzędy weselne na wsi uznała za przejaw formy dramatycznej. Gromada daje zgodę na ekonomiczne usamodzielnienie się kolejnej pary. Cezaria badała, na ile forma obrzędu

i jego elementy są stałe i powtarzalne, a na ile swoiste. Była to jedna z pierwszych prób teoretycznego podejścia do zagadnień ludoznawczych, które wówczas rzadko wychodziły poza sam opis (książka pt. *Ze studiów nad obrzędami weselnymi ludu polskiego*, Wilno: Towarzystwo Przyjaciół Nauk).

Na USB miała dwóch kontynuatorów: Witolda Dynowskiego (1903-1986) i Marię Znamierowską-Prüfferową (1898-1990). Była kustoszka Muzeum Etnograficznego wspominała: „Ośrodkiem zainteresowania w badaniach nad kulturą ludową uczyniła Ehrenkreutzowa człowieka żyjącego w określonym środowisku, nosiciela własnych cech etnicznych, poprzez tradycje związanego z grupą ludzką, którą reprezentuje. Wielką wagę przywiązywała do bezpośredniego badania w terenie konkretnych zjawisk zachodzących w kulturze, w jej strukturze, w morfologii funkcji wytworów oraz w ich przeobrażeniach” (M. Znamierowska-Prüfferowa, *Zakład Etnologii Uniwersytetu Stefana Batorego 1923-1939, Z dziejów Almae Matris Vilnensis: Księga pamiątkowa ku czci 400-lecia założenia i 75-lecia wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego*, Kraków 1996, s. 66)

W listopadzie 1929 roku środowisko wileńskie wreszcie uznało dorobek i dokonania organizacyjne etnografki. Cezaria uzyskała tytuł profesora nadzwyczajnego etnologii i etnografii na Wydziale Humanistycznym USB. Oprócz tego prowadziła ćwiczenia i wykłady z etnografii w Szkole Nauk Politycznych, która działała przy wileńskim Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej. Stała na czele Sekcji Etnograficzno-Geograficznej tego Instytutu i była członkinią redakcji czasopiśma „Balticoslavica”. Pełniła rolę przewodniczącej wileńskiego oddziału Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem.

Sukcesom zawodowym nie towarzyszyła pomyślność w życiu prywatnym. Po śmierci córki Krystyny w 1927 roku małżeństwo Ehrenkreutzów zaczęło się rozpadać. Zakończyło się rozwodem i wyprowadzką do Warszawy.

Okres warszawski

W 1934 roku Cezaria przeprowadziła się do stolicy. Otrzymała zatrudnienie na nowej Katedrze Etnografii Polski i tytuł

profesora zwyczajnego. Wysłała też po raz trzeci za męża. Tym razem za Janusza Jędrzejewicza (1885-1951), który był ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, a potem także szefem rządu. Wszystko to było dla ówczesnej opinii publicznej skandaliczne. Po pierwsze dlatego, że reformy przeprowadzone przez Jędrzejewicza w 1933 roku postrzegano jako zamach na autonomię szkolnictwa wyższego i próbę wyeliminowania osób nieprzychylnych sanacji. Katedry likwidowano, zamiast fundować nowe, a tymczasem Cezarii „trafił się” taki awans. Po drugie, krytycznie patrzono na sytuację rodzinną etnografki: trzeci mąż, do tego minister, ojciec – profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Sądzono, że taki awans nie może mieć merytorycznych podstaw. Co więcej, sugerowano, że nowa pani Jędrzejewiczowa (Cezaria była drugą żoną Janusza) ma zbyt duże wpływy w ministerstwie, gdzie pociąga za sznurki według własnych potrzeb.

Początkowo tematy naukowe podejmowane w Warszawie przez Jędrzejewiczową oscylują wokół Kresów. Publikuje artykuły: *Dwie kultury, dwie nauki* (1934) oraz *Folk dances and wedding customs in Poland* (1935). Kontynuowała badania nad legendą św. Jerzego. Ciekawość badawcza prowadziła ją w stronę coraz bardziej egzotycznych wątków podsumowywanych w nurcie fenomenologii. Przeciwwstawiała się rosnącemu w siłę antysemityzmowi. Zaangażowała się w Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. W życiu prywatnym także wiodło się jej pomyślnie. Dobrą passę przerywa II wojna światowa.

Czasy wojenne

Małżeństwo Jędrzejewiczów opuściło Polskę w 1939 roku. Cezaria straciła wspomnianą, niemal już ukończoną pracę o kulcie św. Jerzego. Ewakuowano ich do Rumunii, gdzie były minister podjął się pracy nauczyciela matematyki w szkole średniej. Potem przenieśli się wraz z falą emigrantów na Bliższy Wschód. Rejon był atrakcyjny etnograficznie, więc Cezaria próbowała odtworzyć pracę o św. Jerzym. W centrum jej zainteresowania było przetwarzanie wątków mitologicznych – co miał wspólnego pogański bożek płodów rolnych o imieniu



Uniwersytet w Dorpacie, 1900



Maximilian Vasmer



Janusz Jędrzejewicz

Georgios z chrześcijańskim św. Jerzym. Pani Jędrzejewiczowa była świadoma także tego, że naukowcom potrzeba zaplecza organizacyjnego, dlatego od samego początku angażowała się w życie organizacyjne emigracji. Od 1942 roku pracowała w Towarzystwie Studiów Iranistycznych oraz w Biurze Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu (w sekcji orientalistycznej). Od 1944 roku stała się szefową tej drugiej instytucji, po wyjeździe jej dotychczasowego dyrektora Stanisława Swianiewicza (1899-1997). Według Rafała Stobieckiego była jedną ze współpracowniczek „Kwartalnika Historycznego na Wschodzie”, który był pierwszym periodykiem naukowym Polaków na emigracji. Czasopismo założyli historycy: Jan Adamus (1896-1962), Leon Koczy (1900-1981) i Walerian Charkiewicz (1890-1950). W 1945 roku Cezaria zaangażowała się w prace Polskiego Humanistycznego Instytutu Naukowego w Jerozolimie. Zachęcała innych naukowców do kolekcjonowania artefaktów etnograficznych podczas przymusowej emigracji. W tym duchu wydała *Wskazówki dla zbierających przedmioty dla muzeów i archiwów etnograficznych w Polsce* (Jerozolima 1944).

Życie na emigracji

Po zakończeniu wojny stało się jasne, że Jędrzejewiczowie nie mają czego szukać w nowej rzeczywistości Polski Ludowej. W 1947 roku przybywają więc do Londynu. Rok później Cezaria zostaje jedną z założycielek Polskiej Rady Naukowej na Obczyźnie. Prowadzi badania etnograficzne. Zbiera relacje emigrantów na temat zwyczajów ludowych z ziem polskich. Regularnie publikuje w Roczniku Towarzystwa. Od 1958 roku była rektorem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, w którym od początku jego istnienia kierowała Katedrą Etnografii. Brała też czynny udział w inicjatywach działającego w Wielkiej Brytanii stowarzyszenia o nazwie Społeczność Akademicka USB, która skupiała uczonych-emigrantów. Była też członkinią zarządu londyńskiego Zrzeszenia Polskich Profe-

sorów i Wykładowców na Obczyźnie i Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Odbywała podróże naukowe do Stanów Zjednoczonych i Francji. W 1962 roku odwiedziła Kanadę z rocznym cyklem wykładów, co było zorganizowane przez Polski Instytut Naukowy w Montrealu. Była też członkinią angielskiego stowarzyszenia naukowego Royal Anthropological Institute of Great Britain and Ireland.

Cezaria zmarła 28 lutego 1967 roku w Londynie w wyniku choroby nowotworowej. Mimo pogarszającego się zdrowia, niemal do końca pracowała i zachowała przytomność umysłu. Pochowano ją na cmentarzu Elmers End obok męża Janusza Jędrzejewicza.

Lucjan Turkowski, współpracownik i przyjaciel Cezarii, opisał ją w następujący sposób: „niepodobna ująć w słowach pełni jej osobowości o niezwyklej kulturze osobistej i wielostronnych talentach, zarówno w dziedzinie nauki, jak też muzyki i sztuk plastycznych. Miała przy tym niezwyklej dar obcowania z ludźmi i szczególny urok w prowadzeniu wykładów, zwłaszcza seminaryjnych zebrań, z których najbardziej »privatissima« [...] dawały najwięcej natchnionych koncepcji i intuicyjnych rozwiązań trudnych zagadnień. Jak Sokrates wołała nauczać w kontaktach bezpośrednich, a nie w bezosobowej formie ogłaszanych druków. [...] Prawdziwa humanistka interesowała się żywo osiągnięciami swoich uczniów i nie szczędziła wysiłków, by umożliwić im zrealizowanie swoich prac i naukowych poczynań (Prof. dr hab. Cezaria Baudouin de Cortenay Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa, „Lud” 1968/52, s. 357).

Układ powojennych wpływów odciął Cezarię od pracy etnograficznej w kraju. Sprawił też, że na naszym rodzimym podwórku teksty uczonej były niemal zupełnie niezbrane. Nie była to jednostkowa sytuacja, a raczej rodzaj strategii przyjmowanej przez komunistów. Wiele lat po śmierci etnologa okazało się, że jej teksty były spójne ze światową myślą etnograficzną, gdzie dominowało fenomenologiczne postrzeganie badanych zjawisk.

Kilka uwag o myślach i metamyślach u badaczy

Paradoks dialogu polega na tym, że można go toczyć między sobą a sobą, a więc jednak gdy do rozmowy są co najmniej dwie osoby – ja z sobą. Dialog może być także, jak w powieści albo na scenie, wieloosobowy, z wieloma ja. Tak działa dialog w sobie i dla siebie, dialog twórczy. Tak dialog z samym sobą prowadzi na przykład poeta, a prozaik może mieć w sobie dialogi wielu osób, i to nie jest żaden paradoks, tylko konieczność. Metoda wyobraźni. Sprawa warsztatu literackiego.

A dialog bez ustanku się toczy nawet w każdym świadomym człowieku, i to we śnie. Myślenie (w tym sen, który jest myśleniem wysokiego poziomu, bo jak sądzę, pozbawionym autocenzury, unikającym kontroli logiki i nonsensów) jest dialogiem, wręcz fizycznie rozmową z samym sobą właśnie.

Dialog tekstowy (literacki) to nie zawsze rozmowa, w fizycznym znaczeniu tego wyrazu, to jakże często sposób zapisu wymiany i analizy własnych myśli, informacji, ocen i analiz, szukania rozwiązań i odpowiedzi. Wszystko spisuje nam się wtedy jako dialog (i czyni pozory tekstu o ciągłej kontynuacji wypowiedzi) na wzór mówienia, ale bez wtrącania ogromu śmieciowych uwag, szczegółów i spostrzeżeń, które w wypadku rozmowy z drugą osobą często utrudniają tworzenie konkluzji, a to na skutek ustawicznego wyrastania rozmaitych przesłon powstających z nadmiaru bezużytecznych informacji, pobocznych argumentów, przypadkowych skojarzeń i dowcipkujących aluzji.

Wszystko to, niczym siatka z drutu magnetyzmu, uniemożliwia fluidom wspólnoty myślenia przenikanie się myśli i korzystanie z faktów, a więc zdarzeń, rzeczy i dowodów. Narastają sterty odpadów. Osoby kształcone na naszych uczelniach przeważnie rozmawiają, stojąc na swoich betonowych stanowiskach i nie zamierzają się od tego uwalniać. Przeciwnie, uważają, że tak ma wyglądać ich świat bezpieczeństwa, w rzeczywistości bańka mydlana, której wewnątrz nie zawiera żadnych nowości zagrażających pęknięciem powłoki stworzonej samemu sobie, w której można się lenić, w kółko powtarzając znane sobie rzeczy i sprawy.

Na każde twoje nowe słowo (hipotezę, odkrycie, wynalazek, uwagę trafnie korygującą zastany pogląd, istniejącą definicję i tak dalej) oni mają swoje odwrotne słowo obronne, bezdowodowe, lecz ozdobne, erystyczne, dyktowane jednak tylko przez emocje z powodu pęknięcia ścianek bańki: jestem w defensywie, pilnuję swego terytorium, obszaru mojego środowiska. Jeśli zmienię dotychczasowe zdanie, to mogę być natychmiast wykluczony. Myślą wtedy: Co zrobię, jeśli ulegnę i uruchomię myślenie nowe? Z kim będę wymieniał (-a) opisy stereotypów, zakręty urobionego słownictwa, standardy opinii (nieważne, że mylnych)? Kto mi pożyczysz słówkę, kiedy będę potrzebował, kto zeszyt z notatkami z konferencji, które od lat potwierdzają mój nienaruszalny zakres wiedzy?

Taka rozmowa z samym sobą przeważnie wydaje się bezpieczna, jak to z kolegami z własnej grupy ideowo-politycznej, bo nie jest dialogiem osób o różnych poglądach. Jednak może niebezpiecznie toczyć się w trybie koła rozważań pustych, bo nie napotyka cudzej obrony ani ataku na twoją myśl świeżą a ciekawą. Możesz roztrząsać nowe i zestawiać ze starym, nadzarpując standardy, możesz zadawać kłam poglądom i defasować dotychczasowy język. Możesz być więc sobą? Ale raczej tylko ze sobą. Z innymi grozi ci niebezpieczeństwo.

Może się to skończyć tym, że następnego dnia pójdziesz między swoich i powiesz coś, co, mimo że jest prawdziwe, słuszne i odkrywcze, środowiskowo okaże się zakazane i zagrozi ostracyzmem.

Tak się skłaniamy ku nawykowemu produkowaniu metamyśli, czyli ku myśli o myśleniu dotychczasowym a zagrożonym przez niewłaściwy odbiór naukowy i społeczny – choćby w grupie; w redakcji czasopisma, w którym nikt nie będzie nawet starał się rozumieć twoich rozważań, a recenzenci, zdumieni twoimi odkryciami, zniechęcą cię i napiszą, żeś jest ignorantem. Przecież wiesz, ile dobra naukowego zniszczyli nienaukowi koledzy naukowcy, i to zanim ta jakość miała szansę ukazać się światu! Potem będzie musiał się urodzić jakiś nowy odkrywca, mocniejszy od ciebie, i wymyślić to ponownie.

Osobnik naukowy lepiej wyćwiczony w myśleniu okroi problem z brzegowych wartości odchyień standardowych, czyli z przypadków rzadkich i nietypowych. Jak w równaniu Daniela Bernoulliego, które początkowo było niezwykle skomplikowane i nie całkiem objaśniało zjawisko przepływu płynów (cieczy i gazów). Ale Bernoulli to wiedział, bo rozmawiał ze sobą. Rzecz często wydawała się ostatecznie sformułowana, mimo ciągłego dodawania coraz to nowszych zastrzeżeń i dopełnień, a jednak myśli, w tym sensne, nie dawały spokoju. Upór uczonego sprawił, że po ostatecznym ustaleniu równania hydrodynamiki płynów wszystko stało się niebylegale proste. Z wyjątkiem jednego. Jakiś niedowarzony krytyk zaatakował tezę, że zwężenie rury przepływu płynu w oczywisty sposób powoduje obniżenie w niej ciśnienia. Nie chciał w to uwierzyć, bo na zdrowy rozum wydało mu się, że jest odwrotnie – ciśnienie w zwężonej rurze powinno być wyższe, bo tam w niej przecież robi się ciałniej, a jak ciałniej, to gęściej. Nie przyjmował do wiadomości, że Bernoulli lepiej niż on przemyślał prawo hydrodynamiki, zasadę zachowania energii, i że po przyplięnięciu z szerokiej rury do zwężonej płyn przyspiesza kosztem energii swego ciśnienia. Coś za coś, mówiąc po prostu. Żeby na to wpaść, trzeba zacząć myśleć. Tak to działa.

e-mail: lpj@lpj.pl

Na gruzach wieży Babel



Jakiś czas temu moja córka (cztery lata) zażądała w kawiarni: „Tata, włącz waklasienie”. Przez chwilę nie rozumiałem, ale nastąpiło olśnienie – „waklasienie” to „waskriesjeńje”, czyli воскресение (po rosyjsku „zmartwychwstanie”, a także „niedziela”). Chodziło jej o to, żebym włączył na smartfonie aplikację, przy której kilka razy ćwiczyłem wymowę rosyjską. W tym momencie nieznamy mężczyzna spytał, czy nie boję się, że dziecku pomieszają się języki. Odpowiedziałem, że i tak słyszy w domu kilka języków, gdy nie chcemy, by nas rozumiała, przechodzimy

na chwilę na niemiecki (angielski ma już w przedszkolu).

Stereotypy o nauce języków obcych i różnie rozumianej wielojęzyczności to ważny wątek w książce Johna C. Mahera. Skutkują czymś więcej niż teoretycznymi sporami, gdyż w wyniku traktowania wielojęzyczności jako potencjalnego zagrożenia, np. dla poprawnego przebiegu edukacji, niektóre mniejsze języki zanikają. Ktoś mógłby stwierdzić: To żaden problem. Im mniej języków na Ziemi, tym ludziom będzie łatwiej się dogadać. Jednak Maher w swoim wywodzie wchodzi stopniowo na coraz wyższy poziom ogólności. Bogactwo języków to bogactwo językowych obrazów świata i sposobów jego rozumienia. Nawet martwe języki, jeśli tylko zostały opisane i/lub zarejestrowane, pozwalają poszerzać wiedzę w różnych obszarach. Jednocześnie autor nie poprzestaje na sugestywnych metaforach w rodzaju „Znać inny język – to jak mieć drugą duszę” (przypisywane Karolowi Wielkiemu), ale przytacza zarówno wyniki studiów badawczych, jak i dowody z praktyki edukacyjnej i społecznej z krajów wyraźnie dwu- lub wielojęzycznych (najciekawsze pochodzą z Kanady). Z konieczności skróto omawiane są najczęściej wyróżniane rodzaje wielojęzyczności: używanie innego języka w pracy czy szkole, a innego w domu, innego w sytuacjach oficjalnych, a innego do codziennej komunikacji.

Metafory bywają bowiem niebezpieczne, jeśli potraktować je zbyt szeroko. Maher jako przykład wskazuje Herdera, który tak bardzo podkreślał odmiennosc różnych narodów, że nie wierzył w możliwość autentycznego porozumienia między nimi; z takiego właśnie myślenia (w zniekształconej i zwulgaryzowanej wersji) wynikają negatywnie rozumiany nacjonalizm i ksenofobia. Autor podaje zatem przykłady z różnych kręgów kulturowych, gdy mieszanie przez mówiących różnych języków w obrębie jednej wypowiedzi przyczynia się do jej wzbogacenia (zarówno treściowego, jak i stylistycznego), a nie do utraty czegoś czy ogólnego obniżenia poziomu mówienia i myślenia. Ważnym wątkiem jest znaczenie języka w polityce – przy kształtowaniu się państw narodowych i podkreślaniu przez nie odrębności (wątek ważny w kontekście rosyjskiej inwazji na Ukrainę). Obrazoburczo dla niektórych czytelników mogą zabrzmieć rozważania o mniejszym, zdaniem Mahera, niż się uważa znaczeniu tożsamości narodowej/etnicznej u osób, które wyemigrowały do innego kraju lub są potomkami imigrantów. Jakkolwiek prezentuje on wyłącznie subiektywną perspektywę, inspirowane mogą okazać się spostrzeżenia o kształtowaniu się w wielokulturowych społeczeństwach tożsamości mieszanych, czasem będących wręcz efektem świadomego wyboru. Relacje między wielojęzycznością i wielokulturowością są złożone, nawet jeśli ta druga nie wszędzie dobrze się sprawdza (zamiast jednego pluralistycznego społeczeństwa powstają bańki), ta pierwsza nie musi być postrzegana jako zagrożenie samo w sobie. Nie bez powodu moja córka domagała się możliwości powtórzenia za aplikacją słów po rosyjsku, książka Mahera pozwala głębiej zastanowić się nad tym, czy ten lub inny język może być czymś wstydlivym lub zakazanym z powodów politycznych. Wielojęzyczność to nie akademicki problem, to codzienne wyzwanie.

Marek Misiak

John C. MAHER, *Wielojęzyczność*, tłum. Weronika Szubko-Sitarek, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023, seria: Krótkie Wprowadzenie.

W kierunku zagłady



Zacznijmy od tego, że antropocen oficjalnie nie istnieje. Według klasyfikacji geologicznej żyjemy obecnie w holocenie, a dyskusje nad tym, czy nastąpiła już nowa epoka, trwają przynajmniej od trzydziestu lat. W związku z tym Międzynarodowa Komisja Stratygrafii, która zajmuje się ustalaniem tabeli stratygraficznej, powołała Grupę Roboczą do spraw Antropocenu. Do niedawna przewodniczył jej brytyjsko-polski geolog profesor Jan Zalasiewicz z Uniwersytetu w Leicester.

Od połowy ubiegłego wieku człowiek zmienia środowisko na niespotykaną dotąd skalę. Ślady po naszym obecnym życiu przetrwają miliony lat w postaci warstwy betonu, pierwiastków promieniotwórczych, którymi skaziliśmy glebę, plastików, sadz z kominów i rur wydechowych czy związków fosforu i azotu używanych do nawożenia pól. Prof. Zalasiewicz w rozmowie z autorem książki przytoczył żarty geologów o kolegach z przyszłości, którzy natkną się na warstwę butelek po coli i zaczną się zastanawiać, co one oznaczają. A oznaczają między innymi to, że pod wpływem działania człowieka Ziemia zmieniła się w sposób nieodwracalny. Niestety, w dużej mierze są to zmiany negatywne, a przekształcanie środowiska już zaczęło obracać się przeciwko nam.

Tytuł książki *Ostatnia minuta* możemy więc interpretować na kilka sposobów. Po pierwsze, odnosi się on do popularnego porównania historii Ziemi do tarczy zegara, na którym czas od pojawiania się człowieka można przedstawić w postaci jedynie minuty w dziejach planety. Po drugie, o ostatniej minucie mówimy też w kontekście końca istnienia człowieka, któremu na skutek własnej działalności grozi zagłada. Po trzecie, ostatnią minutą jest również ostatnia chwila na naszą reakcję, by do tej zagłady nie dopuścić.

Według prognoz z powodu ocieplenia klimatu i podniesienia poziomu wód oceanicznych jeszcze w tym wieku zatoną całe państwa wyspiarskie dziś położone parę metrów nad poziomem morza. Ten problem dotyczy również wybrzeży Bałtyku. Nasze morze podnosi się powoli, o kilka milimetrów rocznie. Te dodatkowe milimetry są w stanie realnie nam zagrozić, ale niewiele robimy, by przygotować się na katastrofę. Wizje budowy olbrzymiej zapory na oceanie, która miałaby ochronić przed Atlantykiem baseny Mórz Północnego i Bałtyckiego, „brzmia szaleńczo” – jak pisze autor książki – „ale pomysł jest jak najbardziej wykonalny”. Budowa zapory pochłonięłaby jednak nie tylko olbrzymie środki finansowe, lecz także wywołałaby znaczne zmiany w ekosystemach obu akwenów. „Oczywiście lepiej byłoby ograniczyć globalne ocieplenie” – podsumowuje prof. Kjellsson, jeden z autorów pomysłu budowy zapory.

Zanieczyszczenie środowiska i zabijający nas na potęgę smog wydają się nam bardziej realnym zagrożeniem niż ocieplenie klimatu. Nadal jednak wielu z nas udaje, że i ten problem go nie dotyczy.

Nie byłibyśmy pierwszą cywilizacją, która doprowadziła do samozagłady, niszcząc swoje otoczenie. Lud Rapa Nui z Wyspy Wielkanocnej na skutek całkowitego wylesienia wyspy pozbawił się materiału budowlanego i opału oraz utracił sporą część jadalnych roślin i zwierząt. Z tego powodu liczba ludności z 10–15 tysięcy spadła do 2–3 tysięcy.

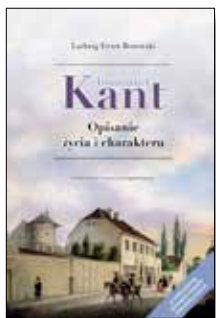
Zmiany klimatu już teraz negatywnie wpływają na funkcjonowanie państw, przynosząc nieoczekiwane następstwa. Wojna domowa w Syrii została nazwana pierwszą wojną klimatyczną. Poprzedziły ją cztery lata olbrzymiej suszy, która wobec wcześniejszego wzrostu populacji doprowadziła do migracji rzesz ludzi do miast, głodu i wybuchu protestów.

Sporo miejsca w książce autor poświęca przyczynom i skutkom pandemii Covid-19. Niestety według prognoz nie była to ostatnia pandemia antropocenu. Czy skoro mamy tak dużą wiedzę na temat okoliczności upadków cywilizacji, w ostatniej minucie uda nam się zapobiec katastrofie?

Justyna Jakubczyk

Tomasz ULANOWSKI, *Ostatnia minuta. Pieszo przez antropocen*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2023.

W oczach ucznia



Uczeń, biograf i przyjaciel Kanta, Ludwik Ernst Borowski, odkryty po 200 latach przez dwóch naszych filozofów Artura Banaszkiwicza i Artura Przybysławskiego, to ciekawa postać. Urodził się w 1740 roku w Królewcu, w czasach, gdy w mieście język niemiecki funkcjonował jeszcze obok polskiego i litewskiego. Był synem zakrystianina (dzwonnika) i właściciela małej fabryczki. Po ukończeniu Collegium Fridericianum, królewieckiego gimnazjum, w roku 1755 po raz pierwszy zetknął się z Kantem na jego wykładzie i towarzyszył mu

już do śmierci. Borowski pociągała jednak bardziej Biblia niż filozofia, został więc kapłanem, a w 1829 roku biskupem ewangelickim. Przed śmiercią w 1831 roku otrzymał Order Orła Czarnego, najwyższe pruskie odznaczenie, a wraz z nim szlachectwo.

Borowski maluje portret Kanta jako niedoścignętego w praktyce wszelkich cnót. Jest on wzorem życia kontemplacyjnego poświęconego filozofii. Wobec wszystkich pochwał i zachwyty nieczuły. Biograf Kanta zauważa, że ojciec filozofa wymagał od syna pilności i całkowitej prawomyślności, a matka chciała mieć w nim syna pobożnego. Owa pobożność Kanta dla przyszłego pastora Borowskiego miała charakter pietystyczny, ukształtowany najprawdopodobniej przez obsesję objawiającą się skłonnościami do bezwzględnej przestrzegania godzin częstych modłów. Być może tu tkwiło źródło rygorystycznej punktualności Kanta.

Kant nigdy się nie ożenił. Wielokrotnie pytano go dlaczego. Układał plany matrymonialne swoim przyjaciółom, zawsze jednak pod kątem zabezpieczenia ich sytuacji ekonomicznej. Nie był wrogiem płci przeciwnej. Przebywał z upodobaniem w towarzystwie kobiet wykwiśniętych. Nie wymagał od nich uczoności, lecz zdrowego rozsądku i pogody ducha, a przy tym gospodarności i baczenia na sprawy domu i kuchni. Nie cierpiał kobiet, które zaczynały dyskutować o filozofii czy polityce.

Kant znany był z rygorystyzmu moralnego. Borowski wspomina, że życie tak bezpieczne i jednostajne a zarazem pozbawione konfliktów i wyborów moralnych dawało mu właśnie łatwość ferowania moralnych wyroków, co mogą czynić ludzie, którzy nigdy nie stanęli przed trudnym wyborem etycznym. Paradoksalny wydaje się jego moralny autorytet, jakim obdarzony był przez współczesnych, który pozwalał mu zza biurka objaśniać, że niemożliwym jest kłamać, gdy morderca pyta nas o znane nam miejsce przebywania swej przyszej ofiary.

Kant miał być w codziennym życiu banalny i całkiem zwyczajny, tak że trudno w nim było się domyślić jednego z najgenialniejszych filozofów świata. Nie inaczej zaprezentował się w czasie wykładów, które tak rozczarowały Fichtego pielgrzymującego do Królewca z Warszawy na piechotę. Jak ujął to Heine: „Cóż za osobliwy kontrast między z zewnątrz widzianą postacią żywota tego człowieka a jego niszczytelką, miążdzącą świat myślą. W rzeczy samej, gdyby królewieccy mieszczanie przeczuwali wagę tej myśli, odczuwaliby przed owym mężem lęk większy jeszcze niż przed katem, który wszak dokonuje egzekucji jedynie na ludziach” (H. Heine, *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*, przeł. T. Zatorski, Wydawnictwo Nomos, Kraków, 1997).

Borowski zauważa, że Kant przejawiał dążenie, by całe życie oprzeć na ugruntowanych zasadach. Wszystko co wielkie i małe, ważne i nieważne formułował w maksymy, od których zawsze wychodził i do których zawsze wracał. Maksymy te spletały się z jego jaźnią tak ściśle, że nawet w danym momencie nieuświadomiamy ich sobie wyraźnie, nadal kierował się nimi w swoim postępowaniu. Nic dziwnego, że inny nasz biograf Kanta, Bolesław Miciński, opisał jego życie jako dzieło sztuki wykute przez rozum i wolę.

Bogdan Bernat

Ludwig Ernst BOROWSKI, *Immanuel Kant. Opisanie życia i charakteru*, tłum. Artur Banaszkiwicz, Artur Przybysławski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.

Z cenzorskiego czyścica



Waław Grubiński 1883-1973, dramaturg, prozaik felietonista. W 1907 roku władze carskie wytoczyły mu proces z powodu odniesień do bieżącej polityki w noweli *Uczta Baltazara*, w 1921 opublikował groteskę polityczną *Lenin*, która w roku 1942 stała się powodem aresztowania autora przez NKWD i skazania na karę śmierci zamienioną na 10 lat łagru. Uwolniony w 1943 na mocy układu Sikorski – Majski, ostatecznie zamieszkał w Londynie, gdzie został współzałożycielem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, członkiem Głównej Komisji Skarbu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej.

Trudno o jednoznaczną, pod względem poziomu literackiego, ocenę dorobku Waława Grubińskiego, wszak nawet jego współcześni różnorako zapatrywali się na tę twórczość; chwaląc, ganiąc bądź oskarżając czasem o obrazoburstwo, jak w traktującej o kazirodczej miłości sztuce *Kochankowie* (1915). *Dziennik 1943* oprócz opisów codziennej londyńskiej rzeczywistości zawiera również spostrzeżenia podrózne z Bombaju do Cape Town. Tematyka diariuszowych wpisów bywa niejednokrotnie prozaiczna i plotkarska, Grubiński często gani lub chwali urodę kobiet, opisuje, jakie posiłki jadł i do kogo lub z kim udał się na obiad. Również romansowym niedyskrejom poświęca odrobinę miejsca oraz spostrzeżeniom, w których istotną rolę odgrywa miłość własna, a mianowicie dotyczącym własnej powierzchowności. W dzienniku przewijają się nazwiska literatów ze środowiska emigracyjnego, polityków, urzędników; po wycizuceniu z żony generała Sikorskiego (kilka miesięcy po katastrofie gibraltarskiej) zanotował, że w ciągu kilku godzin generałowa jedynie dwukrotnie wspominała męża i wcale nie wygląda na osobę pogrążoną w głębokiej żałobie. Trudno orzec, ile w tym prawdy, a ile zwykłej ironii czy złośliwości. Kulinarно-plotkarskie wpisy mieszają się czasem z własnymi zamierzeniami (ambicjami) literackimi lub komentarzami do aktualnej sytuacji na frontach i w Polsce, aczkolwiek trudno odnaleźć w nich groźbę wojny, są raczej krótkimi i niezbyt pogłębionymi analizami społeczno-politycznymi. Z owych rozważań możemy wywnioskować, że Grubiński (i nie tylko on) kompletnie się nie spodziewał, jak diametralnie zmieni się polityczna sytuacja Polski po zakończeniu wojny.

Grubiński jest jednym z tych literatów, którzy „dzięki” cenzurze po roku 1945 zniknęli kompletnie z pola czytelniczego widzenia po wciągnięciu na listę z całkowitym zakazem publikacji z powodu politycznej działalności za granicą. Jak pisał: „Nie uśmiecha mi się los autora odkrywającego w wiele lat po zgonie. (...) Nasi historycy od siedmiu boleści gotowi w ogóle przeoczyć, że istniałem i moje pisma (...) mogą następnie umrzeć na dobre przez naszą lichą gospodarkę na obszarze kultury”. Utyskiwał, że w Polsce jego dzieła poddawane są ostrzejszemu wykluczeniu niż nawet kiedyś w Rosji za caratu i Stalina, i gorzko podsumowywał, że „Lokaj jest zawsze zażartszym arystokratą niż jego pan hrabia”. Niewielu miało szansę, aby wyrwać się z tego cenzorskiego czyścica, jak chociażby Czesław Miłosz, którego twórczość niewątpliwie została odalona dla polskiej literatury za sprawą Nagrody Nobla, gdyż nawet komuniści nie mogli jej przemilczeć. Czy każdy z literatów, których usłużyli cenzorscy aparatczycy skutecznie „wygumkowali” z podręczników i odebrali czytelnikom, był twórcą na miarę Miłosza? Na pewno nie i zdarza się, że nawet jednostki wybitnie utalentowane mogą zostać zapomniane. Bez względu na skalę talentu, należy pamiętać, że w pewnej mierze swoimi dokonaniem wybijali się ponad przeciętność i tworzyli różnorodność literackiego krajobrazu, a ich zapomniane dzieła, nawet bez walorów literackich, mogą być naprawdę bezcennym źródłem wiedzy o społeczeństwie i jego przymiotach w określonych momentach historycznych.

Jacek Hnidiuk

Waław GRUBIŃSKI, *Dziennik 1943*, wstęp i oprac. Joanna Rażny, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023.

Malarstwo na poważnie



Kiejstut Bereźnicki jest malarzem znanym i nieznanym zarazem. Takie zdanie jest jedynie na pozór paradoksalne. Pojęcie „bycia znanym” w obecnych czasach uległo poważnym zmianom. Jak wiadomo, istnieje na świecie całkiem spora grupa ludzi, którzy „są znani z tego, że są znani”, dlatego też postacie, które docierają do publiczności jedynie za pośrednictwem swoich prac i nie celebrują swojego istnienia w mediach, czy to klasycznych, czy społecznościowych, zdają się zapomniane. Z drugiej

strony w kręgach zainteresowanych obszarem ich działalności wysoka jakość prac stanowi wyróżnik z grona innych twórców. Mowa o plastykach, aktorach, naukowcach czy pisarzach. Do takich osób niewątpliwie należy Kiejstut Bereźnicki, malarz o niewątpliwie sporym dorobku, którego obrazy są ciekawym przykładem malarstwa figuralnego nawiązującego do tradycji europejskiego Zachodu.

Bereźnickiemu, a właściwie jego twórczości, poświęcona została monografia napisana przez Marię Błażko, o interesującym tytule *Obraznik*. Książka została podzielona na cztery rozdziały. Pierwszym jest biografia malarza oraz podstawowe informacje o działalności, nie tylko twórczej, ale także pedagogicznej oraz na temat jego idei artystycznej. Wszystkie te wątki zostały w sposób czywisty rozwinięte w kolejnych rozdziałach.

Rozdział drugi – *Tematyka malarstwa* – omawia poszczególne cykle malarskie, na które składa się pełne oeuvre Bereźnickiego. Zasadniczo autorka wyróżnia cztery główne grupy tematyczne: sceny figuralne, portrety, akty i martwe natury. Tematycznie istotnym cyklem są sceny związane z dzieciństwem, ukazujące nie tylko wspomnienia malarza, ale także postacie z przeszłości, które były ważne w jego życiu. Wyróżniamy także sceny religijne (z bardzo ważnym cyklem scen pasyjnych) oraz mitologiczne. W twórczości bardzo ważną rolę odgrywały także portrety i autoportrety oraz martwe natury. Widać wyraźnie, że różnorodność tematyczna jest odzwierciedleniem nie tylko pasji i emocji twórcy, ale także wynikiem jego poszukiwań najodpowiedniejszych dla niego rozwiązań formalnych.

Trzeci rozdział omawia bardzo ciekawy aspekt obrazów Kiejstuta Bereźnickiego, chodzi o jego nawiązania do tradycji malarstwa europejskiego. Widać wyraźnie, że jest to twórca, który zna europejskie dziedzictwo artystyczne i kulturalne, ale nie jest prostym naśladowcą ani nie maluje „w stylu” konkretnych malarzy. Jak pisze autorka: „stworzył swój metafizyczny, pełen odniesień do przeszłości poetycki świat. W jego emanujących spokojem, chociaż czasem pełnych dramatu obrazach, jak w lustrze, odbija się historia malarstwa europejskiego, w której głęboko osadzona jest, świadcząca o ciągłości sztuki, twórczość artysty”.

Rozdział czwarty poddaje analizie poszczególne motywy występujące w omawianej twórczości. Widać wyraźnie, że zarówno kolorystyka, budująca nastrój malowideł, jak i sposób konstruowania przestrzeni malarskiej, a także sposób prezentacji przedmiotów oraz elementów natury i architektury, pozwalają na stwierdzenie, że kompozycje obrazów, mimo pozornie dekoracyjnego charakteru, są wynikiem „narracyjnego” myślenia o malarstwie.

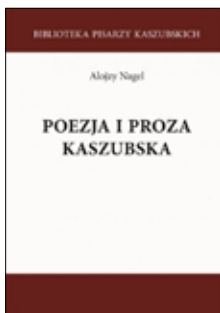
Książka wzbogacona jest aneksami zawierającymi pełny katalog prac malarza, schemat cykli, w jakich tworzył, dłuższy wywiad autorki książki z artystą oraz zbiór rękopisów jego wierszy, doskonale uzupełniający wizję jego artystycznej wrażliwości.

Monografia autorstwa Marii Błażko jest przykładem dobrego wykorzystania warsztatu historyka sztuki wobec wciąż tworzącego artysty. W szczególności analiza poświęcona stylowi Bereźnickiego ukazuje nam, że jest ona dojrzałą badaczką, która potrafi połączyć staranne katalogowanie oraz dokumentację z samodzielnie wyciąganymi wnioskami.

Juliusz Gałkowski

Maria BŁAŻKO, *Obraznik. Monografia twórczości Kiejstuta Bereźnickiego*, Wydawnictwo Naukowe Archaograph, Łódź 2023.

Kaszubszczyzna literacka



Seria Biblioteka Pisarzy Kaszubskich wzbogaciła się o tom Alojzego Nagla pt. *Poezja i proza kaszubska*. Urodził się w Kielnie w powiecie wejherowskim. Żył w latach 1930–1998. Posługiwał się kaszubszczyzną wschodnią. W 25-lecie jego śmierci uhonorowali go trzej wybitni kaszubolodzy, Józef Borzyszkowski (historyk), Daniel Kalinowski (literaturoznawca) i Marek Cybulski (językoznawca), który przygotował teksty pod względem edytorskim i całość zredagował. Rozdziały

wstępne dają usystematyzowany i szczegółowy obraz biografii, twórczości oraz rodzimego języka literata. Niewątpliwie dużą wartością edycji jest podanie utworów w wersji autorskiej (oryginalnej) i zestandaryzowanej (zgodnie z obowiązującymi zasadami pisowni w kaszubszczyźnie).

Borzyszkowski krytycznie weryfikuje wiedzę o biegu życia Nagla, który uporczywie edukował się i piął po uznanie swego talentu. Jakkolwiek historyk nie rości sobie prawa do wyczerpania podjętego tematu, pobudzona przez kaszubologa ciekawość podpowiada pytania, na które odpowiedź dopiero zostanie udzielona. Pytań, które pojawiają się pod wpływem lektury, nasuwa się więcej. Szkic-portret obejmuje także uwagi o recepcji oraz wycinkowy przebieg dziejów wydawniczych twórczości Nagla. Borzyszkowski perspektywę dalszych dociekań nad nią widzi następująco: „Jak dotąd nie została jednak zinventaryzowana zawartość spuścizny archiwalnej Nagla, przechowywanej m.in. w Wejherowie i Pieniężnie oraz w zbiorach prywatnych. Nie została sporządzona bibliografia jego publikacji. Niemniej ów bogaty materiał źródłowy i historycznoliteracki (w tym wspomnienia w szczególności) czeka na uzupełnienie i krytyczne wykorzystanie w opracowaniu naukowej biografii tego najwybitniejszego z kaszubskich liryków i pisarzy pierwszego pokolenia po II wojnie światowej”.

Według Daniela Kalinowskiego poetycki świat Nagla wyróżnia prostota. Badacz wyodrębnił powiązane ściśle z powojennymi dziejami Polski rozwojowe okresy poety, eksponując krytycznoliteracki odbiór jego kolejnych książek. Zwięzłe zatytułowane podrozdziały koncentrują się na losach literata, recepcji naukowej i artystycznej, na pięknie, które „bywa prostotą”, wartościach wspólnotowych poezji, seniliach, prekursorskich w piśmiennictwie kaszubskim tekstach dla dzieci, zwrocie na stronę liryki religijnej. Mimo że Alojzy Nagel był twórcą osobnym, należał niezbywalnie do środowiska literackiego Kaszub i był jego uczestnikiem. Kalinowski odkrywa bogactwo semantyczne i głębszy sens utworów kaszubskiego twórcy. Niebagatelne jest to, że kompozytorzy układali muzykę do jego wierszy, nie które były przekładane na języki obce.

Kaszubolog-literaturoznawca szuka dla Nagla właściwego miejsca zarówno w literaturze kaszubskiej, jak i polskiej (słusznie nie ulega myłacej sugestii Jana Drzeżdżona o bliskości Nagla w stosunku do Tadeusza Różewicza). Pewien niedosyt powoduje zaniechanie dociekań nad ewentualnym wpływem na pisanie Nagla literatury i kultury niemieckiej.

Lirykę autora z Kielna, przekraczającą ramy ludowości, Kalinowski słusznie porównuje z poezją Jana Pocka, piewcy Lubelszczyzny. Obu poetów łączy kultura rustykalna, krajobrazowość, zaplecze ludowe i typ religijności chrześcijańsko-katolickiej, a także mocne przywiązanie do ziemi urodzenia i pozostawanie w kręgu Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Znajomość języka kaszubskiego nie jest warunkiem koniecznym, aby odczuć poetycką rzeczywistość Alojzego Nagla. Poddanie się rytmom i brzmieniom kaszubskich wierszy wywołuje wiele subtelnych doznań. Bliskość kulturowa sprawia, że utwory Nagla mogą poruszyć nawet miłośnika poezji, który nie mówi po kaszubsku, ale dysponuje wyobraźnią językową.

Zbigniew Chojnowski

Alojzy NAGEL, *Poezja i proza kaszubska*, red. Marek Cybulski, wstęp Józef Borzyszkowski, Daniel Kalinowski, Marek Cybulski, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2023.



Mitteleuropa

Czym jest Europa Środkowa? Pytanie o tyle istotne, że sam ów termin ma wiele, czasem dalekich od siebie, znaczeń. I o tyle skomplikowane, że inaczej odpowiadać będą geograf, politolog, historyk bądź kulturoznawca i warto zwrócić uwagę na kwestie podważające utrwalone przekonania o spójności regionu. Sam termin w niemieckiej wersji językowej pojawił się w trakcie I wojny światowej w 1915 roku jako tytuł rozprawki Friedricha Naumanna i stanowił zarys projektu dominacji niemieckiej w obszarze między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem, stanowiącym terytorium tworzące zaplecze dla niemieckiej gospodarki. Siłą rzeczy w obszar ten wpisane zostały zarówno Niemcy, jak Austro-Węgry, co dziś może wydawać się pomysłem nieco dziwnym, wówczas jednak było swego rodzaju oczywistością. A zważywszy, że Imperium Habsburskie rozciągało się od obecnie niemieckiego Freiburga po obecnie ukraiński Lwów (wtedy Lemberg) i prowadziło politykę, która, przynajmniej propagandowo, miała zapewnić stworzenie harmonijnej wielonarodowej wspólnoty, pomysł Naumanna mógł się wydawać zajmujący, zyskał zresztą sporą popularność. Koniec wojny, anihilacja trzech europejskich cesarstw i wyłonienie się na tym obszarze całej mozaiki krajów przedtem niefigurujących na mapach politycznych sprawiły, że wizja ta ostatecznie okazała się iluzją, co nie przeszkadzało powoływaniu się na ten projekt w późniejszych dyskusjach.

Kolejnym wystąpieniem w tej kwestii stała się publikacja w 1982 roku eseju Milana Kundery *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, który stał się zarzewiem dość interesującej i wciąż poniekąd trwającej dyskusji, której podsumowaniem w tym samym okresie stał się wydany w 1984 roku przez podziemne wydawnictwo wrocławskie zbiór szkiców *Zachód porwany. Eseje i polemiki*, w którym obok tekstu samego Kundery głos zabrali François Bondy, János Kis, Georges Nivat, Leszek Szaruga i Adam Zagajewski. Tym, co mnie w eseju Kundery uderzyło, była swoista redukcja obszaru Europy Środkowej do Węgier, Austrii, Czechosłowacji i Polski, po części też Niemiec. Brakowało mi, zwłaszcza w kontekście toczonych wtedy dyskusji, krajów określonych przez Mieroszewskiego jako ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś), o których przysłą suwerenność upominał się od lat zespół paryskiej „Kultury”. Co do Niemiec, można powiedzieć, że głosy dotyczące ich związków na wschodzie są tam podzielone, co znakomicie ilustruje opracowany przez Huberta Orłowskiego zbiór szkiców *Sonderweg. Spory o „niemiecką drogę*

odrębną” (2006). Sprawa o tyle skomplikowana, że nie sposób objaśnić jej w tym felietonie: dość wskazać na „anty Zachodnie” sądy w *Rozważaniach człowieka apolitycznego* Thomasa Manna (w 2022 ukazały się wreszcie po polsku w przekładzie Wojciecha Kunickiego), które doprowadziły do długotrwałego rozdzwieku autora z jego bratem Heinrichem.

Nieokreśloność obszaru Europy Środkowej, niepokrywającego się wszak z terytorium Międzymorza obejmującego także kraje Bałkanów, sprawia pewne kłopoty każdemu, kto chce sensownie o nim mówić. W szczególności od chwili uzyskania przez Ukrainę niepodległości sprawa się komplikuje, przede wszystkim ze względu na witalizm tego kraju (dostrzeżony jeszcze w początkach XIX wieku przez Herdera), który, jeśli włączyć go do Europy Środkowej przy jednoczesnym uznaniu Niemiec za kraj Zachodu, może zostać w warunkach pokojowych potencjalnie najsilniejszym graczem regionu. Z kolei wskazywanie na specyfikę tożsamości tak wyodrębnionego obszaru siłą rzeczy musi rodzić kłopoty. Bo, historycznie rzecz biorąc, jeśli ową specyfikę mają wyznaczać doświadczenia dziejowe, głównie niebył polityczny w okresie formowania się na Zachodzie struktur państw narodowych, to Węgry dotyczy to jedynie w niewielkim stopniu, w ramach Austro-Węgier posiadały one sporą niezależność, co widoczne jest choćby w dążeniu do madziaryzacji Słowian południowych, a i dziś osobliwość polityki Orbana, niedwuznacznie flirtującego z Moskwą i najwyraźniej śniącego o powrocie do idei Wielkich Węgier z przyłączonym do nich Zakarpaciem, nie sprzyja – nawet w formacie Grupy Wyszehradzkiej – myśleniu o harmonijnej wspólnocie.

Wspominam tylko o przykładowych problemach utrudniających traktowanie Europy Środkowej jako terminu, który pozwala wyobrazić sobie tak wyodrębniony obszar kontynentu, a właściwie, by rzecz pochwycić w geograficznie rzeczystej perspektywie, półwyspu Azji, jako regionu stanowiącego spójną wspólnotę zamieszkujących ją ludów. To prawda, że wiele je łączy, można jednak wskazać równie wiele, jeśli nie więcej, różnic, a może nawet wykluczających się wzajemnie dążeń i aspiracji. Specjaliści od „polityki historycznej” są w stanie, w zależności od doraźnych potrzeb, tak modelować wzajemne relacje krajów regionu, by bądź potwierdzać jego specyfikę odróżniającą go od Zachodu, bądź przeciwnie, wskazywać wewnętrzne różnice i odmienną tożsamości. Wciąż zatem jednak pytanie o to, czym jest Europa Środkowa, musi pozostać otwarte.

Liderzy patentów europejskich

W 2023 roku polscy wynalazcy zgłosili do Europejskiego Urzędu Patentowego 671 wniosków, co oznacza wzrost o 10,5% w stosunku do roku 2022, gdy było ich 607. Najwięcej zgłoszeń polskie podmioty dokonały w obszarze technologii medycznych (+25,4%, 74 zgłoszenia), farmaceutyków (-2,4%, 41 zgłoszeń) i inżynierii lądowej (+19,4%, 37 zgłoszeń). Największą dynamikę wzrostu odnotowała technologia żywności (+100%). Liderami aplikujących z Polski są uczelnie: Uniwersytet Zielonogórski (31 zgłoszeń), Akademia Górniczo-Hutnicza (30) i Uniwersytet Jagielloński (14). W pierwszej dziesiątce znalazły się również: na czwartym miejscu Politechnika Śląska (12), a za nią Uniwersytet Gdański (9), Uniwersytet Warszawski (9) i Instytutu Chemii Fizycznej PAN (8). Liczba zgłoszeń uczelni rośnie niemal czterokrotnie szybciej niż średnia dla wszystkich podmiotów, która wynosi 2,9%.

Jeśli chodzi o tempo wzrostu liczby wniosków patentowych w EPO, Polska jest na siódmym miejscu wśród członków tej organizacji, wyprzedzają nas tylko: Litwa (+63,3%, 129 zgłoszeń), Chorwacja (+59,4%, 51 zgłoszeń), Słowenia (+24,4%, 153 zgłoszenia), Cypr (+23,3%, 53 zgłoszenia), Słowacja (+16,7%, 56 zgłoszeń) i Luksemburg (+11,9%, 385 zgłoszeń). Europejski system patentowy jest otwarty dla wszystkich krajów świata, stąd globalnie Polskę wyprzedzają – poza wymienionymi europejskimi krajami – tylko Singapur (+22,3%, 1057 zgłoszeń), Korea Płd. (+21%, 12 575 zgłoszeń) oraz Nowa Zelandia (+17,4%, 270 zgłoszeń).

Polska, choć ma w tym roku dziesiąty najwyższy wzrost zgłoszeń rok do roku na świecie, z 671 zgłoszeniami plasuje się na 25 miejscu wśród wszystkich krajów zgłaszających wnioski o ochronę patentową do EPO. W czołówce znajdują się: Stany Zjednoczone (+0,4%, 48 155 zgłoszeń), Niemcy (+1,4%, 24 966 zgłoszeń), Japonia (-0,3%, 21 520 zgłoszeń), Chiny (+8,8%, 20 735 zgłoszeń) oraz Korea Płd. (+21%, 12 575 zgłoszeń). Około 43% wszystkich zgłoszeń pochodziło od firm i wynalazców z 39 państw członkowskich Europejskiej Organizacji Patentowej, z kolei aż 57% pochodziło spoza Europy. Polska z 18 zgłoszeniami na mi-



lion mieszkańców zajmuje w takim ujęciu 30 miejsce na świecie. Globalnymi liderami są: Szwajcaria (1085), Szwecja (495) oraz Dania (445).

Firmy, uczelnie, instytuty i wynalazcy dokonali w zeszłym roku 199 275 zgłoszeń patentowych w Europejskim Urzędzie Patentowym (EPO),

co oznacza wzrost o 2,9% w porównaniu z rokiem poprzednim i najwyższą liczbę zgłoszeń w dotychczasowej historii. Następuje to po wzrostach o 2,6% w 2022 r. i 4,7% w 2021 r. Zgłoszenia patentowe składane w celu ochrony i wprowadzenia na rynek wynalazków są wczesnym wskaźnikiem inwestycji firm w badania i rozwój. Pokazuje to, że w ubiegłym roku innowacje utrzymywały się na solidnym poziomie, pomimo światowego kryzysu gospodarczego.

Wiodącymi dziedzinami techniki wśród zgłoszeń patentowych do EPO są: komunikacja cyfrowa (obejmująca także technologie związane z sieciami komórkowymi), technologia medyczna i technologia komputerowa. Największy wzrost spośród wszystkich dziedzin technologii w 2023 r. nastąpił jednak w obszarze maszyn, aparatury elektrycznej i energetyki (+12,2% w stosunku do 2022 r.), do czego zaliczają się wynalazki związane z technologiami czystej energii, w tym baterie (+28%). Nadal rosła aktywność patentowa biotechnologii (+5,9%).

Europejski Urząd Patentowy bada również poziom innowacyjności regionów. Tu plasujemy się na odległych miejscach. Najaktywniejszymi są: Kalifornia (16 021 zgłoszeń), Tokio (11 833) i chiński Guangdong (10 515). W pierwszej setce na 83 miejscu jest Warszawa (161), zaś na 95 Małopolska (119). Dolnośląskie to trzeci najaktywniejszy polski region (72 zgłoszenia), a dalej są: Śląskie i Pomorskie (oba po 57).

Wysokie tempo wzrostu odnotowywane jest także w patentach już udzielonych. W 2023 r. polskim podmiotom udzielono 258 patentów, co oznacza wzrost aż o 37,2% w stosunku do roku poprzedniego (188). To powrót do sytuacji sprzed spowolnienia wywołanego kryzysem pandemicznym.

MK, źródła: UPRP, EPO

Najwięksi zgłaszający do EPO z Polski – 2023 r. (według liczby zgłoszeń patentowych)

TOP 10

1	UNIwersytet Zielonogórski	31
2	AKADEMIA GóRNICZO-HUTNICZA	30
3	UNIwersytet Jagielloński	14
4	FAKRO PP	12
4	POLITECHNIKA ŚLĄSKA	12
6	UNIwersytet Gdański	9
6	UNIwersytet Warszawski	9
8	INSTYTUT CHEMII FIZYCZNEJ PAN	8
8	POLBIONICA	8
10	ADAMED PHARMA	6

Wzrost liczby zgłoszeń patentowych do EPO z Polski





UJK

Uniwersytet
Jana Kochanowskiego w Kielcach



Fotografie: Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach

